

Grey Scale #13



Part Code
ST1316

DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Przemian Lylwin Kencbok

*Maxymki
na
linie!*



Przemysław Sylwii Kencbok

Małyutki na linie!



BRONISŁAW SYLWIN KENCBOK

MASZYNKI NA LINIĘ!

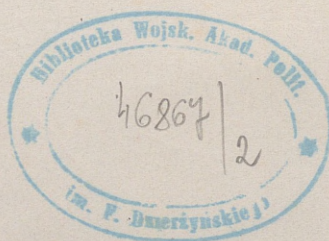


W A R S Z A W A 1 9 3 9

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

355.91/438/a

Prawa przekładu
i przedruku zastrzeżone



DRUK. NOWOŚWIECKA, WARSZAWA

SPIS RZECZY.

	Str.
I. W Szkole Podchorążych, w kadrze 1 pułku piechoty Legionów i w Centrum Wyszko- lenia 1 dywizji piechoty Legionow	1
II. Wyprawa na Kijów	29
III. Odwrót	77
IV. Uderzenie znad Wieprza	179
V. Walki nad Niemnem	221
IV. Słów kilka do podchorążych i do b. kadetów pod- chorążych z klasy „M” 13	247

Większość fotografii zamieszczonych w książce
wykonał w czasie wojny kapelan 1 p. p. Leg.
ks. Franciszek Tyczkowski.

I

W SZKOLE PODCHORAŻYCH
W KADRZE I PUŁKU PIECHOTY LEGIONÓW
I W CENTRUM WYSZKOLENIA
I DYWIZJI PIECHOTY LEGIONÓW

W SZKOLE PODCHRASTACH
W KADRE PRZEDSZKOLNE
I W CENTRUM WYŻKOŁENIA
I DZIAŁ PRZEDSZKOLNE

Zima 1918 — 1919.

Z początku było nas tylko kilkunastu ochotników w 1. kompanii podoficerskiej w warszawskiej Cytadeli, gdzie dostałem przydział po zaciągnięciu się do wojska polskiego.

W ciągu krótkiego czasu kompania urosła do pełnego stanu, a my, kandydaci do Szkoły Podchorążych, tworzymy w niej niezbyt liczną grupę. Jako mający cenzus nosimy dla odróżnienia srebrne obszywki na rękawach mundurów.

Wojsko polskie... Polskie, chociaż w Cytadeli nie jest ono podobne do widywanych na obrazach batalistycznych ani nieskazitelnie nasze, jeśli chodzi o komendy, ubiór i tradycje, bo przejęliśmy wiele po „wermachcie“, nawet przepisy służby wewnętrznej. Wynikający stąd sposób wychowania żołnierza także jest niemiecki. A wychowanie to nie jest bez błędów.

Przyjęte po Niemcach porządki wojskowe mają złe strony, ale mają i dobre, bo instruktorzy przez nich wyszkoleni wcale nie są złymi instruktorami, jeśli chodzi o sprawy musztry.

Owszem, porządek jest i musi być, i rygor także, ale wychowanie... kuleje!

Trzeba chcieć być żołnierzem, by przetrwać, szczególnie pierwsze dni obracania się w takich trybach wojskowej машины, np. gdy jesteśmy surowo karani za złe śpiewanie głupawej piosenki „Zaszło już słońeczko za górę Mamamaaa“ albo jakiegokolwiek innej.

Ochotnik sądził, że ledwie przyjdzie, zaraz go uzbroją i rzucą w zawieruchę, w której można od razu być Wołodyjowskim, a co najmniej Podbipiętą.

Tymczasem nie można zostać od razu ani Podbipiętą, ani Wołodziejowskim, ani nawet Zagłobą, a choćby tylko owym ślicznym Stachem-szwoleżerem Przyborowskiego, tym Stachem, którego kiedyś, jakże już dawno czytaliśmy i z hiszpańskiej gerylasów uwalnialiśmy twierdzy.

Nie masz tu u nas, w Cytadeli, ani rozwianych sztandarów, ani sposobności do wybuchających i fantazją młodzieńczą malowanych bojów i zwycięstw, są natomiast... śmiecie po Niemcach, które trzeba grzecznie, ładnie i z pełnym wysiłkiem woli i mięśni uprzętać.

Co do zwycięstw, to niezupełnie powiedziałem prawdę. Owszem, jest sposobność, żeby je odnosić, ale nie nad wrogiem, lecz nad samym sobą. O tak, szczególnie gdy się musi wysłuchiwać instruktora, wysilającego się na dowcipy, kiedy przeholuje w nieokiełznanej fantazji lub gdy z odcieniem zjadliwości w głosie liczy nieprawdopodobnie długo tempa przysiadu w gimnastyce porannej:

— „raaaaaaazzzzzzz... dwaaaaaaaaaa, trzyyyyyyyyyyy...“
i tak do dziesięciu, i od nowa! A mięśnie nóg się prężą, za chwilę już drżą, jeszcze chwila a trzęsawica staje się jakaś chorobliwa i nieznośna... Mógłbyś się wyprostować, stanąć sobie swobodnie, w zwykłej postawie, mógłbyś także udawać, że robisz przysiad jak należy, by się nie wysilać nad miarę, ale nie! Trwasz! Zda się, umyślnie, sam jeszcze wolniej ten przysiad wykonywasz, aby dać sobie nauczkę za to, że nie jesteś twardym i mocnym chłopem, ale wychuchanym paniczkiem. Paniczkiem, który teraz obiera kartofle, nosi rano kawę w konwiach dla kompanii, zamiata salę i podwórze, słabo jeszcze dzierży karabin, ale wali weń, „tak aby nakładka pękła“. Wtedy będzie dwa tygodnie urlopu, bo tak trzeba, bo tak mówi instruktor i szef, i dowódca plutonu... „Żebyście zapamiętali!“ Tę więc słabą jeszcze dłoń zaciskasz ze złości i kłębisz się w sobie, w duchu, na piosenkę „Paśla baba gęsiora, gęsiora, oj da, gęsiora“, na nedorzeczne czasem powiedzonka twego przełożonego, gdy się sady na „bóstwo“, a który w życiu świata cywilnego nie śmiałby wobec ciebie puścić pary z gęby; na wszystkie nedorzeczności naprędce organizowanego wojska; na tę karę, którą w godzinnej odbyłeś stojąc pod karabinem, gdy nie chciałeś z kupy miału węglowego wybrać wanienki „grubszego“ dla pani sierżantowej. No tak, boś się zbunto-

wał, chłopie, i powiedziałeś sobie, że dla Nike — owszem, przekopiesz górę choćby węgla i wybierzesz najgrubszy, ale... Zaciąłeś się i stałeś pod karabinem...

To nic, że prócz tego posłanie twoje zastaniesz rozrzucone po całej izbie, i będziesz je stał raz i drugi, że ucierpi twój siennik z woliny, który ubijałeś od rana na kant pomagając sobie wierzchem od stołu, aby łóżko było „jak pudełko od zapalek”. Tak uczyli panów instruktorów Niemcy, a przecież Niemcy wiedzą, co robią.

Na nocnej służbie w kompanii gotuję sobie w piecu koszarowym herbatę z mlekiem skondensowanym, bo nie zdążyłem zjeść kolacji.

Gdy tak siedzę na sali, patrzę na dziwacznie, konwulsyjnie niemal poskręcane ciała mych śpiących kolegów, gdy słyszę ich westchnienia i wołania przez sen wydawane, czuję się stróżem ich żołnierskiego odpoczynku. Dla niektórych ciężki to jest odpoczynek; mówią przez sen, jęczą i majaczą jakby w gorączce, jakby duszeni przez zmyły i widziadła.

Czytam „Pana” Knuta Hamsuna. Z tej książki jak i z innych jego dzieł umiem całe wyjątki na pamięć.

Jest noc. Jak „żelazne noce” porucznika Glahna w „Panie”¹⁾.

— „Pierwsza z żelaznych nocy! ... odurzająco gwałtowna radość wstrząsa mną na myśl o czasie i miejscu...

Wy, ludzie, zwierzęta i ptaki, wznoszę okrzyk na cześć samotnej nocy... Okrzyk na cześć miłosiernej ciszy na ziemi, na cześć gwiazd i sierpa księżycowego, na cześć wszystkich!...

Podnoszę się i nasłuchuję. Nikt mnie nie słyszał. Siadam znowu“.

A w dzień, gdy ćwiczymy w lesie, znowu przypomina mi się Glahn, gdy mówi:

„...Zwracam się w każdą stronę i po imieniu nazywam ptaki, drzewa, kamienie, trawę i mrówki, oglądam się dookoła i mówię do nich po kolei...”.

1) Tłumaczenie polskie z 1902 r.

Tak jest z żelaznymi nocami, z Glahnem, ze mną i z lasem.
Trzeba budzić podoficera służbowego. Czas na pobudkę.

Nie widzę potrzeby pokrzykiwania i poganiania nas na ćwiczeniach. Staramy się każdy ruch opanować możliwie najlepiej. Pomocne jest przy tym wzajemne poprawianie się i uczenie dwóch żołnierzy. Nabywa się przy tym wprawę w instruowaniu.

Poprawiając się wzajemnie, nie szczczędzimy sobie uwag krytycznych i naprawdę dużo w ten sposób korzystamy. Chwyty, ponieważ są trudne, robimy z własnej woli poza godzinami zajęć i dochodzimy w ten sposób szybko do coraz lepszych wyników. Jeden z podoficerów pokazywał nam chwyt wykonany na kilkanaście temp. Jest to swego rodzaju doskonałość sprawności żołnierskiej.

Tygodnie mijają szybko.

No, jak tam z tobą, „zatracony inteligencie“? Jak z przyśiadem gimnastycznym, z samopoczuciem, ze zdrowiem szanownym? Dobrze, co? A widzisz!

Z wyłamywania nóg i mięśni, z wszelkich udręk wyłania się w tobie nowy zupełnie człowiek, taki inny, ale też może taki inny właśnie jest potrzebny w wojsku, aby potrafił zmóc twardziznę służby.

Już cię nie boli ta pierś, której zagapiony sanitariusz zbyt wielką dawkę szczepionki zaaplikował, że spuchła ci i... dynała. W taką obolałą waliłeś jeszcze mocniej karabinem, aby dowieść samemu sobie, że nie jesteś i nie byłeś nigdy „maminym synkiem“. Czasem wracasz myślą do dziedzin, które przedtem były osią twego życia i przekrojem twej wartości, ale już bez przekonania. Najbardziej jednak dokucza ci uporczywa myśl, że ciągle jeszcze więcej wozisz śmiecie, niż się gotujesz do roli obrońcy ojczyzny; częściej obierasz kartofle i zamiatasz, niżeli strzelasz... Ba wcale nie strzalałeś. Ciągłe więc jeszcze żyje w tobie przekorny, własny, urobiony na malunkach i literaturze obraz wojska; ciągle jeszcze śnią ci się postacie, które obierałeś sobie za wzór godny do naśladowania. Ale bierz,

chłopcze, przykład z pana Zagłoby i patrz z uśmiechem na rzeczy życia i śmierci, na „szkołę“, której się już ani myślisz bać, ani się nią przejmować, bo przyswoiłeś sobie twardziłą wojskową, przywykasz do niej i z dnia na dzień coraz lepiej machasz karabinem. Kto wie, może nakładka naprawdę pięknie. Walisz więc w karabin i walisz nogami. Nauczyłeś się walić nie mocą jakichś tam argumentów, nie, tu krzesze się w tobie inna przewaga i moc — moc siły fizycznej. Tu nie zaimponuje głowa naładowana mądrościami, ta twoja łepetyna rekrucka, ostrzyżona i śmieszna. Niczym się nie różnisz od każdego innego rekruta i tak być musi. Tu za to wyrobiła ci się mocna ręka, taka, co potrafi utrzymać karabin i rąbnąć nim zdrowo a mocno; tu otrząsnąłeś się z wszelkich naleciałości wygodnickiego życia i zaczynasz dopiero teraz rozumieć, że trzeba cię było zmiąć trochę, nagiąć ci karku i przytrzeć uszu. Dopiero po takiej obróbce staniesz się twardy i bezwzględny, będziesz prawdziwym żołnierzem.

Wiele nie minęło, a poczyną rozpierać cię duma, iż przecież dałeś radę, ba — przewyższasz już twego mentora instruktora-prostaka nie tylko jak dawniej umysłem, ale też zdołałeś w lot pojąć to wszystko, czego się tamten uczył może miesiącami całymi i do czego dochodził z trudem, więc mu się niebotyczną, nieosiągalną wiedzą i wartością zdawało. Potrafisz już przytrzeć pana frajtra do muru pytaniem ostrym a rzeczowym, na które odpowiedzi nie znajduje; już rozróżniasz, który instruktor zna ćwiczenie, który je z tobą dobrze przerabia, a który tylko udaje mądrą i nadrabia ostrością głosu. W duchu „nabijasz się“ z niego. Nie możesz zrozumieć tylko jednego: jeżeli przy silnym mrozie instruktorzy mogą mieć nauszники i rękawice, tobie nie wolno nałożyć żadnej z tych rzeczy. Wtedy odmrażasz sobie uszy, że stają się podobne do słoniowych, ale smarujesz je czarną mazią, i chodzisz z takimi uszywkami, i udajesz, że ci z tym dobrze. Odmrażasz teraz ręce, a że są zgrabiące, więc przy chwycie „do nogi broń“ — celownikiem rozrywasz sobie okrutnie wskazujący palec. Ale i to nic, i to przetrwasz.

Dzień mija za dniem i widzisz się już żołnierzem coraz udatniejszym. Mundur przyrósł do skóry i zrobił się jakiś swój, a jest to beselerka niemiecka. I czapka maciejówka lepiej ci pasuje, wrobiła się do głowy, nabrała fasonu.

Gdy jako „służbowy“ idziesz do kuchni, dowiedzieć się co na obiad, żeby zameldować panu szefowi (temu samemu, któremu nie zaniósłeś wanienki węgla), to wchodzisz śmiało, a nie jak dawniej, krępując się zaglądać kucharzom w zęby. Zresztą pytasz o to tylko, aby się przepisowi stało zadość, bo wiesz, że będzie dzisiaj brukiew, gdyż czuć ją w całej Cykadeli. Do kucharzy walisz ostro, mocno i z góry. Otóż widzisz, czegoś się tu nauczył; tupetu, tego tupetu, który na początku tak cię raził i zdawał ci się prostacki i niepotrzebny. Teraz już wiesz, że tupet jest potrzebny, bo znacznie przyspiesza załatwienie każdej sprawy, a gdzie o pośpiech chodzić może, jak nie w wojsku?

Widocznie dobrze idą sprawy twojej musztry i ćwiczeń, skoro wybrano cię do pełnienia służby w kompanii i jesteś już tym, któremu się powierza porządek i tryb życia ludzi zebranych w oddziale wojska. Od ciebie będzie zależało, aby kompania wstała na czas, więc nie będziesz spał, chociaż cię najbardziej nawet sen zmorzy. I chociaż nie zdobyłeś jeszcze chorągwi na wrogu, chociaż ledwie w powijkach służby się znajdujesz, ale już osiągnąłeś pierwszy stopień władzy i dotknęło cię znamię odpowiedzialności, to, które ci spać nie daje.

Gdy za parę dni wybiorą cię w liczbę ledwie 10 z kompanii na wartę (a wiesz, że wybrano naprawdę lepiej ćwiczących), to już wtedy czujesz, żeś się dochrapał nie byle czego; rozpiera cię duma i radość z tego, iż twoje nieudolne ręce przydają się jednak w tym zespole siły, że potrafiłeś je urobić, a siebie przenieć na żołnierza, któremu się powierza ważną służbę i stawia przy beczie prochu.

Musisz jednak przyznać, że nie byłeś znów takim fajtlapą, nie musiałeś, jak to się innym zdarzało — tym co się zbyt cicho meldowali — drzeć się do pieca: „jeeeeest!“ jeeeeest!“. Jeśli ci czego brak było, to chyba tylko nagięcia się do prostoty form i słów.

Teraz już nie jest ci obmierzlą głupawa piosenka o gąsiorze i o słoneczku, i każda inna. Teraz sam jesteś zły, gdy kompania śpiewa od niechcienia i podle. Zrozumiałeś, dlaczego trzeba śpiewać dziarsko i wyglądać buńczucznie, i drzeć się głośno, biegać prędko, ładować karabin i rozładowywać mi-giem. A gdy ćwiczycie razem z jakimkolwiek kamratem, to potrafisz się zabawić w skromne wydanie instruktora i popra-

wiać niezgorzej. I cieszysz się, gdy widzisz, że i on — twój kamrat — całą parą stara się poprawić swój zły chwyt bronią.

Przychodzi wreszcie czas, że instruktor, twój bezpośredni przełożony, i pan szef, i pan podchorąży dowódca kompanii, orzekli zgodnie, że możesz dostać przepustkę i iść do swego domu w Warszawie. Kontrolujesz mundur, sam sprawdzasz, czy ci nic nie brak i smarujesz do miasta ciężki i niezgrabny, w olbrzymich buciarach podkutych gwoździami i ślizgających się przy każdym kroku. Salutujesz mijane szarże. Początkowo z powątpiewaniem w swoje w tej dziedzinie zdolności, ale odpowiadają ci ukłonem, więc jesteś coraz śmielszy i coraz pewniej idziesz ulicami Warszawy.

Wpadasz do domu. Tu — niespodzianka! Powiadają, że tak jakoś twardo mówisz, że głos twój ochrypł i ma ordynarny odcień i brzmienie. Ale gwizdzesz na to i omal nie zaśpiewasz piosenki o indorze albo innej jakiejś piosenki żołnierskiej, najbardziej naiwnej i rubasznej.

Jesteś jednak zaskoczony. Źle się czujesz w domu, bo przywykłeś do prostackiego słowa i gestu. W grzeczniutkim życiu domowym twoje nowe wartości na nic się nie zdadzą. Dla tego życia nie trzeba wykrzesywać z siebie iskier przewagi osobnika w stadzie. A dom, zamiast podziwiać twoją przemianę zewnętrzną i wewnętrzną, tę całą twoją nową wartość, z której jesteś dumny, którą obnosisz wśród bliskich na pokaz, krytykuje cię i nie rozumie. Bez zapału i jakoś śmiesznie oglądają domownicy twój bagnet i ganią twoje umundurowanie, które już tak mocno pokochałeś, że się obrażasz, choć wiesz, że nie przypominasz swym wyglądem ani kawalerzystów spod Somosierry, ani piechurów spod Raszyna, ani wszystkich innych tak pięknie malowanych żołnierzy polskich. Jesteś szary i jeszcze niemiecki z wyglądu, bo masz beselerkę o licznych guzikach i „przysięgę“¹⁾ na szyi, niemiecki pas i bagnet.

Żegnasz więc dom i pędem wracasz do Cytadeli, do sienika wypchanego woliną i usłanego jak pudełko zapałek, do swoistego odoru kompanijnego, co jak opary unoszące się z ziemi świeżo zoranej, spulchnionej i żyznej, paruje stale z woj-ska. Teraz cię on już nie mierzi, bo rozumiesz i cenisz war-

1) Kołnierzyk barwy ochronnej zawiązywany na szyi, pod kurtką.

tość trudu i znoju żołnierskiego, bo wiesz, że narodzi się z niego kompania dobrych podoficerów.

Mijasza kolejno czterech wartowników w Cytadeli sprawdzających twą przepustkę. Im dalej, za każdą następną bramą, czujesz się, jakbyś więzienne, nie koszarowe, mijał bramy; jakby jedno za drugimi zamykały się za tobą podwoje krat więziennych.

Taki jest nastrój Cytadeli, wytworzony przez zagęszczone mury, przez brak czystego powietrza, przestrzeni, nieba i przez stęchliznę starych, odrapanych ścian. Ale zdajesz sobie sprawę, że jesteś w tej samej Cytadeli, w której rozstrzelano w 1905 roku bojowników o wolność, i już odszukałeś to miejsce, i wiesz, gdzie jest sławny X pawilon.

W Cytadeli znowu tęsknisz za Warszawą, domem, przepustką.

Cztery bramy wiodą do naszych kwater, ale okazuje się, że jest jakaś wyrwa w murach Cytadeli, i że można przez nią wyjść spokojnie nie zawadziwszy o żadnego wartownika. A stoi ich na mrozie czterech przy dziurawej fortecy.

Co jak co, ale podoficer odczytujący rozkaz dzienny musi umieć czytać. Choroba człowieka bierze, zanim wystęka poprzekręcawszy niemożliwie cały rozkaz, a dzisiaj czytano nazwiska tych wszystkich, którzy odchodzą ze szkoły podoficerskiej do Szkoły Podchorążych. I moje nazwisko znalazło się na liście, ale pokręcone na wszystkie boki.

Odchodzimy z Cytadeli. Było tu źle... i może dlatego dobrze właśnie, bo tylko twardzizna, wysiłek i praca ciężka dają zadowolenie. Co przychodzi łatwo — łatwo się zbywa. Szkoda Cytadeli.

Wiosna i lato 1919.

Od 8 marca jestem w Szkole Podchorążych.

Po odrapanych murach Cytadeli gmach Szkoły zda się być wspaniałym pałacem. Szerokie i olbrzymie sale robią na nas

wrażenie, jakbyśmy się spod strzechy przenieśli do zamku z bajki. Nasz pałac nie jest jednak ciepły. W czasie marcowych mrozów centralne ogrzewanie w gmachu szkoły wcale nie działa. Grzejniki są raczej chłodnikami. Sala ogrzewa się ciepłem promieniującym z naszych ciał i oddechów.

Przyszliśmy do Szkoły we własnych mundurach, bo taki był rozkaz, a że w Warszawie są trudności z nabyciem odpowiedniego materiału i krawcy nie wiedzą, jak się do polskiego munduru zabierać, więc każdy z nas ma mundur z innego sukna i odmiennego kroju.

W Szkole podzielono naszą grupę z Cytadeli i wymieszano z tymi, którzy nie przechodzili przez ogniową próbę podoficerki, lecz zostali tu powołani z cywila lub z szeregów armii z pola.

Mam łóżko przy kadecie-podchorążym Kadenacym i razem się od pierwszego dnia pobytu w szkole trzymamy. Kadenacy mówiąc zaciąga z wileńska. Jest starszy ode mnie. Zaprzyjaźniliśmy się i świadczymy sobie wzajemnie grzeczności dzieląc się posiadanymi smakołykami.

Klasa nasza nosi literę „M” i jest normalną klasą o pełnym kursie. Oprócz pełnych klas 9-miesięcznych, są prowadzone jednocześnie klasy o kursach skróconych, a nawet jedna dla starszych już oficerów.

Jestem w plutonie ppor. Lipińskiego. Uwzięliśmy się, aby nasz pluton był najlepszy, w taki sposób staramy się odwdzięczyć naszemu dowódcy za jego wysoki takt i za ojcowskie do nas podejście. Wyłazimy ze skóry, aby każde ćwiczenie wypadło możliwie najlepiej. Dbamy też o porządek koszarowy. Podałem myśl ułatwienia drużynie dokładnego i szybkiego ustawiania łóżek pod linijkę. Jest to sprawa trudna, gdyż w rzędzie stoi ich około 40, a wszystkich na sali około 150.

Przyszliśmy tu bez broni. Dostaliśmy karabiny bardzo zapuszczone. Ja na przykład mam karabin z pobojowiska spod Lwowa. Był zalepiony gliną i niemożliwie zardzewiał. Ledwie zdołałem otworzyć zamek. Lufa zabita ziemią i rdzą. Według rozkazu mam karabin doprowadzić do takiego stanu, aby był jak z fabryki. Ha, cóż zrobić? Żadnymi ostrymi środkami czyścić nie można, ale smaruję go na noc naftą i rzeczywiście z dnia na dzień karabin pięknieje. Lufa nad podziw nawet, bo szkli się już jak lustro. Najgorszy zamek i stopa.

Dowódca klasy bardzo mocno nas przyciska.

Instruktorów-podoficerów mamy przeważnie starych wyjadaczy z wojska niemieckiego. Są przesiąknięci karnością niemiecką i nam ją wdrażają bez pardonu. Na tle ich „chwytów“ wychowawczych odbija dodatnio zupełnie inne podejście do kadetów legionisty sierż. Janika.

W Cytadeli mieliśmy sienniki wypchane woliną, tj. cienkimi wiórami drzewnymi. Są one o wiele higieniczniejsze, trwalsze i lepsze od słomy. Łatwo je usłać na „pudełeczko“. W Szkole mamy materace, więc zbytek jak na wojsko. Od czasu do czasu są odkazane. Odkazanie to jak świąteczne porządki w domu: wszystko przewrócone do góry nogami. Nigdy się nie dostanie swego materaca z powrotem, lecz jakiś obcy. Ta zmienność rzeczy noszonych bądź używanych już przez jakiś czas bardzo mi ciąży, a zwłaszcza otrzymane części umundurowania używanego. Umundurowanie noszone już przez jakichś innych żołnierzy wkładałem i nadal wkładam z obrzydzeniem.

Zastrzelił się kadet podchorąży S.!

Życie odebrał sobie w naszej sali sypialnej na łóżku, tuż pod koszarowym krzyżem. Z karabina.

Szkoda chłopca. Bardzo go lubiłem.

Komentujemy między sobą wypadek i niektórzy twierdzą, że kadet S. nie mógł wytrzymać natężenia ćwiczeń w naszej klasie.

A może nie mają racji?...

Na pogrzebie siedłem przy trumnie w pełnym oporządzeniu. Ubierając się zbyt mocno zacisnąłem owijacze, czego z początku nie odczuwałem. Dopiero w drodze, po przejściu paruśet kroków, owijacze zaczęły mi „dawać szkołę“. Ściśnięte zbyt mocno nogi poczęły niemożliwie boleć. Były chwile, że chciałem już wystąpić z orszaku. Każdy krok okupywałem istną męką. Dopiero gdy z bólu spotniałem jak w łaźni, sukno zwilgotniało, rozluźniło się trochę i ból ustał.

Za zbyt eleganckie nałożenie owijaczów dostałem tęgą nauczkę.

Wilno nasze!

Kadenacy i kilku kadetów wyjeżdżali z Naczelnikiem Państwa do zajętego miasta. Po powrocie opowiadają nie tyle o działaniach wojska, ile o tym, z jakim zapałem wilnianie witali nasze wojsko i jak nam pomagali, donosząc amunicję, opiekując się rannymi, a nawet z bronią stawiali.

Zaszedł wypadek, który wyjaśnił, kim jest Kadenacy. Otóż kazano nam oddać do magazynu mundurowego prywatne mundury, zakupione na rozkaz. Wielu kadetów prosiło o pozostawienie tłumacząc, że mundury są własne, że sami mają prawo nimi rozporządzać itp., ale rozkaz rozkazem, więc oddaliśmy. Jedynie kadet Kadenacy się uparł, że munduru nie odda. Doszło wówczas do przykrego zatargu, a Kadenacego odprowadzono pod bagnetami do aresztu. Zwolniono go jednak, bo się okazało, że wyjściowy mundur był mu potrzebny, gdyż od czasu do czasu chodzi do Belwederu. Jest krewnym Naczelnika Państwa. Przedtem nic o tym pokrewieństwie nie wspominał. Chciał być traktowany na równi z innymi.

W klasie wszyscy się poznajemy wzajemnie i zżywamy ze sobą coraz bardziej. Uwypuklają się różne typy ludzi, ich wartości lub braki umysłowe i fizyczne. Np. wiemy już wszyscy, że kadet Skoupy nigdy się nie nauczy maszerować i zawsze opóźni postawienie nogi o ułamek sekundy. Jest jeszcze kilku innych, którzy się w żaden sposób nie nauczą pewnych rzeczy i będą psuli szyk całej klasie i przysparzali nam kłopotów i kar.

Od czasu do czasu jesteśmy trzymeni w ostrym pogotowiu. Dostajemy ostrą amunicję, broń ustawiamy w kozły na sali, a oporządzenie składamy obok nich.

Nic dokładnie nie wiemy, ale pogotowia są jak barometr, który wskazuje nieprzychylne ciśnienia w stolicy.

Znowu przykra wiadomość. W nocy chciał się otruć na służbie kadet-podchorąży Z. Jest skłonność do zaliczania i tego wypadku na karb zbyt wielkiego tempa ćwiczeń w naszej klasie.

Jak było tak było, w każdym razie mamy teraz nowego dowódcę.

Już parokrotnie klasa nasza była karana aresztem koszarowym. Karze się w myśl zasady: „Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego“. Karę tego rodzaju odczuwam, zresztą nie tylko ja, jako krzywdzącą. Bo dlatego że „jeden z drugim“ — jak powiadają nasi instruktorzy — naknoci, musi cierpieć reszta Bogu ducha winnych kadetów. To nie jest sprawiedliwe ani wychowawcze. Inna sprawa, że kara taka jest skuteczna i czasem nawet konieczna.

Ciepło. Chodzimy w drelichach. Są one wygodne w czasie upałów, ale stare i rozłazą się. Ceruję jak mogę. Nie ma dnia, aby nie trzaśły, szczególnie od ciągłego padania, a padamy często w największe błoto.

Klasa nie potrafi ocenić dobrego charakteru nowego dowódcy. Niemilosiennie wagarują. Za murami Szkoły tuż zaraz aleje Ujazdowskie, słońce, swoboda... dziewczynki — tyle pokus!

W dzień jest ciepło, ale w nocy na służbie wartowniczej marznę niezgorzej. Dobrze jednak, że pełnimy wartę, gdyż później, jako oficerowie, nie będziemy mieli sposobności doświadczyć jak służba smakuje. Trzeba samemu postać na posterunku w nocy, zmarznąć, walczyć ze snem i nudą, aby

w przyszłości móc ocenić wysiłek szeregowca w tej dziedzinie służby, odpowiadającej służbie w polu na czatach.

Oficer musi przejść wszystkie przypadające żołnierzowi trudy, aby mógł być dobrym dowódcą.

Jako przeciwwagę do łagodnego dowódcy dostaliśmy nowego instruktora — postrach szkoły — sierż. Zająca.

Już od kilkunastu dni poczta pantoflowa nosiła z ust do ust wieść hiobową: „dostaniemy Zająca — ten nam dopiero da łupnia!“.

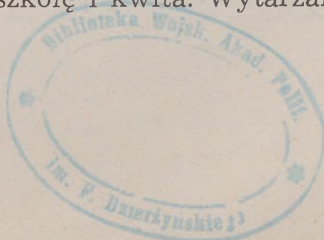
I przyszedł! Zwarty w sobie, żylasty, o ognistych błyskających oczkach i złośliwie uśmiechnięty.

Kazał zarządzić zbiórkę z bronią. Wyprowadził nas na dziedziniec koszarowy.

Już z pierwszych słów komendy poculiśmy, że dowodzi nami nie byle kto. Głos ostry, przejmujący, ale znakomity, ciachający jak brzytwą; tu nie masz miejsca na ułamkowe jakieś nawet przyspieszenie lub niedociągnięcie; głos jak nóż, jak piorun uderza i rozkazuje, wstrząsa i gwałci wszelki opór. Kiedy pada jakakolwiek komenda z ust tego groźnego i błyskającego tygrysimi oczyma Zająca, czy to będzie zwykłe „aść“!, „pdnij“!, „pstań“! czy „na rmie broń“! — nogi same zwierają się i odskakują, samo ciało pada jak rażone gromem i podrywa się na „powstań“ jakby ziemia była jednym wielkim jeżem, który nagle podniósł naraz wszystkie kolce.

Przy chwytach karabiny, jak piórka, wznoszą się i opadają, chrzęści stukot mocnego uderzenia tych 140 chłopaków, którzy mają pietra przed Zającem i przed jego „szkołą“, jednak chcieliby mu pokazać, że musztra w naszej klasie nie wypada znów tak źle. Czujemy wszyscy, że ćwiczenie idzie lepiej, niżeli się spodziewał sierż. Zając, ba, nawet nas zaskoczyło tak dobre jego wykonanie. Zasluga to nie tylko nasza, ale i tego podoficera, który ma dar wielki znakomitej komendy. Każdy żołnierz przy takiej komendzie będzie sprawnym wykonawcą. Nie dziw więc, że my, mocno już w mustrze podciągnięci, zadowoliliśmy zapędy sierż. Zająca.

Ale mimo wszystko dał nam szkołę. Tak, sierż. Zając nie mógł inaczej, już taki jest, musi dać szkołę i kwita. Wytarzał



nas w błocie różnorodnymi komendami, zrobił z nas masę mięsa i karabinów, jakiegoś wielorękiego potwora nurzającego się w prochu ziemi. Niejednemu przy tym dostało się od kolegi karabinem lub bagnetem, bo podaliśmy w ciżbie tak jak komenda zaskakiwała. Przerobił z nami wszystkie możliwe zwroty, kroki, postawy, chwyt — wszystko! Szukał usterek wszędzie, a sam stał z rękoma założonymi w tył, dziarski podoficer, ten mocarz musztry i chwał nie lada — Zajac! Z gardła jego, jak z cudownego jakiegoś mechanizmu wydobywał się głos dźwięczny a ostry, głos władczy i bezapelacyjny. A kiedy już ledwie dyszeliśmy, gdy szernieliśmy od potu, błota i kurzu, wtedy sprawnie podniósł nas z ziemi, otrząpał na spocznij i złożył, jak scyzoryk, w dwa równe szeregi. Rzucił tylko kilka słów: „Chciałem powiedzieć dzień dobry klasie!”

Takie było powitanie nowego instruktora sierż. Zajaca z naszą klasą.

Obecnie klasy w Podchorążówce nie będą już otrzymywały nazw literowych, lecz numery. Nasza klasa również z klasy „M” została przerobiona na 13. Feralny to numer, feralnie też dla nas się zaczął z samobójcą i tym drugim niedoszłym. Mamy też trzeciego już dowódcę. Drugi był zbyt dobry i miękki. Nowy, ppor. Monasterski, o ile się znam na ludziach, będzie w sam raz; łączy w sobie ogień i wodę; w miarę miękki i w miarę ostry. Nie „wydziera” się stale i bez potrzeby, ale jedynie wówczas gdy rzeczywiście głos i krzyk są potrzebne, ani też nie pobłaża, gdy zaczynamy psocić i brykać.

Jak ręką uciął ustało łazikowanie. Klasa teraz w całości chodzi na ćwiczenia i widzi, że tu nie przelewki.

Strzelania odbywamy na forcie Mokotowskim. Dzień strzelania jest pewnego rodzaju świętem. Wystrzela się swoje pięć nabo — oby tylko dobrze — a reszta dnia wolna. Zaczynam coraz bardziej szanować swój karabin, który odwodzić mi się za trud weń włożony, za odczyszczenie go i pieczołowitą pielęgnację.

Na warcie przy bramie belwederskiej zaszedł bardzo przykry, jak na stosunki szkolne, wypadek. Jeden z kadetów z naszej klasy w ciągu nocy, gdy miał broń na pasie i karabin naładowany i nabity, zabawiał się najpierw językiem spustowym naciskając go i opuszczając, następnie przekładaniem bezpiecznika w jedną i drugą stronę, później znów językiem spustowym itd. Stało się — wystrzelił! Ostatecznie nie byłoby nic wielkiego, ale kiedy dowódca warty z wartowni, a oficer inspekcyjny z gmachu wybiegli się zorientować, kto strzelał pod Belwederem, nikogo prócz wartowników nie znaleźli. Wartownicy kategorycznie twierdzili, że nie strzelali. Poczęto wachać lufy i „dowąchano“ się sprawy. Nieborak „siedzi“ i szkoły już pewnie nie skończy.

Mnie w Belwederze przypada najczęściej służba przy bramie. Stoi się na podwójnym posterunku honorowym, a dla jednoczesności wykonywania chwytów porozumiewamy się cichym psykaniem. Chwyty robimy bardzo dobrze. W ogóle cała klasa pod tym względem doszła do doskonałości. Chwyt „prezentuj broń“ robimy ściągając karabin tylko lewą ręką i podchwytyując go w odpowiednim miejscu, gdy leci ku ziemi; prawą rękę podstawia się pod kabłąk, ale tylko po to, aby się ręka znalazła na swoim miejscu przy wykonanym chwycie.

Nie pisałem jeszcze, jak wygląda dzień żołnierza czy kadeta od pobudki do capstrzyku. Rano trudno i niezbyt chętnie się wstawało, szczególnie w zimie. Na pobudkę wszyscy mają się zerwać od razu. Oczywiście, że wybić ze snu 150 ludzi jednocześnie jest trudno, a służbowi rozstawieni po wszystkich końcach sali, oczyma bazyliuszka wypatrują, azali który śpioch nie wstanie czasem o jakieś tempo wolniej. Jeżeli wstanie wolniej, wtedy pada rozkaz: „kłaść się spać, przykryć się kocami“ i... „Pobudka, pobudka, pobudka wstaaaaaać!!“. Znowu nie jednocześnie, znów kłaść się spać i tak w koło, Macieju. Bywa do siedmiu razy, ale zwykle dwa, trzy. Wszystko zależy od tego, kto ma służbę. Im większy „służbista“, tym pobudka bardziej urozmaicona. Potem to już zwykły dzień pracy, ćwiczeń, ćwiczebnego kroku itd., itd.

Ciekawy jest capstrzyk — kostki. Na capstrzyk składa

się je, wyrównuje, później się je rozrzuca, znów składa, znów wyrównuje i można tak grać tymi kostkami dowolnie. Z kostkami jest tak samo jak z pobudką. Kto by powiedział jednak, że w Szkole lub w wojsku jest źle — łże, plugawiec, bo nawet kostki są pewnego rodzaju pieprzykiem w życiu klasy.

Jesteśmy młodzi, więc cieszą nas i bawią pobudki powtarzane kilkakrotnie i te kostki składane i rozrzucane, bawi nas to, że jakiś sprytny kadet wywiął w nocy bez przepustki, a na swoje miejsce włożył do łóżka kukłę zrobioną z płaszcza, i że służba licząca obecnych po apelu i capstrzyku nie odkryła podstępów. Chociaż wiemy, że w jednym z obcych wojsk podaje się żołnierzom do łóżka czarną prawdziwą kawę, aby nabrali animuszu do szybkiego wstawania i ochoty do pracy na cały dzień, my i bez kawy potrafimy wstać i się cieszyć. Cieszymy się więc i tym, że z dnia na dzień stajemy się sprytniejsi, by na wszelkie sposoby wyrwać do miasta.

Co tu dużo gadać — jest wesoło a nawet, jak na wojnę, za wesoło.

Jedna z klas starszych skończyła kurs. W nocy złożyli nam wizytę; wiwatowali i stłukli kieliszki po wzniesionych toastach. Cała podłoga zasypana szkłem. To ma być tradycja klas kończących kurs szkolny. Trochę zalatuje Wschodem: tam zabawa w „kukułkę“ ze strzelaniem z naganów i pijackie orgie, tu — tłuczenie szkła. Tradycje tak samo mało ciekawe jak burszowskie zalewanie się piwkiem. Funt snobizmu i łut rozumu. Tradycji nie można tworzyć zalewając pałę, a w każdym razie nie można za tradycyjne poczytywać wybryków w oparach alkoholu powstałych. Prawda, tradycji własnej w tej dziedzinie nie mamy, ale lepiej nie mieć żadnej niż taką.

Przechodzimy wspaniale postawiony kurs gazowy. Zapoznaliśmy się z maskami używanymi dotychczas w czasie wojny przez wszystkie wojska walczące. Najśmieszniej wygląda pierwsza maska prymitywna z kawałka gazy, a dalej już idą coraz lepsze i lepsze maski aż do aparatów tlenowych włącznie. Wykładają profesorowie z uniwersytetu. Prócz strony teoretycznej mieliśmy kilka dni ćwiczeń praktycznych w prawdziwych gazach. Ustawiano kilkanaście artyleryjskich poci-

sków gazowych, detonowano je i w chmury gazu wytworzonego w ten sposób wbiegaliśmy ze schronów, w których na czas wybuchu byliśmy schowani, aby się ustrzec przed odłamkami rozrywanych pocisków. Kurs praktyczny odbywał się poza Warszawą.

Maski nie są jeszcze doskonałe, przepuszczają gaz i oddycha się bardzo ciężko przez pochłaniacz. Trzeba przez niego wdychać i wydychać powietrze. Mamy maski skórzane z kieszonkami na palce do przecierania okularów, bo szybki potnieją i słabo przez nie widać.

W Rembertowie są Francuzi i ich kantyny.

Byliśmy tam na kilkudniowych ćwiczeniach. Piachy, upał i wydane przed marszem nowe trzewiki doprowadziły nas do stanu godnego pożałowania.

Niech лихо porwie nowe buty na marsz! W dalszych ćwiczeniach na każdej z nóg „wyfasowałem“ po kilka dziur. Trzeba było jednak wytrzymać przez sześć dni z tymi dziurami.

Ćwiczenia niezbyt się udały, bo początkowo rozminęliśmy się z przeciwnikiem. Nie obeszło się bez wypadku: jednemu kawalerzyscie przestrzelono ślepakiem czapkę i ciężko zraniono go w głowę. Nie wiadomo, czy nieborak będzie żył. Jakiś rozżarty walką na ćwiczeniach wojak kropnął do niego z odległości paru kroków.

Przy starciach wręcz było kilka wypadków skaleczeń bagnetami. Wiara nie chciała ustąpić niebieskim i w lesie poszła na bagnety jakby naprawdę. Niektórych z trudem dało się rozdzielić.

Przy powrocie z ćwiczeń oczekiwała nas na Pradze orkiestra i dodała nam ducha do marszu przez Warszawę. Inaczej nie wiem, jakbyśmy przeszli przez miasto, bo byliśmy wymordowani, no i dziury na nogach. Z orkiestrą szliśmy gładko — niby wypoczęci. Przed gmachem Szkoły zatrzymaliśmy się, wyrównali i zrobili piękny jak zwykle chwyt „prezentuj“, „na ramię“ i „do nogi broń“. Przecież tu w Alejach patrzy się na nas zawsze masa oczą i dla nich najbardziej staraliśmy się o chwyt i dziarski wygląd.

W czasie prezentowania broni kilku kadetów zemdlało. Tu był już kres ich wytrzymałości.

Po złożeniu oporządzenia poszedłem do domu, aby się wykapać i opatrzyć nogi. Zajęło mi to parę godzin. Gdy wróciłem, okazało się, że mam stawać do raportu karnego za wyjście z gmachu Szkoły bez pozwolenia.

Już po raporcie.

Zameldowałem, że musiałem się zająć swymi nogami i opatrzyć je po marszu.

Ppor. Monasterski przyjrzał mi się bacznie, nie pytał więcej i rzucił tylko kilka słów:

„Dobrze, w porządku. Daję kadetowi trzy dni zwolnienia od ćwiczeń“.

Przeżyłem moment, jaki w przyszłości przede mną będą przeżywali żołnierze. Trzeba z tego wyciągnąć naukę. Czy i jak karać? — Oto pytanie.

Szybko mija czas. Przeszliśmy przez stopień starszego kadeta i już jesteśmy kadetami-kapralami. Sprawy musztry weszły nam bardzo głęboko w krew. Ćwiczebnym krokiem chodzimy w plutonach rozwiniętych, a są one bardzo duże. Wyróżniamy się, gdy trzeba występować publicznie na ulicach Warszawy. Braliśmy udział w pogrzebie dwóch oficerów poległych śmiercią lotnika. Występował półbatalion Podchorążówki. Salwę honorową strzelali najpierw lotnicy. Nie wyszła, bo któryś z lotników na „ceeeel!“ strzelił, a za nim reszta ogniem pojedynczym. Nasza salwa dwóch kompanii padła jak grom.

Zbliżyliśmy się wielkimi krokami do końca kursu szkolnego. Odbywają się repetycje z wielu przedmiotów. Niezbyt wiele się na tym znam, ale wydaje mi się, że na niektóre przedmioty kładzie się zbyt silny nacisk, a przecież chodzi o pośpiech w wytworzeniu młodych oficerów i wysłaniu ich na front.

Tak jak raziły mnie w pierwszych dniach służby w woj-

sku te wszystkie prace porządkowe, które by mogli zupełnie dobrze pełnić jacyś niezdolni do służby osobnicy albo zgoła kobiety a cały nacisk powinien być położony na szybkie i sprawne szkolenie ochotników do służby w polu, tak samo tutaj wydaje mi się, że program szkolny kładzie nacisk zbyt duży na musztrę, nie dając natomiast dobrego przygotowania do boju i przygotowania potrzebnego dowódcom. Jesteśmy tymczasem bardzo dobrymi instruktorami musztry, szermierki, rzutu granatem i do pewnego stopnia wyszkolenia strzeleckiego. Kurs zbliża się ku końcowi a dowodzić potrafimy raczej komendami — nie po polowemu. Z tej dziedziny prócz tyraliery, nie wiadomo po co tak dokładnie wyrównanej, posuwania się skokami i szturmie wiele więcej nie umiemy. Długo też i uporczywie ćwiczymy „gotuj broń“ przeciw kawalerii; pierwszy szereg kłęka, a drugi wchodzi między luki, potem oddaje się ogień na komendę. Za czasów gdy dowódcą klasy był por. C. zdarzył się z tym ćwiczeniem następujący wypadek. Por. C. wydał komendę do „gotuj broń“ w Alejach. Stanęliśmy na wprost chodnika zajętego przez zwykłą w Alejach publiczność. Dowódca zapomniał, że nie mamy tego dnia amunicji ćwiczebnej, bo wracaliśmy z ćwiczeń bojowych. Załadowaliśmy karabiny, nabiliśmy i... znalazło się paru takich kadetów, którzy wypalili. Naboje wprowadzicie były ślepe, ale jak wiem z wypadku na ćwiczeniach z kawalerzystą, mogą być groźne. Szczęściem obeszło się bez ofiar. Chociaż każdemu przecież może się przydarzyć wpadunek, por. C. stracił dużo w naszych oczach jako dowódca.

My tu, z szeregu, oceniamy wszystkich dowódców plutonów, kierując się często przesłankami, zdawałoby się, mało istotnymi. O jednym z nich się mówi, że to lalus, chociaż nie wiedzieć skąd się taka opinia urobiła. Może dlatego, że przesadnie elegancko jak na ćwiczenia jest zawsze ubrany. O innym znowu, który jest zaniedbany w ubiorze, że „ofiara“, bo poza tym niezbyt jest energiczny. Odruchowo na każdej zbiórce przyglądam się obcasom jego butów zawsze przyciętym i nie naprawionym. Na ćwiczeniach pod Rembertowem mieliśmy sposobność oglądania oficerów Szkoły na koniach i oceniliśmy ten wygląd na bardzo mierny.

Miałem niezbyt szczęśliwy egzamin z nauki o broni. Nie wykładano nam nigdy, a nawet nie pokazano ani razu rosyjskiego karabina piechoty. I nie wiedzieć dlaczego wśród broni wyłożonej na stoły do egzaminu znalazł się karabin rosyjski. Traf chciał, że właśnie mnie dano zadanie rozebrania tego karabina i zamka. Mógłbym otwarcie powiedzieć, że tej broni nas nie uczono, ale nie chciałem robić przykrości instruktorowi, pośrednio również dowódcy klasy, więc się zabrałem do rozbierania. Znając inne karabiny ma się przyswojoną widocznie wprawę, bo łatwo zamek odłączyłem. Ale rozebrać!.. Gniotę zamek w rękę, pociskam tu i ówdzie i jakoś go rozebrałem, chociaż nie poszło to zbyt sprawnie i błyskawicznie, jakby należało.

W ćwiczeniach bojowych dowodziłem plutonem przeciw kawalerii. Miałem więc owo proste zadanie uszykowania plutonu na „gotuj broń“, podania celownika i rozpoczęcia ognia. Dobra ocena zależy nie tyle od tego, jak i kiedy się da komendy, ale od tego, czy koledzy zechcą dobrze wykonywać, a są przecież zmęczeni, służąc jako statyści dla kolejnych kadetów egzaminowanych. „Gotuj broń“ wypadło dobrze, więc ten dział mam poza sobą.

Ponieważ służba nasza w szkole ma się ku końcowi, przepytywano nas w sprawie przydziałów do pułków. Pozostawiam decyzję losowi — niech rozstrzyga.

Od dwóch dni panuje niesamowity rozgardiasz. W porównaniu z poprzednim pedantycznym porządkiem widok obecny sali przedstawia się wprost niesamowicie. Ani mowy o jakichkolwiek kostkach, nikt nie służy, a oficer inspekcyjny Szkoły nie myśli nawet do nas zaglądać. Wszyscy na gwałt naszywają „trzepaczki“ podchorążych.

Już znamy swoje przydziały. Dostałem się do 1. pułku piechoty Leg. Bardzo się cieszę, bo jedynka — pierwszy pułk, ale również dlatego, że idę do pułku, którym w 1914 roku dowodził Naczelnik Państwa.

Jakiś humorysta i amator-rysownik w klasie narysował karykatury naszych podoficerów kompanijnych, przyczepiając do ich postaci według nazwiska odpowiedniki zwierzęce lub roślinne; a więc sierżanta Janika zrobiono jamnikiem, sierż. Zająca oczywiście zającem, sierż. Tondla jako kundla podwórzowego, plut. Miętę jako gałązkę mięty wyłaniającą się z munduru.

Gdy się ma za sobą cały kilkomiesięczny kurs szkolny odczuwa się radość i zadowolenie, aż duma człowieka rozpiera, że czas ćwiczeń i „szkoły” przetrwało się jednak. Będzie co wspominać. Gdyby szkoła była smarowanym miodem słodkim chlebkiem, sam fakt ukończenia jej nie dawałby zadowolenia.

Prócz mnie do 1. p. p. Leg. idą jeszcze dwaj podchorążowie. Idziemy więc w trójkę, będzie różniej.

Jesień i zima 1919.

Od października jestem w batalionie zapasowym 1. p. p. Leg. w Jabłonce pod Warszawą. W pierwszym pułku mówią: „w Jabłonnej Legionowej”.

Okazuje się, że droga na front nie prowadzi zbyt prosto. Obecnie nadchodzi zima, działania wojenne będą ograniczone, więc nie wyśle się nas na front, ale raczej wykorzysta nasze wiadomości szkolne dla celów instruktorskich.

Na front trzeba czekać.

Nie bardzo jeszcze jesteśmy w batalionie zdomowieni i oswojeni z nowym trybem życia, wymagającym od nas pełnej prawie samodzielności.

We trzech mamy jeden maleńki pokój, zimny, obdrapany i ponury. Zawiodłem się, bo po wielu miesiącach wspólnoty bytowania liczyłem na jakiś własny kąt, gdzie by można „po-

mieszkać". Są również inne złe strony wspólnego kwaterowania, mianowicie budzimy się wzajemnie zbyt wcześnie, gdy który z nas ma służbę. A służbę ma co najmniej jeden prawie codziennie.

Tuż prawie po naszym przybyciu do batalionu, bo 30.X odjechała stąd kompania marszowa do pułku w pole. W rozkazie batalionowym było umieszczone podziękowanie dla oficerów, podoficerów i szeregowców za pracę w kompanii a dla kompanii życzenia szczęścia żołnierskiego i zaszczytów w polu.

Początkowo nie mogłem się zadowolić w kadrze, gdyż wyznaczano mnie kilkakrotnie na dowódcę transportu rekrutów, najpierw do Chełmna i Białegostoku, następnie do Poznania. Była to, jak na mało doświadczonego i młodego oficera, dość odpowiedzialna praca. Instrukcja transportowa nakazywała dowiedzenie rekrutów w pełnej liczbie. Dostawało się 1 lub 2 kaprali i 8—10 szeregowców, co na 250 rekrutów jest stosunkowo bardzo mało jak na eskortę.

Z transportem do Poznania miałem perypetie, które mogły się skończyć wręcz fatalnie. Dostałem około 250 chłopą; miejsce odebrania: Praga, stacja końcowa: Poznań. Odbieram rekrutów. Wszystko typy „odwał, bracie“. Obdarci niemiłosiernie, chociaż był już przymrozek. Kilku „załanych“, wielu źle z oczu patrzy, inni znowu sarkastycznie uśmiechnięci. Ale nic, ustawiłem rekrutów czwórkami, eskortę po obu stronach, dokumenty z teczką wziąłem pod pachę i ruszyłem na dworzec. W chwili ruszenia usłyszałem okrzyk jednego z rekrutów: „cztery dni nas tu trzymali i jeść nie dali!“. Do okrzyku tego nie przywiązywałem większego znaczenia, natomiast zdumiałem się ujrzawszy bardzo dużą ilość osobników cywilnych czekających przed bramą posesji, gdzie rekruci byli trzymani, a z którejśmy właśnie wychodzili. Towarzystwa tego było więcej niż prowadzonych rekrutów. Wśród poborowych odezwał się któryś, niby chcąc mnie poinformować: „to nasze famuły, idą nas odprowadzić na dworzec“. I rzeczywiście, w miarę posuwania się kolumny rekruckiej, po obu stronach chodników równoległe z nami posuwają się owe „famuły“.

Zatrzymałem rekrutów — brać cywilna również stanęła. Wysłałem podoficera na jedną stronę ulicy, sam poszedłem na drugą, aby wytłumaczyć, że w tak dużej liczbie nie mogą iść z rekrutami przez miasto. Ale żadne perswazyje nie pomagały.

Nie było innej rady, trzeba było maszerować dalej. Do pierwszego napotkanego na ulicy policjanta zwróciłem się z żądaniem, by telefonował po policję. Podałem mu swą marszrutę i poszedłem, gdyż zatrzymywanie kolumny mogło wywołać jeszcze większe zbiegowisko. Tymczasem po przejściu mostu Kierbedzia, kiedy się znalazłem z rekrutami poza kolumną Zygmunta... stało się! W jednej chwili ci, co szli chodnikami po obu stronach ulicy, rzucili się do rekrutów i wzięwszy się z nimi pod ręce poczęli śpiewać Międzynarodówkę! Eskorta została zagwożdżona w pochodzie! Pozostałem sam jeden wobec tłumu!

Krzyknąłem: s t a ć!!! teczkę upuściłem na bruk i rzuciłem się z pięściami ku idącemu na czele „pochodu“. Nie zważając na nic począłem grzmocić każdego, kto mi się nawinął pod rękę.

Tłum stanął i przestał śpiewać...

Opuścili ręce, poczęli się odwracać i wiać. Wkrótce na ulicy została tylko kolumna czwórek rekrutów. Podniesiono mi teczkę. Ruszyliśmy dalej.

Przeżyłem przykrą chwilę w swym życiu, może najprzykrzejszą. Działalem odruchami i musiały być one w tej chwili dobre, skoro były skuteczne. Ukartowali, łotry, całą sprawę. Zajście było z góry obmyślane, a miejsce — plac Zamkowy — obrane jako teatrum. Chodziło o stworzenie pozoru buntu rekrutów na ulicach Warszawy. To ukartowanie zajścia, ta perfidna robota, którą w jednej sekundzie przejrzałem, tak mnie poniosła i rozbawiła, że potrafiłem porwać się pierwszy raz w życiu do rękoczynów, do bitki z tłumem.

Resztę drogi na dworzec odbyliśmy w spokoju. Wobec mrozu i lichej odzieży rekrutów wystarałem się dla nich o olbrzymi stóg słomy, którą kazałem ponapychać wagony. Piecyków w wagonach nie było. Na dworcu podszedł do mnie rekrut — typowy „cwaniak“ o twarzy i głosie, że bez kija nie podchodzi. Zgłasza się więc i powiada: „Panie poruczniku, z pana nie jezd frajer, ja to wim. Sie znam na ludziach. Puści mnie pan porucznik na godzinkę?... Wiadomo, dziewczynka i we wogóle...“

Popatrzyłem na niego i zdecydowałem: „puszczę was nie na godzinę, ale na trzy. Macie punktualnie wrócić na 9 wieczór. Po powrocie zgłosicie się do mnie“.

„Sie wi, że przywale“ — odburknął.

Poszedł. Zajęty przygotowaniami i formalnościami transportowymi, a przede wszystkim wyżywieniem rekrutów, zamówieniem śniadania i obiadu na jutrzejszy dzień itd., zapomniałem o przepustkowiczu. Ale na jakąś minutę przed dziewiątą widzę mego urlopnika. Smaruje! Z daleka już można poznać, że niesie w ręku olbrzymich rozmiarów budzik nastawiony na godz. 9 punktualnie. Podchodzi do mnie i obcesowo zgłasza swój powrót. A więc jest! Cieszę się, że go puściłem i że powrócił. Umieć się więc poznawać na ludziach.

Rekrutów dostawiłem szczęśliwie do Poznania i oddałem. Zawiedli się, bo myśleli, że pozostanę z nimi w pułku poznańskim, do którego ich wiozłem. Poczęli nawet robić ruch i awanturować się na ten temat, że mam zostać, bo jestem ich oficer i już. Nawiazały się więc przez czas podróży nici sympatii między nami. To dowód, że z żywiołem, jakim byli moi rekruci z Pragi, można bardzo łatwo dojść do ładu. Trzeba tylko mocnej ręki, wspólnego języka, sprawiedliwości i dbałości.

Obiad dla rekrutów, zgodnie z rozkładem jazdy zamówiłem w Skalmierzycach. Tymczasem na obiad dotarliśmy ledwie do Łodzi. Co robić? Licho wie, kiedy dotrzemy do Skalmierzyc. Ludzi o głodzie wieść nie będę. Dałem im więc obiad na stacji wyżywienia w Łodzi. Gdy o 12 w nocy dotarliśmy do Skalmierzyc, okazało się, że z iście poznańską pieczołowitością i godną podziwu akuracnością obiad, zamówiony na południe, trzymany jest jeszcze i przechowywany dla nas w stanie gorącym. Wobec tego wydałem ten obiad nadprogramowo. Inna rzecz, że wobec wydania ludziom dwóch obiadów zamiast jednego będę musiał, jak mi to już w Łodzi zapowiedziano, za 250 porcji obiadowych ze swej kieszeni zapłacić.

Poznańskie jeszcze się prawie zupełnie nie zmieniło; pokost niemiecki widać wszędzie, w sylwetkach kolejarzy kopających fajki, w mowie, w przyzwyczajeniach itd.

W Poznaniu zostałem na jeden dzień, aby nabyć rewolwer wojskowy. Rzeczywiście udało mi się go kupić za cenę półtoramiesięcznego uposażenia podporucznika.

Przeoczyłem pewien znamieny rys świadczący, do jakiego stopnia pedantyzm niemiecki wszedł w krew Poznańczyków. Gdy oddawałem rekrutów, podoficer odczytywał

głośno listę i kazał wywołanym odchodzić na bok. Otóż podczas odczytywania listy padło nazwisko: Wrona Antoni. Nikt się na to nazwisko nie zgłosił, chociaż podoficer powtórzył je kilka razy. Wreszcie po odczytaniu całej listy okazało się, że pozostał jeden rekrut, a lista już wyczerpana. Podoficer więc wraca do nazwiska, na które nikt się nie zgłosił, i czyta: Wrona Antoni! Pozostały rekrut nic, stoi dalej i nie zgłasza się.

— Czegoż się zaś ale nie zgłaszacie, kiedy was wołam — krzyczy rozniewany podoficer.

— Bo ja się nazywam Krawczyk Jan, a nie żaden Wrona.

Tu podoficera zupełnie już poniosło, bo nie mógł nawet przypuścić myśli, żeby w liście była omyłka, jaka jednak musiała zajść, skoro poszczególne karty przydziału były zgodne. Rozsierdził się niemożliwie i krzyczy.

— Rekrut Wrona!!! wstąpić do tamtych rekrutów!

— Kiedy...

— Bez gadania, ja się wam, cwaniakom, nabujać nie dam! Jesteście Wrona i już! Wstąp!

Cóż rekrut Krawczyk miał robić, został Wroną i może tak odbędzie całą dalszą swoją służbę.

Rolę dowódcy transportów już zakończyłem. Mam przydział do 3 kompanii. W rozkazie batalionowym jest punkt, iż w kadrze może zostać tylko 30 oficerów, reszta musi być odesłana na front. Może więc ruszą nas do pułku w pole, ale takich amatorów jest tu więcej i mają większe od nas prawa, bo siedzą dłużej w batalionie zapasowym.

O pójściu z kadry w pole nie ma tymczasem nawet mowy. Jeden z nas stawał do raportu z prośbą o wysłanie na front, ale dowódca batalionu dał mu do zrozumienia aż nadto wyraźnie, że wtrącamy się nie do swoich rzeczy, a prócz tego przed wiosną nie będziemy puszczeni, gdyż trzeba przygotować marszówki w pole do pułku i odrobić to, cośmy ze Szkoły Podchorążych wynieśli.

Z zajęciami w kompanii dajemy sobie zupełnie dobrze radę. Trzeba przyznać, że jesteśmy w niektórych dziedzinach dobrze przygotowani i przewyższamy w tym starszych oficerów; mamy za to inne braki, ważniejsze, bo w wyszkoleniu bojowym, i brak nam zupełnie doświadczenia, a to są przecież wartości o wiele istotniejsze.

Jeżeli idzie o ćwiczenia bojowe, to w batalionie zapasowym nie przerabia się tak często „gotuj broń“ przeciw kawalerii. Ćwiczenia z obrony i natarcia są bardziej bojowe, ale niezrozumiałe dla mnie równanie w tyralierze i tu się stosuje; tak samo dokładność odstępów między szeregowymi na linii.

Kompanie kwaterują w Jabłonnie w małych budynkach drewnianych; ludzie na pryczach. Ciasno i po wysokich salach Podchorążówki wydają się kwatery batalionu zapasowego trochę za skąpe, zbyt brudne i nędzne. Jednak nie jest tu wcale źle żołnierzom; mają kino „Reluton“, w którym przygrywa orkiestra batalionowa; od czasu do czasu odbywa się przedstawienie, rewia itp. Nabożeństwa odprawiane są w kaplicy załogi w Jabłonnie.

Sąd pułkowy karze szeregowych nie tylko aresztem, ale również materialnie np. leg. Gniazdowski Franciszek — ukarany 21 - dniowym aresztem średnim z potrąceniem z żołdu należytości za buty.

Z manią przerabiania części umundurowania nie można sobie dać rady.

Gardła, niezbyt przyzwyczajone do ciągłego wydawania komend i krzyku na powietrzu, zaczynają nas zawodzić. Panuje teraz choroba przeziębieniowa, tzw. „hiszpanka“, coś jak dawniejsza influenza. I mnie to złapało. Nie mierzyłem gorączki i nie chodziłem do lekarza, bo na „hiszpankę“ jedyny wydają środek — aspirynę. Chrypię więc, ale musi być ze

mną niezbyt dobrze, skoro się pocę na mrozie. Głos straciłem prawie zupełnie z przeziębienia i od krzyku, na dobitkę w kompanii naszej ginie codziennie jeden płaszcz i dowódca kompanii, nie mogąc inaczej ukrócić kradzieży, wyznacza co dzień prawie karne ćwiczenia wieczorowe i nocne. Trzeba więc, prócz zwykłych zajęć i służby odrabiać te ćwiczenia.

Miałem właśnie prowadzić z kompanią ćwiczenie nocne za kradzież płaszcza, gdy się okazało, że głos odmówił mi zupełnie posłuszeństwa; porozumiewałem się więc z ludźmi gwizdkiem i ćwiczyłem według umownych znaków gwizdkowych, ale ćwiczenia skróciłem na własną odpowiedzialność i zapowiedziałem kompanii, że jeżeli dzisiaj w nocy złapią tego łotra, co płaszcz wynosi, karne ćwiczenia ustaną raz na zawsze. Kazałem, aby na każdej przyczynie przynajmniej jeden szeregowiec całą noc czuwał.

W nocy obudził mnie żołnierz służbowy. Ogromnie rad, zadyszany, melduje mi, że... złapali złodzieja! Nim przybyłem do kompanii złodziejaszek dostał porządnego łupnia od moich ludzi, a gdybym nie przyszedł, byłiby go zatłukli na śmierć, takiego mu dawali „koca“.

Złodzieja złapano, bo się wszyscy uwzięli i cała prawie kompania czuwała udając, że śpi, gdyż chłopcy wiedzieli, że płaszcz może ginąć tylko w nocy. Złodziej był z obcej kompanii, a swój proceder uprawiał bardzo sprytnie: przez przygotowane za dnia nie domknięte okno dostawał się do pustego korytarza, rozbierał się z umundurowania i wchodził na naszą salę żołnierską niby wracający z ustępu; później nakładał pierwszy lepszy płaszcz, aby wychodząc, z ukradzionym już płaszczem, udawać idącego „na stronę“.

Służba kompanijna nie zwracała należytej uwagi na wychodzących i wracających z ustępu, w ten też sposób złodziejaszek mógł grasować w naszej kompanii od dłuższego czasu.

Od wypadku z płaszczem żołnierze w kompanii patrzą na mnie zupełnie innym niż przedtem okiem. Związały nas ze sobą mocne nici dbałości o dobro żołnierskie, o ich sen i odpoczynek. Rozkaz wydany kiedyś był wykonywany szybko i poznacznie bardzo lojalnie, ale właściwie dopiero teraz lojalność jest więcej niż służbowa i taka jakaś szczegółna. Wypadek z płaszczem dał mi więcej materiału do rozważań nad sprawami: dowódca, podwładny i ich wzajemny stosunek, a więc

nad sprawą wychowania, niż wszystkie wykłady, jakie dotąd na ten temat słyszałem. Teraz wiem już, że nie mój głos ani też moja gwiazdka, ni nawet rygor żołnierski i lęk przed raportem każe ludziom wykonywać dobrze moje komendy, rozkazy i polecenia, lecz chęć wynikająca z serdecznego stosunku do przełożonego. Widzę w tym najbardziej wartościowy czynnik karności żołnierskiej i podporządkowania się, toteż na tej drodze muszę nadal poszukiwać możliwości zbliżenia się do żołnierza.

„Hiszpanka“ trzyma mnie mocno, a każdy dzień coraz bardziej mnie osłabia. Byłem u lekarza batalionowego. Załużę jednak, że chodziłem, bo skończyło się na proszku aspiryny. Trzeba by właściwie poleżeć kilka dni, ale w naszym pokoiku przy ustawicznym ruchu, chłodzie i ciągłym kręceniu się kolegów i naszych ordynansów nie może być mowy o jakimkolwiek chorowaniu.

Miałem dzień wolny od zajęć. Trzeba było wykorzystać sposobność i pognębić „hiszpankę“ rozgrzewając się należycie. Poradzono mi, że bardzo dobrze jest się położyć do łóżka i napić gorącego wina. Posłałem po wino do kantyny francuskiej, wypilem i leżę. Tymczasem koło południa wpada do mnie łącznik z kompanii z pismem, że mam dzisiaj objąć służbę oficera inspekcyjnego batalionu, gdyż wyznaczony oficer zachorował. Cóż było robić? Mogłem wprawdzie również zameldować o chorobie, ale czyż nie byłem u lekarza? czy kazał mi się kłaść do łóżka?

Wstałem i szybko się przygotowałem do służby. Czasu było niewiele.

Spotkała mnie pierwsza w wojsku niezasłużona nagana. Dowódca batalionu poczuł, gdy meldowałem objęcie służby, że piłem wino i powiada:

— „Od kiedy to oficerowie zalewają się idąc na służbę? Mógłbyś się pan napić jakiejś przyzwoitszej hary, żeby od pana tak nie jechało!“

Nic nie odpowiedziałem, ale przecież nie miałem wyznaczonej służby i wzięto mnie do niej bez uprzedzenia.

Już siedemnasty dzień mija jak leżę w domu w Warszawie. Otóż służba w batalionie dobiła mnie do reszty, ale dotrwałem aż do zdania raportu. Korzystając ze sposobności zdawania służby poprosiłem dowódcę batalionu o przepustkę do domu, do Warszawy. Przepustkę dostałem i... dalej pamiętam tylko tyle, że szedłem gdzieś po śniegu, ale o tym, jak się dostałem do domu, nic nie wiem.

Lekarz inspekcyjny m. Warszawy po zbadaniu polecił mi bezapelacyjnie leżeć. O chorobie mej miał powiadomić batalion fonogramem.

Już po raz drugi nie znajduję zrozumienia u dowódcy batalionu. Gdy zameldowałem powrót z domu po chorobie, dostałem odprawę w sensie, że „takie“ zawiadomienia jak to, które przyszło o mojej chorobie z Warszawy, ma się gdzieś. Zorientowałem się, że dowódca batalionu w chorobę moją nie wierzy. W Warszawie nie byłem ani chwili dłużej, niż należało, i wprost z łóżka, jeszcze jako rekonwalescent, pośpieszyłem do Jabłonny nie korzystając wcale z uroków miasta.

Boję się, że trudno mi będzie przeżywać nadal podobnie niesprawiedliwe oceny. Tymczasem tłumaczę sobie, że każdy człowiek jest omylny i że dowódca batalionu bywał zapewne służbowo naciągany przez niezbyt sumiennych i mało lojalnych żołnierzy i że kieruje się swym paroletnim doświadczeniem, więc musi mieć rację, skoro tak postępuje. Trudno, trzeba schować głęboko wszelkie urazy i niezadowolenia osobiste.

Na ćwiczeniach bojowych zostałem ranny odłamkiem granatu. Aby stworzyć prawdziwą grozę bitwy, zabieramy po kilka granatów trzonowych niemieckich lub austriackich do pozorowania nimi wybuchów pocisków artyleryjskich. Nauczy-

łem się odpowiedniego „wytrzymywania“ granatów: trzyma się nie 3 sekundy (licząc 121, 122 i 123), ale dłużej, po czym rzucony w górę granat wybucha w powietrzu jak szrapnel.

Kiedy rzucałem granat w taki właśnie sposób, musiałem go zbyt długo przetrzymać, bo wybuchł niezbyt wysoko nad głową, a jeden z odłamków przeciął mi nos do kości. Bardzo krwawiłem.

Odbywamy ćwiczenia w szerszym zakresie, stąd wniosek, że już się wykańcza szkolenie marszówek. Niedługo więc koniec z kadrą.

Jak się dowiedziałem, tym razem nie zostaniemy zatrzymani i pójdziemy do pułku w pole. Ogromnie jestem ciekaw, jak pójdzie mi dalsza służba i praca.

Przyszedł rozkaz zmieniający przepisy umundurowania: nie będziemy już nosili maciejówek i „trzepaczek“; mamy mieć rogatywki, a na naramiennikach gwiazdki blaszane małe i na rękawach duże. Kurtka kroju przypominającego mundury wojsk koalicyjnych, jak ją nazywamy — koalicyjna.

Zbliża się odjazd marszówki na front, a więc i mój.

Uzupełniamy wyszkolenie, otrzymujemy i rozdzielamy nowiutkie umundurowanie i oporządzenie. Nasza marszówka nie jest zbyt dobra, jeśli chodzi o skład ludzki. Stosunkowo dużo Żydów, jakichś niedorozwiniętych i słabowitych, wielu z nich utyka ciągle w służbie i choruje. Dowiedziałem się, że przyczyną jest tu machinacja przeprowadzana przez ich rodziny — zaległość jeszcze carskich czasów w Królestwie. Otóż podobno, gdy się rodziło dziecko, rodzina zapisywała noworodka jako urodzonego o kilka lat wcześniej. Przy poborze do wojska lekarz określał takiego poborowego jako niedorozwiniętego (no pewno, jak ma nie 20—21 lat, ale 16 lub 17). Nasze komisje początkowo niedorozwiniętych odrzucały, ale my tu mamy ich kilkunastu, co dowodem, że się teraz nie odrzuca „niedorozwiniętych“. W ogóle za czasów rosyjskich nauczono się różnych sztuczek uwalniających od służby wojskowej, np. sztuczne

przepukliny (nadmuchiwane powietrzem), picie odwaru z tytoniu, uszkodzanie palców u rąk i nóg, podstawianie „łamag“, które się wysyła na różne komisje poborowe, i ci podszywając się pod nazwiska zdrowych poborowych, uwalniają ich jako niezdolni do służby wojskowej.

Kombinacyjki w dziedzinie uchylania się od służby wojskowej trafiają się, szczególnie teraz, gdy powołanie do wojska następuje z poboru. Lekarz batalionu przyłapał np. jednego gościa, który przy pomocy mydła sfalszował sobie objawy choroby wenerycznej. Jak się okazało, nauczył go tego listownie brat, „specjalista“ w tych sprawach. Gdy się zbliża dzień odjazdu marszówek, coraz więcej ma się do czynienia z chorymi. Jest to plaga, którą trzeba umiejętnie tępić. W batalionie znowu tyfus. W robocie szczepionka przeciw tyfusowi i cholercie.

Nasza 1 kompania marszowa ładuje się na st. Jabłonna.

Szablę oddałem na przechowanie do domu, zostawiłem sobie tylko Parabellum i bagniet oficerski przy boku. Biorę ze sobą jeden całkowity mundur ćwiczebny i jeden wyjściowy, płaszcz, buty długie oraz wygodne, bo wynoszone trzewiki amerykańskie jeszcze z Podchorążówki, owijacze, trochę bielizny i dużo papierosów.

Zima 1919—1920.

Marszówki przed wcieleniem do pułków muszą przejść jeszcze osobne przeszkolenie polowe w tzw. Centrum Wyszkołenia 1. dywizji piechoty Leg., dla którego na miejsce postoju wyznaczono Dyneburg.

Drogę z Jabłonny do Dyneburga odbyliśmy koleją. Przekonałem się przy dłuższej podróży, a nasza trwała przecież tydzień prawie, że najlepiej się podróżuje w zwykłych wagonach towarowych, urządzając je odpowiednio. Mimo mrozu na dwo-

rze, w wagonie takim jest ciepło, pali się w piecyku, gotuje dowolnie herbatę, odgrzewa konserwy itd. Rano, jeżeli pociąg się akurat zatrzyma, wyskoczy człowiek na pole, rozbierze się „do rosołu“, wymyje i natrze śniegiem. Wtedy jest i zdrowo i bosko. Na krótkiej stosunkowo przestrzeni od Warszawy do Dyneburga da się już zauważyć różnicę w klimacie. Przy odjeździe z Warszawy na przykład zimy jakby już nie było, za Białymstokiem pola pokryte miejscami śniegiem, potem coraz go więcej, a już od Grodna śniegu w bród.

W transporcie wiedliśmy utarczki z kolejarzami o maszyny. Gdyby nie ustawiczne targi, a nawet groźby (do pistoletu włącznie), jechalibyśmy co najmniej dwukrotnie dłużej. Na każdej stacji po odczepieniu parowozu zaczynała się walka z kolejarzami o nową lokomotywę. I tak od stacji do stacji dobrnęliśmy wreszcie do celu. Pisząc o tym bynajmniej nie chcę obniżać roli naszych kolei, oceniam bowiem pracę naszego personelu kolejowego w czasie wojny (Wilno!) bardzo wysoko. W zasadzie ma ona podłoże głęboko ideowe, w całym tego słowa znaczeniu obywatelskie i wynikające z wysokich walorów moralnych.

Przez sławny most pod Grodnem na Niemnie jechaliśmy nocą i dla dodania sobie kurażu śpiewaliśmy „Za Niemen“.

Z tym mostem jest tak: zbudowali go Niemcy w czasie wojny. Ponieważ brzegi Niemna są pod Grodnem dość wysokie, więc drewniana konstrukcja mostu była bardzo trudna, a trwałość mostu została obliczona na kilka ledwie miesięcy. Obecna jego nośność jest pod znakiem zapytania, ponieważ jednak ta linia kolejowa jest frontowi bardzo potrzebna, więc jeździ się jakoś. Most trzeszczy, maszynista odmawia pacierz w czasie jazdy, a pasażerowie wysiadają z pociągu i wolą łódką lub pieszo po moście przedostać się na drugą stronę Niemna.

Wyładowaliśmy się w Kałkunach. Ponieważ lody na Dźwinie puściły, więc przeprawialiśmy się do Dyneburga na promach z pontonów.

Miałem służbę oficera służbowego transportu, co przy wyładowaniu z wagonów jak i przy przeprawie nie było łatwym zadaniem. Wymarzęm się za wszystkie czasy. Najtrudniejsza

była przeprawa przez Dźwinę. Zdarzało się, że duży kawał kry dostawał się między oba pontony i przechylał prom nawet bardzo stromo, konie zsuwały się do brzegów pokładu. Były nawet wypadki rozerwania pontonów i wpadnięcia przewożonych do wody. W ogóle przeprawa przez Dźwinę może być zaliczona do ciężkich zmagañ z żywiołem. Był tu zbudowany most pontonowy, ale kra go zniosła.

W Kałkunach spotkaliśmy się z naszym pułkiem.

Już na wstępie, gdy tylko poznałem kilku oficerów, a także gdy się przyjrzałem szeregowcom z pułku, zauważyłem ogromną różnicę między żołnierzem w kadrze — i w polu. Jest poza tym w zachowaniu się żołnierzy naszych jakaś szczególna postawa wojska zwycięskiego. Stwarza ją przeświadczenie o wartości własnej i o tym, że się nadstawiało już nie raz nie dwa karku, że się było w ogniu i obcowało za pan brat ze śmiercią.

W Centrum Wyszukolenia w Dyneburgu urządzamy się jak możemy. Porządkuje się koszarę dawnej cytadeli, robi się wszystko, aby stworzyć żołnierzowi jakie takie choćby warunki bytowania.

W pułku, gdy stał w Dyneburgu, panował tyfus, strzeżemy więc przed nim wojsko, ale wojenne zapuszczenie i brud koszar niezbyt naszym wysiłkom sprzyjają.

Po raz już nie wiem który z rzędu wypełniamy znowu karty ewidencyjne. Co się z tymi kartami dzieje, że ciągle je trzeba wypełniać?

Zajęcia w Centrum Wyszukolenia zabierają tyle czasu, że nie opisałem nawet, co i jak robimy w Dyneburgu, a już przyszedł rozkaz, iż mamy się przeprawiać z powrotem na drugi brzeg Dźwiny. Centrum się przenosi z Dyneburga do Słonima. Czeką nas ponowna przeprawa przez Dźwinę i wiele kłopotów, ale do przeprowadzki zabieramy się z zapałem. Dziwna rzecz, jak można szybko nabrać zamięłowania do włości, do cygańskiego, żołnierskiego bytowania. Jak prawdziwe są słowa piosenki „Bo dzisiaj tu, a jutro tam“.

W Słonimie urządziliśmy się wygodnie. Jest tu wojsku znacznie lepiej niż w Dyneburgu.

Mamy dużo pieniędzy. Uposażenie otrzymujemy w rublach rosyjskich, które się wymienia w pierwszym lepszym sklepie na marki. Otrzymuje się w ten sposób podwójne pobory, aż tyle zyskujemy na wymianie. Żydzi tutejsi za bytności Niemców nauczyli się szanowania munduru. Gdy widzą idącego naprzeciw oficera, schodzą na kilka kroków przed wyminięciem go na jezdnię i kłaniają się uniżenie.

Właściwie nie widzę wielkiej różnicy między naszym szkoleniem kadrowym a tutejszym szkoleniem w Centrum. Robimy większe marsze. Ostatnio mieliśmy przeprawę z pewnym szeregowcem, który przed rozpoczęciem marszu przez kompanię wystąpił i zameldował, że jest chory i marszów odbywać nie może. Ale rano do lekarza się nie zapisał. Gdy dowódca kompanii kazał mu wstąpić do szeregu, upadł i udawał zemdłego, co dla nas, mających już doświadczenie w takich sprawach, było oczywistym i łatwym do wykrycia udawaniem. Postawiony na nogi, odbył cały marsz przeszło 30-kilometrowy w jak najlepszej formie. Od tego dnia poprawił się nawet jako żołnierz.

Wielkanoc. Świącone dla całego batalionu przygotowały siostry zakonne w tutejszym klasztorze. Żołnierze mieli używanie nie lada. W klasztorze przygotowano stół z pięknym nakryciem dla chłopców (z widelcami i nożami!); wchodziła grupa, zjadała, zastawiano nowe nakrycie itd. dla całego batalionu. Takich świąt niejednen z chłopców, być może, w życiu swoim nie widział. Orientując się po urządzeniu świąt można wnioskować, jak wiele da się zrobić dla żołnierzy, jeżeli dowódca jest obrotny, dbały i staranny nie tylko w dziedzinie wyszkolenia, ale także i w tej, która przez żołądek prowadzi prosto do żołnierskiego serca.

Co do nas, to spędziliśmy święta dość wesoło. O kilka kilometrów od Słonima znajduje się dwór hrabski. Na wiadomość

o tym dowódca Centrum postanowił, że na święta pojedziemy w gościnę do pana hrabiego. Jak się bawić, to się bawić; ludzie mieli bycze święta w klasztorze, teraz na nas kolej.

Założono konie do dwóch wozów, do każdego wozu na rogach wetknięto po jednym świerku, my do środka po sześciu i jazda. Póki dwór był daleko, animusz nie opuszczał nas ani na chwilę, ale gdyśmy podjechali bliżej, straciliśmy trochę rezonu. Nawet dowódca Centrum — znany kawalarz — spuścił z tonu, jednak na krótko, bo zdecydował, że ppor. B. i podchorąży R. mają iść na „rozpoznanie“ i zależnie od okoliczności dać nam od dworu znak, to przyjedziemy albo nie. Poszli. Po jakimś czasie widzimy, że ppor. B. wyszedł z dworu, usiadł na schodkach i się zaśmiewa. Nie wiedzieliśmy, co jest? Ale po jakiejś dobrej chwili, gdy się już dobrze uśmieł, wstał i kiwa na nas. Pojechaliśmy. Ppor. B. opowiedział tymczasem o nieporozumieniu, które go tak ubawiło. Gdy nasi wywiadowcy weszli do wnętrza dworu, usłyszeli, że w jednym z pokoiów gra ktoś na pianinie, pukają — nic. Wchodzą — patrzą: jakaś dama bębni na klawikordzie. Podchor. R., jako że miał ostrogi, wali „kopytami“ i możliwie słodziutkim i miłym głosem mówi delikatniutko: „Pani hrabino!...“ — Nic! dama gra dalej, „Pani hrabino!!!“ — to samo! Dopiero, kiedy brzękiem ostróg i waleniem obcasami zagłuszył piękną melodię granej właśnie „modlitwy dziewicy“ okazało się, iż dama nie odpowiadała, bo nie jest hrabiną. Rozpoznanie pomogło — zostaliśmy zaproszeni i ugoszczeni. Rozmowa tylko niezbyt się kleiła, bo gospodarze byli może trochę zaskoczeni naszym najazdem — „a zbójców było dwunastu“ — nam znów samym winem trudno było rozwiązać języki.

Tak się więc zakończyły święta. Na ten temat można by ułożyć gawędę o tym, jak to legun klasztor i pana hrabiego na poczęstunek naciągnął, ale nie pora teraz na pisanie kawałów, bo roboty dużo.

Zbliża się odjazd ze Słonima i nasza samodzielność w Centrum Wyszkołenia 1. dywizji piechoty Leg. wnet się skończy, używamy więc tych wszystkich radości, jakie daje miasto, niewielkie wprawdzie, ale zawsze miasto.

Wyjeżdżamy. Fakt, że pies z kulawą nogą nie odprowadzał nas na dworzec (jeżeli nie liczyć tych zawsze licznych egzemplarzy płci pięknej, które każdego żołnierza bardzo mocno kochają i za każdym, gdy odjeżdża, płaczą), wcale nie obniżył naszego świetnego humoru. Za dowód niech posłuży wysłany do brygady, przez samego bodaj dowódcę Centrum zredagowany meldunek sytuacyjny tej mniej więcej treści:

„Pogoda — podoba się nam. Stan fizyczny — mocny — 45 do 90%, stan moralny — poważny (wśród pozostającej ludności), stan bojowy: ludność miasta owacyjnie odprowadza batalion na dworzec i wiwatuje przy dźwiękach strażackiej orkiestry. Drogi — zawiane. Reszta jak zwykle. Cześć!“

II

WYPRAWA NA KIJÓW

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1215 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.
TEL. 773-936-5000
FAX 773-936-5001
WWW.CHICAGO.EDU

W. B. E. R. K. I. N. G.

Wiosna 1920.

Przybyliśmy do pułku do Nowej Myszy akurat na sam rwetes przygotowań do wyruszenia oddziałów z miejsca postoju.

Naszą kompanię marszową, liczącą 3 oficerów i przeszło 200 szeregowych, zaraz po przybyciu podzielono i rozesłano do poszczególnych batalionów. Ja dostałem przydział do 4 kompanii ciężkich karabinów maszynowych. Jest to jednostka będąca w rozporządzeniu bezpośrednim dowódcy pułku, którą można w miarę potrzeby wzmacniać ognioowo poszczególne bataliony.

Po zameldowaniu się w kompanii otrzymałem IV pluton. Prócz dowódcy kompanii jest nas tu czterech oficerów, a więc pełna obsada.

Zastępca dowódcy ppor. Starak Antoni oraz ppor. Chmura Witold i ppor. O.

Ppor. Chmura nie ma palca wskazującego u prawej ręki. Stracił go wskutek wybuchu granatu ręcznego, od którego też oberwał po twarzy i ma pokiereszowaną brodę. Jedynie niemieckiemu hełmowi szturmowemu zawdzięcza życie.

Przydział do karabinów maszynowych zmartwił mnie. Dowiedziałem się, iż w kompanii są ciężkie karabiny maszynowe Hotchkissa, gdy ja znam tylko ciężkie karabiny maszynowe Maxima. Nie mam też wprawy w rozkazach i komendach kompanii c. k. m. Gdyby można było, rozporządzając kilkoma

dniami czasu, poznać broń, postrzelać z niej trochę... Ale czasu brak, bo ruszamy do stacji kolejowej Baranowicze, gdzie zostaniemy załadowani. Nasza kompania z dowództwem pułku i I batalionem jedzie w jednym transporcie.

Pułk zabiera ograniczoną ilość koni, sprzętu i całego swego dobytku, gdyż na obecny transport przewiduje się załadowanie jedną trzecią tej ilości wagonów, jaka była użyta przy przewożeniu pułku z Dyneburga.

W pułku prócz trzech batalionów, każdy po cztery kompanie, i naszej 4 kompanii c. k. m. jest jeszcze kompania techniczna. Batalionami dowodzą: I — kpt. Mariański Józef, II — kpt. Kozicki Stanisław, III — kpt. Pakosz Michał. W batalionach po 15 — 19 ciężkich karabinów maszynowych, 2 — 10 granatników i około 500 bagnatów (stanu bojowego).

Robi się ostatnie przeglądy sprzętu i ludzi. Amunicji zabieramy po 5000 na ciężki karabin maszynowy. Umundurowanie zostało uzupełnione, prawie jednolite, wszyscy mają maski przeciwgazowe, francuskie, hełmy w większości francuskie, ale wiele także niemieckich, prócz tego maciejówki i furazěrki, które są bardzo wygodne, bo lekkie i dają odpoczynek głowie po hełmie.

Ładowaliśmy się w Baranowiczach, co trwało stosunkowo długo, gdyż się czekało, aż transport podstawią pod rampę i przesuną, aby cały skład pociągu można było wygodnie załadować. Największy ambaras spadł na głowę oficera załadowczego i służbowego transportu, któremu wszyscy więcej dla kawału niżeli na serio wymyślali, że dał za mało wagonów na ludzi danej właśnie kompanii, za mało platform itd. Chłopcy nasi lubią jechać transportem jak na majówkę. Przystroili zielenią cały pociąg, o co kolejarze mieli do nas pretensję.

W południe byliśmy gotowi do odjazdu i ruszyliśmy. Inne bataliony mają jechać za nami.

Z Baranowicz pojechaliśmy na Sarny, Równe, Szepietówkę, Zwiahel.



Chłopcy nesi lubią jechać transportem jak na majówkę.

Wiosna w całej pełni i krasie. Pogoda wspaniała. Rozbrani do koszul siedzimy na platformach i czujemy się rzeczywiście jak na wycieczce.



Obiad w czasie transportu do Zwiahla.



Zwiahel. Mieszkańcy na stołach założyli »sklepiki«...

Wyładowaliśmy się z transportu w Zwiahlu, skąd zaraz przeszliśmy do lasu na biwak.

Zwiahel — to miasto zniszczone zupełnie. Mieszkańcy na stołach założyli sklepiki, handlując czym się da, aby żyć.

Bolszewicy od Zwiahla są dość daleko, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów.

Wieczorem z ppor. Starakiem i Chmurą poszliśmy z wizytą do jednego z domostw okolicznych. Bardzo ciekawy panuje tutaj zwyczaj malowania podłóg (polepa gliniana). Podłogę i równy pas ściany ponad nią maluje się chyba co tydzień rozpuszczoną w wodzie gliną. Ściany bieli się również często. Nie wiem, czy trafiliśmy na wyjątkowo czysty dom, ale ten, w którym byliśmy, mógłby służyć za wzór dla niejednej gospodyni. Na ścianach różnego rodzaju upiększenia, niektóre wydają się zbyt kosztowne jak na właścicieli lichej stosunkowo chudoby.

Pułk w polu ma swój stały nr 27 poczty polowej, pod który dochodzi korespondencja z kraju do żołnierzy. Także rozkazy pułkowe noszą przed datą napis: „Poczta polowa 27“ zamiast podania miejsca postoju.

24 kwietnia dostaliśmy rozkaz z dowództwa pułku (bo 4 kompania c. k. m., jako jednostka podlegająca bezpośrednio dowódcy pułku, otrzymuje rozkazy wprost z dowództwa jak bataliony), że mamy być załadowani na samochody i o godz. 3.30 ruszymy szosą żytomierską na Wilsk. Podany został zarazem plan działania na Żytomierz dla poszczególnych batalionów: I — dworzec kolejowy, II — miasto od ul. Kijowskiej, koszary i budynki zajęte przez wojsko, III — jako odwód między soborem a pałacem gubernatorskim. Ponieważ na samochody nie mogliśmy zabrać pełnego wyposażenia w amunicję ani też wyżywienia, reszta należności ma być wydana w Żytomierzu.

Ze Zwiahla wyruszyliśmy o godz. 22.30 do Kropiwny, gdzie stanęliśmy po ciemku o godz. 3. Pułk idący w całości, a więc w dużej kolumnie, licznie zebrane w jednym miejscu samochody wywarły na mnie duże wrażenie. Zostałem zasko-



Odprawa przed ruszeniem na Żytomierz. Pplk Dąb-Biernacki (siedzi na pniu) wydaje dyspozycje kpt. Kruszelewskiemu. Obok, oparty na łasce, kpt. Wenda.

czony po prostu ilością samochodów, bo dotąd nie przyszło mi do głowy, że już tak jesteśmy bogaci w sprzęt samochodowy.

Od pułku i od tych samochodów spływała na nas moc i wiara we własne siły, budząc znakomity nastrój mimo niewyspania. Ludzie rwali się do samochodów, bo dla piechura, który wie, co to znaczy maszerować i który ma sposobność zaoszczędzenia swych nóg, nowalia samochodów — to okazja nie byle jaka.

Rozpoczęło się ładowanie na samochody. Żeby jak najbardziej zaoszczędzić miejsca, ludzie upychają się jak śledzie. Nie mogą siedzieć — muszą stać — taka jazda będzie dość męcząca.

Ruszyli na Żytomierz. Na czołe samochód pancerny.

Ppłk Dąb-Biernacki Stefan, dowódca brygady, i kpt. Kruk-Kruszewski Jan pojechali tuż za otwierającym marsz samochodem pancernym.

Mimo zgromadzenia dużej liczby samochodów zmieściły się na nie tylko dwa bataliony; reszta, tj. III batalion i nasza 4 kompania c. k. m. podążają za transportem pośpiesznym marszem pieszym. Zrzędy nam i naszym chłopcom miny, bo przecież ostrzyliśmy sobie apetyt na jazdę, a tu trzeba brać nogi za pas i maszerować.

Dzień przepiękny, ale że od dłuższego już czasu mieliśmy ładną pogodę, więc wyschnięta droga szasta niemożliwymi tumanami pyłu, drobnego jakiegoś i pchającego się do oczu, ust, nosa, osiadającego na umundurowaniu, broni i sprzęcie. Po kilku godzinach marszu jesteśmy nim pokryci od stóp do głów, a z godziny na godzinę warstwa jego narasta zmieniając nasze twarze doniepoznanie.

Samochody przed nami zniknęły z początku zupełnie, ale po pewnym czasie niektóre poczęły ustawać, psuć się, parę wreszcie nawet wyprzedziliśmy. Jesteśmy z tego radzi, gdyż mamy przynajmniej jakie takie wiadomości o działaniach straży przedniej. Samochody utykają, ale jadą. Trzeba naprawiać drogę, a nawet piechota musi pomagać autom. Część ludzi przesiada się na podwozy, związki się pomieszały, bo gdy który oddział ma lepszy samochód, gazuje naprzód. Bolszewicy są oszołomieni naszym niespodzianym i szybkim działaniem. Wszystko wieje! Są już przez 1. kompanię zdobyte „ma-

szynki“¹⁾ i tabor bolszewicki. Chłopcy parokrotnie zsiadali z samochodów i zabierali się do roboty.



W drodze na Żytomierz. Chłopcy parokrotnie zsiadali z samochodów i zabierali się do roboty

Dobre wiadomości działają jak balsam na nasze pomacha-
ne nogi i skwaszone marszem i kurzem humory. Wreszcie i sa-
mi docieramy do szlaku, który jeszcze dymi po niedawnych
utarczkach. Po mostach widać, że je Bolszewicy chcieli pod-
palać, aby zatrzymać naszą kolumnę, ale nie bardzo im się
to udało. Spotkaliśmy też tu i owdzie po paru czy kilku za-
bitych.

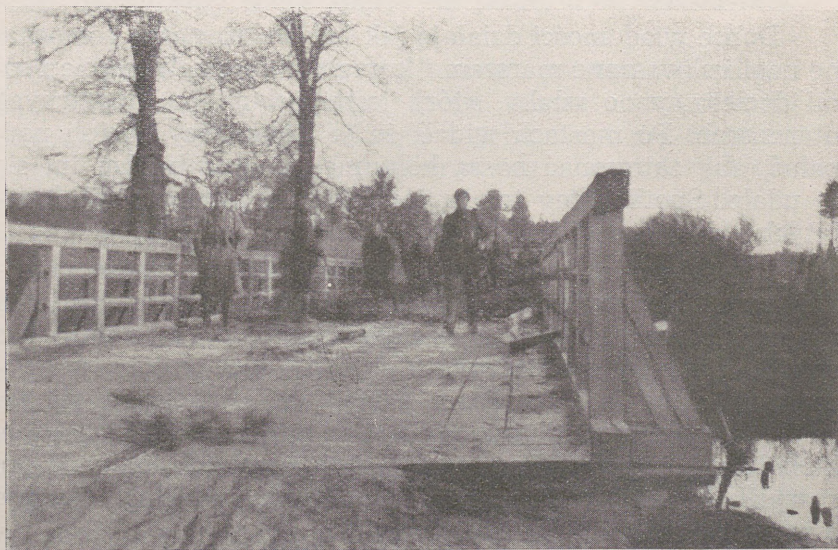
Przyspieszając marsz, aby być jak najbliżej straży przed-
niej i pułku, dotarliśmy na noc do Wilska. Nogi wlażyły, za
przeproszeniem, w siedzenie. Całodzienny marsz bardzo nas
osłabił. Czekając na rozkaz do dalszego wyruszenia, w wie-
czornym chłódzie zmarzliśmy porządnie. Jakiś legionista za-
palił mały ogienek; nie minęło parę minut, a w Wilsku gorzało
kilkadziesiąt ognisk. Poszły na ogień wszystkie płoty. Nocą
ruszyliśmy dalej w kierunku Żytomierza, odległego jeszcze
o jakieś dwadzieścia kilometrów.

¹⁾ Ciężkie karabiny maszynowe.

Szliśmy drogą w lesie, przed nami samochód pancerny. Nie bardzo dobrze jest mieć takiego towarzysza w marszu na przeciwnika, chyba jeżeli znacznie wyprzedza oddział; ten był blisko. Przekonałem się o niezbyt przyjemnych następstwach towarzysza pancernego, gdyśmy podeszli bliżej pod Żytomierz i gdy się już zupełnie rozwidniło. Samochód pancerny ściągnął na nas sakramencki ogień artyleryjski. Pociski, padające w lesie, grzmiały potężnie, łamały drzewa, a kulki szrapnelowe trzaskały i strząsały gałęzie i liście. Ogień ten jednak nie zrobił na mnie żadnego wrażenia, raczej mi się wydało, że jestem na jakichś większych ćwiczeniach i że walimy swoim zwyczajem granaty ręczne „na szrapnel”.

Po jakimś czasie doszliśmy do skraju lasu. Z niego też ruszyło natarcie. Niezadługo z karabinami zdjętymi z wózków znaleźliśmy się w linii nacierającego 5 p. p. Leg., tu też trafiliśmy w gęsty, syczący i świszczący ogień karabinów i „maszynek” rosyjskich.

Przed nami na wzgórzu widać dymki i błyski — to strzelają Bolszewicy. Dowódca kompanii każe zająć stanowiska i strzelać. Przepisowych rozkazów dla plutonu c. k. m. nie znam, ale podałem ten sam rozkaz i pluton już jest na stano-



Szpica zagonu samochodowego na Żytomierz gasi most podpalony przez Bolszewików.
Pierwszy z lewej — ppłk. Dąb-Biernacki.

wiskach i strzela. Była to jednak tylko chwila, gdyż zaraz trzeba było pędzić dalej.

Kilkakrotnie jeszcze zajmowaliśmy stanowiska, ale nie strzelało się z nich długo. Parliśmy naprzód i naprzód. Bolszewików już nie widziałem. Przy skraju Żytomierza zatrzymaliśmy się, a po dołączeniu wózków i uporządkowaniu kompanii ruszyliśmy do środka miasta w kolumnie czwórkowej i ze śpiewem. Miasto było jednocześnie zdobywane z kilku stron. Myśmy szli od północno-zachodniej przez Sokołową Górę.

Ledwie stawiamy pierwsze kroki w mieście, a już widać, że przyjsie nasze tutaj i zdobycie Żytomierza to nie jakiś przypadek lub niepożądane dla miejscowej ludności najście. Z domów wysypują się chmary mieszkańców, wokół widać rozradowane twarze, nie wiedzieć skąd znajduje się nieprawdopodobna ilość kwiecia, którego dostają co krok wiązanek za wiązanek. Przyjsie nasze tutaj było zaskoczeniem nie tylko dla Bolszewików lecz i dla ludności. Spontaniczne okrzyki i kwiaty dawane nam w Żytomierzu świadczą, że byliśmy dla miasta snem błogim, który się niespodzianie ziścił ku radości wszystkich. Kwiaty, które dostają, oddają zaraz żołnierzom za mną idącym, ci gdy już mają dość, oddają jeszcze dalej do tyłu i wreszcie idziemy wszyscy przystrojeni w barwną powódź kwiecia, rozradowani i dumni. Tak dochodzimy do środka miasta. Naraz — strzały!?!... Za chwilę krzyk: „artyleria i karabiny maszynowe do przodu!“ „maszynki na linię!“.

Biegniemy ulicą ile sił starczy, gubimy wszystkie kwiaty i cały radosny nastrój powitania. Dobiegamy do miejsca wypadku, ale już nic tu po nas. Bolszewicki samochód pancerny, który się cofał przed nami, wpadł na 1. kompanię 1. p. p. Leg. Dowódca jej nie spodziewał się, aby od tej strony, skąd myśmy szli, mógł się zjawić bolszewicki samochód pancerny.

Na ulicy ponad dwudziestu żołnierzy rannych i jeden cywil podwodziarz. Kilka koni zabitych.

Rannych, którym krew bucha z poprzecinanych arterii, opatruje nasz kapelan pułkowy ks. Tyczkowski.

Samochód pancerny po zharataniu kompanii wywiął.

Zajęliśmy na chwilę stanowiska na ulicy, ale niezadługo dostaliśmy wiadomość, że wysłany w pogoń nasz samochód pancerny zdobył „bolszewika“. Przechwycenie bolszewickiego

samochodu pancernego było o tyle łatwe, że popsuł mu się silnik. Wówczas jeden z obsługi samochodu wyszedł na zewnątrz. Zastrzelono go. Drugi Bolszewik miał popełnić samobójstwo.

Widziałem w chwilę po tym czerwoną blaszaną gwiazdę zdjętą poległemu dowódcy „Putiłowca“, bo tak się zdobyty samochód nazywa.

Wypadek z „Putiłowcem“ świadczy o dzielności czy determinacji obsługi samochodu pancernego, uwypukla znaczenie zaskoczenia, a także jest dowodem, jak bardzo trzeba być ostrożnym, jeżeli po naszej stronie i u Bolszewików działają samochody pancerne. Dowódca 1. kompanii przyznaje, iż zoczywszy samochód, zresztą gdy ten już był bardzo blisko, zapytał jadącego przed czołem kompanii w dorożce dowódcę pułku kpt. Kruszewskiego: „Panie kapitanie, czy to nasz samochód?“ Ale już zaraz padły strzały z „Putiłowca“.



Czoło I batalionu 1 p. p. Leg. w Żytomierzu na chwilę przed napadem „Putiłowca“. W dorożce dowódca pułku kpt. Kruszewski z adiutantem.

Aby się orientować w porę czy zauważony samochód pancerny jest nasz czy bolszewicki, trzeba ustalić jakieś znaki. Nie może to jednak być znak stały, bo przeciwnik wykorzystałby go dla celów zaskoczenia, ale zmieniany na każde działanie.

Ostatecznie, prócz 23 rannych, nie ponieśliśmy większych strat i trzeba się pocieszać, że wypadek z „Putiłowcem“ skoń-

czył się dla nas względnie szczęśliwie, bo przecież przed kompanią dorożką żytomierską jechał kpt. Kruszewski z adiutantem i gdyby nie wyskoczył szybko z dorożki na chodnik, kto wie, jak tragicznie dla pułku mógłby się zapisać dzisiejszy dzień. Tak samo śmierć groziła kapelanowi, który był jeszcze bliżej „Putiłowca“, bo fotografował właśnie maszerującą kompanię. Ostateczna klęska „Putiłowca“ i wzięcie go jako zdobyczy przywróciło nam dobry nastrój.

Niedługo zaczęła się zbierać wiara ze wszystkich stron miasta. Ludność w dalszym ciągu okazywała nam bardzo wiele serdeczności i zainteresowania. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, byli pełni entuzjazmu, nie spodziewali się naszego przyjścia, a także nie przypuszczali, że wojsko polskie jest tak dobrze zorganizowane.

Okazuje się, że my, którzyśmy maszerowali pieszo, zrobiliśmy w ciągu 30 godzin 80 kilometrów.

Cały pułk roześmiany i dumny z odniesionego powodzenia. Zamiast odpocząć po marszu, łazimy, oglądamy miasto, słuchamy opowieści na temat natarć batalionów, liczymy i podziwiamy zdobycz. Najważniejsza, że 1. dywizja dobrze się spisała i że Dziadek będzie z nas zadowolony. Czu-



Dworzec kolejowy w Żytomierzu w chwili zdobycia.

jemy się znakomicie. Miasto raduje się z naszej obecności, a więc nie jesteśmy tu intruzami.

Słuchałem relacji z działań, jakie kpt. Kruszewskiemu zdawali dowódcy batalionów. Kpt. Marski-Mariański opowiada ze swadą, rubaszenie i z humorem, jest pełen temperamentu i ma zacięcie tęgiego zabijaki.

I batalion odkuł się najwięcej, gdyż zajął dworzec kolejowy, gdzie zagarnął całe pociągi pełne wszelakiej broni, sprzętu, amunicji i żywności. Przed zajęciem Żytomierza ciężkie karabiny maszynowe batalionu odparły szarżę bolszewickiej kawalerii.



Maszynka odpiera szarżę kawalerii. Z tyłu też nie jest dobrze. Obserwuje kpt. Wenda.

Z ciekawością przyglądają się chłopcy wielbłądowi zdobytemu na Bolszewikach. Zdobył go wraz z „maszynką” i kilku jeńcami jeden z najdzielniejszych podoficerów pułku sierż. Noworyta Piotr. Przechwycił go przy moście. Wielbłąd był zaprzężony do biedki z ciężkim karabinem maszynowym. Myśle, że działa też by uciągnął.

Ppor. Starak dowiedział się od adiutanta pułku, że mamy jeszcze tegoż dnia przejść jakieś 10 km do miejsca postoju. Wobec tego uważał, że nie warto czekać na batalion, do którego mieliśmy dołączyć i maszerować, ale że lepiej będzie, jeżeli pójdziemy od razu sami na kwatery i prędzej się rozgo-

spodarujemy. Nie popasaliśmy więc dłużej w Żytomierzu, lecz ruszyliśmy z kompanią w kierunku Kalinówki.

Zapał zapałem, ale nogi nogami. Zmęczenie wynikłe z odbycia 80 km marszu, a do tego jeszcze walka i silne wrażenia w Żytomierzu osłabiły nas zupełnie. Szliśmy resztką sił w bardzo powolnym tempie. Noc zapadła niespodzianie jakoś i szybko. Ppor. Starak począł mieć wątpliwości co do tego, czy miejscowość, do której idziemy, wolna jest od Bolszewików.

Wysłany został patrol z ppor. Chmurą, który się zgłosił na ochotnika.



Wielbłąd zdobyty w Żytomierzu.

Szliśmy przez Wacków na Kalinówkę. Do Wackowa dobrnęliśmy jeszcze jako tako, ale pozostałe parę kilometrów do Kalinówki wlekliśmy się prawie na czworakach. Niech dunder świśnie! Dziewięćdziesiąt kilometrów według mapy, to po doliczeniu różnych odchyłeń i zakrętasów drogi będzie około 100 kilometrów! W możliwość odbycia takiego marszu nikt chyba nie uwierzy. A jednak dobrnęliśmy do Kalinówki. Ppor. Chmura meldował, że gdy przybył do wioski i zapytał, czy są Bolszewicy, powiedziano mu, że niedawno byli i że na tym końcu wsi ich nie ma. Okazało się, że rzeczywiście, nie tak dawno był we wsi bolszewicki patrol kawaleryjski.

Na drugi dzień przebudziliśmy się dość późno. Okazuje się, że z wymarszem do Kalinówki wyrwaliśmy się bez potrzeby. Wyleźliśmy przed pułk na 10 km i tę noc spaliśmy jako jakaś wysunięta kompania ciężkich karabinów maszynowych między pułkiem a Bolszewikami. Co gorsza, wszyscy byli tak zmachani, że dosłownie nikt nie czuwał i byle patrol mógłby nam narobić porządnego bigosu. Ludzie spali, jak kto przyszedł i klapnął, ale Bolszewicy mieli widocznie pietra, skoro się przez całą noc nie pokazali. Bataliony ruszyły z Żytomierza później od nas i obsadziły rzekę Teterów. Dowództwo pułku i III batalion stanęły razem z nami w Kalinówce, I batalion w Lewkowie.

Budzimy się 27.IV i stwierdzamy brak ppor. Chmury. Początkowo myśleliśmy, że jest w kompanii, ale nie, we wsi go nie było. Byliśmy o niego niespokojni, gdyż znany to w pułku pędziwiatr, o niepospolitej wprost odwadze. Musiał się wybrać gdzieś w stronę Bolszewików, a że w pobliżu jest rzeka, ppor. Starak uważał, iż nic innego, tylko „Chmurka” jak zwykle pogonił za rzekę. Około południa sprawa się wyjaśniła. Ppor. Chmura przyjechał z kilkoma podwodami i przywiózł 27 worków cukru z leżącej na ziemi niczyjej — między nami i bolszewikami — cukrowni, do której trafił tuż po odjeździe Bolszewików. Teraz podobno jest tam taki stan, że raz wywożą cukier nasze oddziały, raz Bolszewicy. Dzięki ppor. Chmurze jest zadatek na słodkie życie.

Wszyscy ludzie w kompanii dostali po menażce cukru. O naszym zbyt wczesnym wyjściu z Żytomierza cicho sza! Bo chociaż był to swego rodzaju wyczyn, wzięto by nas na języki i nie mielibyśmy spokoju.

Kalinówka jest bardzo ładną wsią położoną nad rzeczulką wpadającą do Teterowa. Ppor. Starak umie gwarzyć tutejszym językiem, ja zapamiętałem słowa: małanka, u chaty, u leśu, duże dobre itd.

Pułk w Żytomierzu miał bardzo dużą zdobycz: 1 ciężkie działo, 9 armat polowych, 13 ciężkich karabinów maszynowych, około 300 jeńców, amunicyjny park artyleryjski, 12 samochodów, 2 parowozy, 280 wagonów naładowanych sprzę-

tem i oporządzeniem wojskowym, 1 wielbłąda i 60 koni. Powiedzmy sobie na ucho, było tej zdobyczy trochę więcej, ale zapobiegliwość dowódców, czasem bardzo w takich wypadkach słuszną, każe trochę zataić i przechować na czarną godzinę, szczególnie gdy się zdobędzie jakiś sprawny ciężki karabin maszynowy, amunicję potrzebną do posiadanej już zdobycznej broni, środki sanitarne, łączności, maszyny do pisania, części oporządzenia żołnierskiego itp.

Straty: 3 poległych legionistów, 1 podof. i 25 legionistów rannych, prócz tego zdarzyły się w czasie przewozu samochodami dwa wypadki: złamanie ręki i nogi.

W Kalinówce stoimy już parę dni. Muszą być pewnie w tym czasie podciągane nowe siły i organizowane tyły za armią po naszym dużym i gwałtownym skoku ze Zwiahła.

Jako najmłodszego wyznaczono mnie do dyspozycji kinooperatora, który przygotowuje zdjęcia na temat zdobycia Zytomierza. Musiałem więc ze swym plutonem c. k. m. „strugać wariata” i odtworzyć autentyczne zajęcie miejscowości. Chłopcy bardzo chętnie i sprawnie wykonywali wszystkie poruszenia dla filmu.

Zrobiliśmy efektowny skok z ciężkimi karabinami maszynowymi przez opłotki wsi. Filmiarz powiedział nam, że naszą kompanię sfilmował również na dworcu w Baranowiczach. Film ma być wkrótce wyświetlany w Warszawie.

Pogoda w dalszym ciągu piękna. Poczyściło się już broń i doprowadziło całe uzbrojenie i oporządzenie do należytego porządku.

W dowództwie pułku w Kalinówce był ppłk Dąb-Biernacki. Oficerowie sztabu pułku prócz adiutanta, który ma zawsze harówkę, prowadzą teraz sielski żywot.

Nudzimy się coraz bardziej. Wyszedł nam już tytoń. Tymczasem nadarzyła się sposobność do handlu wymiennego. Chłop, u którego mieszkamy, prosi o wymianę machorki na sól, której tu brak odczuwają. Soli mamy w taborze duże za-

pasy, więc interes ku obopólnemu zadowoleniu został ubity. Machorkę rozdaliśmy ludziom, a i dla nas pozostała należna porcja. Od ludzi swego plutonu dostałem piękną tabakierkę z laki, pochodzącą z „odkucia“, która się akurat nadaje na tytoń i bibułki. O paleniu papierosów w gilzach nie ma mowy, bo i gdzie je kupować. Zresztą, kręcone są znakomite. Jest też w kręceniu papierosa jakiś swoisty rytuał zabijania czasu, coś podobnego jak przy puszczeniu kłębow dymu z fajki.

Byliśmy nad rzeką Teterów. Bardzo ładna okolica. Kraj żyzny i bogaty. Przedłużający się postój w Kalinówce co raz bardziej nas nuży.

Teraz na czole i w działaniu jest 6 p. p. Leg.

Po ciężkim marszu znaleźliśmy się w nowym obszarze koncentracji. Stoimy w bardzo dużej wsi Rożów, w której się mieści cały pułk.

Bardzo mało dotąd wspominałem, że w naszej kompanii jest ppor. O., gdyż niezbyt go lubię, głównie za to, że wystaje przed polową kuchnią żołnierską i albo zajada z niej coś lub ogryza kości. Mówił mi ktoś, że niemieccy oficerowie, jeżeli jadaliby z kotła, brali dla siebie porcje po pobraniu obiadu przez całą kompanię, a podoficerowie — po wzięciu obiadu przez ich ludzi. Uważam, że jest to bardzo ważna sposobność do wykazania, że w tym jednym wypadku, gdy chodzi o sprawę kotła, oficer daje pierwszeństwo szeregowcowi i zarazem uchyla się od wszelkich podejrzeń, że z racji swego stopnia zbiera z kotła jako pierwszy najlepszą porcję. Nie darmo ustala się przecież, który z plutonów (na zmianę) ma brać obiad pierwszy, gdyż przez to unika się wszelkich posądzeń o wyróżnianie i niejednolite traktowanie żołnierzy w kompanii.

Zostałem wyznaczony na rekwizycję. Mam kupić wieprza dla kompanii do kotła. Nigdy rekwizycji w polu jeszcze nie przeprowadzałem, ale otrzymawszy taki rozkaz udawałem, że wiem, jak się to robi. Dostałem wóz, dwóch wojaków i poje-

chałem do wyznaczonej okolicy. W dwóch wioskach nie znalazłem odpowiedniego wieprzka i myślałem, że będę musiał długo jeździć, by polecenie wykonać, gdy w trzeciej natrafiłem na kilku gospodarzy mających liczną trzodę. Z początku nie chciano słyszeć o dobrowolnej sprzedaży ani o rekwizycji, jednak wytłumaczyłem gospodarzowi, że lepiej będzie jeśli się zgodzi na rekwizycję od razu, zostanie bowiem na rękę pieniądze, w przeciwnym razie zabiorę mu wieprza na kwit. To pomogło i chłop bez większego już targu, a bodaj z pewnym zapałem, zabrał się do przygotowania świni i pomagał nawet załadować ją na wóz. Wagi nie było, więc oceniłem wieprza na oko. Zapłaciłem należność i wróciłem do kompanii, gdzie ppor. Starak zwątpiwszy w moje zdolności rekwizycyjne zamierzał już wysłać kogo innego. Tymczasem zrobiłem zupełnie dobry interes, bo wieprz jest zdrowy i duży, a zarazem dostosowałem się do rozkazu co do zachowania jak najlepszego stosunku do ludności, gdyż rekwizycję załatwiłem polubownie.

Stosunki z ludnością w Rożowie są bardzo dobre, ale znowu nasz marsz w przód utknął i siedzimy na miejscu podobnie jak w Kalinówce. Prócz bitwy o Żytomierz nie mieliśmy żadnych utarczek.

Niemcom, w ostatnich już czasach ich pobytu na Ukrainie, dostawało się tego od miejscowej ludności. Wysłani na rekwizycję byli często mordowani, wobec czego musieli wyjeżdżać większymi oddziałami. Później doszło nawet do tego, że niektóre wsie posiadające broń i amunicję napadały na etapowe bataliony niemieckie, zadając im poważne szkody i „odkuwając” się na oporządzeniu oraz różnym dobytku wojskowym. W ogóle dusza ukraińska jest rogata i nie łatwo ją usidlić ani też podporządkować jakiejś władzy. Naród to hardy, pełen wigoru, co wynika zapewne z bogactwa ziemi, dającej warunki nie tylko do życia, lecz nawet do użycia. Mimo, iż jest to przecież już szósty rok wojny, dobrobyt niezaprzeczony. U gospodarzy spotyka się dużo rzeczy zagrabionych w dworach, a także piękne, dworskie zapewne konie.

Stosunkowo niewielka ilość ludzi po tutejszych wioskach sprzyja ruchowi bolszewickiemu. Im bardziej wchodzimy w głąb Ukrainy, tym częściej spotyka się ludność wiosek nie komunistom, ale nam przychylną. Nastrój we wsi daje się wyczuć, gdyż ludność tutejsza albo jest niechętna i stroni od nas, albo też zbliża się z całym wylaniem i radością. Wsie piękne i bogate. Bardzo dużo dzieci. Kiedy przechodzimy przez wieś i widzimy sznur ładnych kobiet z dziećmiakami na rękach, pytam, ot tak sobie, aby tylko powiedzieć cośkolwiek: „Co u was tak dużo ładnych dzieci“ — bez zwłoki otrzymuję odpowiedź: „dzieci to duże dobro“. Matki są uśmiechnięte, bo rade, że ich pociechy wzbudziły zainteresowanie. Przekonałem się, że najłatwiejszy sposób pozyskania sobie ludności, to zainteresowanie okazane ich dzieciom. Od razu pękają lody obojętności i nawet jakiś nieufny chwilowo i oporny nastrój staje się z powodu „pochwały dzieci“ swojski i życzliwy.

6 pułk spędził Bolszewików znad rzeki Irpienia i ścigał ich mocno. Wywiali bodaj aż za Dniepr. Kijów ma być wolny od Bolszewików.

Ludzie z kompanii stawali do raportu z zażaleniem na kucharza, że obiad był za... słodki! A tak, bo na deser dodano kompot śliwkowy nie żałując cukru zdobycznego. Raport był zrobiony dla kawału. Kompania chciała w ten sposób zaznaczyć, że jej się świetnie powodzi.

Ppor. O. z dniem 4.V został przeniesiony od nas do sztabu pułku.

Jesteśmy w Kijowie!

Wkroczyliśmy tu 8 maja wczesnym rankiem. W jednej wiosce przed Kijowem witała nas ludność oficjalnie chlebem i solą. Pierwsze to zdarzenie na Ukrainie, więc notuję je skrętnie. Pozostała do Kijowa przestrzeń odbyliśmy w paru

etapach. Ostatnie marsze były uciążliwe, ale bez styczności z Bolszewikami. Wobec obawy walk w mieście zaznajomiono nas z instrukcją o walkach ulicznych. Najważniejsze uwagi są następujące:

- przeciwnik może walczyć w ubraniach cywilnych, trudno więc będzie go odróżnić od mieszkańców;

- oddziały przed wejściem do miasta mają być skupione i prowadzone w kolumnach dosyć luźnych, lecz głębokich, rzędem, dwójkami (odwody);

- zajmować panujące punkty i budynki;

- poszczególnymi oddziałami oczyszczać ulice, zostawiając po kilku ludzi na rogach i ważniejszych skrzyżowaniach;

- dokładnie wyznaczyć obszary natarcia;

- ogień karabinów maszynowych i karabinów jest mało skuteczny, najskuteczniejszy ogień moździerzy i artylerii;

- barykady zwalczą się za pomocą moździerzy i granatów, artylerią lub przez obejście bocznymi ulicami przy związaniu ogniowym obsady barykady od frontu;

- szybkie podchodzenie samymi piechurami naraża na straty i nie daje rękojmi powodzenia;

- piechota posuwa się małymi patrolami, rzędem po obu stronach ulicy, tuż pod ścianami domów, możliwie razem z samochodami pancernymi, w każdym patrolu ma być obserwator obserwujący okna po przeciwnej stronie;

- patrole mają być dobrze uzbrojone i złożone z umiających rzucać granaty ręczne;

- w razie wstrzymania posuwania się zdobytą część miasta natychmiast umacniać;

- ciężkie karabiny maszynowe umieszczać na balkonach i oknach, w miejscach gdzie się ulice załamują;

- posuwanie się skutecznie obszarami nawiązując łączność z sąsiadami i zamykając boczne ulice stałymi patrolami;

- u wylotu bocznych ulic wywieszać napisy zabraniające wychodzenia z tych ulic;

- okna i bramy domów muszą być zamknięte;

- czołgi i samochody pancerne piechota zwalczą przez obsadzanie okien parterowych oraz bram przyległych domów i przez obrzucanie czołgów granatami;

- moździerze posuwają się z czołowymi oddziałami;

— armaty zaprzężone w dwa silne konie lub przyczepione do samochodów pancernych (ciężarowych) — oficerowie i obsługa pieszo;

— samoloty bombardują punkty oporu, gniazda karabinów maszynowych, stanowiska baterii; ostrzeliwają ogniem karabinów maszynowych obsadzone przez nieprzyjaciela a wysoko położone przedmioty (dachy), cofające się lub nadchodzące kolumny wroga.

Zostały wydane plany miasta Kijowa. Na zakończenie odprawy przypomniano nam, żeby nie dopuścić do żadnych wykroczeń przeciw spokojnym mieszkańcom. W mieście mamy przez pierwszą noc trwać w ostrym pogotowiu i ubezpieczać się samodzielnie.

Z instrukcji tej nie skorzystaliśmy, gdyż wejście do Kijowa odbyło się bez przeszkód. Bataliony przeszły przez miasto aż do mostów, które ubezpieczyły okopując się na brzegu Dniepru.

Gdy kpt. Kruszewski pojechał na odcinek pułku nad Dniepr, aby skontrolować oddziały i obejrzeć stanowiska, Bolszewicy akurat rozpoczęli z drugiej strony Dniepru silny ogień.

Nastrój mieszkańców Kijowa tak samo jest dla nas przychylny jak w Żytomierzu, ale ludność tutaj jakaś wynędzniała, mizerna, tak iż nawet ich uśmiech wygląda jak przez łyżę. Dostaliśmy dużo kwiatów. Ale nie ma takiej radości w sercach żołnierzy jak przy wkraczaniu do Żytomierza, gdyż wejście do miasta nie zostało okupione bezpośrednią i ciężką walką.

Zostałem wyznaczony na kwatermistrza kompanii. Byłem zmęczony marszem, ale trzeba było ten kłopotliwy rozkaz wykonać. Poszukując kwater dla kompanii trafiłem na opuszczony budynek, tzw. pałac Tereszczenki. Nadawałby się znakomicie na kwaterę, gdyż było w nim wiele pustych pokoi, ale w niektórych znajdowało się jeszcze tyle zabytków sztuki, obrazów, rzeźb itp., że jako rozmiłowany w tego rodzaju dziełach rąk ludzkich nie mogłem się zdecydować na umieszcze-

nie kompanii w pałacu, bo mimo najlepszej opieki dzieła sztuki mogłyby ulec zniszczeniu.

W pokojach zastałem kasy pancerne pootwierane na oścież i próżne.

W dalszych poszukiwaniach po mieście natrafiłem na możliwe kwatery dla kompanii na ul. Funduklejowskiej, gdzie się też znalazło pomieszczenie wygodne dla koni, a naprzeciwko kwatery dla oficerów w jakimś ponurym hotelu, w którym nikogo teraz prócz właścicieli-Zydów nie było. Toteż kwatery zajęliśmy. Na Funduklejowskiej w pobliżu naszej kwatery nad dawnym sklepem zegarmistrza wisi duża okrągła rama po zegarze, która z daleka już wskazuje mi drogę do kwatery.



Kijów. W pobliżu naszej kwatery wisi duża okrągła rama po zegarze... (Wśród trzech idących oficerów – kpt. Kruszewski).

Mimo wszelakich zarządzeń o trzymaniu krótko żołnierzy dość duża ich ilość włóczyła się po mieście. Jest wprost plaga z typami rekrutującymi się przeważnie z żywiołów zbrodniczych, a które w drodze poboru dostają się przecieź do szeregów. Dobrze, jeżeli taki grandziarz potrafi zawsze wszystko stawiać na jedną kartę, bo wtedy przynajmniej ma się z niego pociechę w pewnych wyjątkowych i hazardowych poczynaniach wojennych; ale większość ich mocna jest głównie w ję-

zyku i w swej bezwzględności w stosunku do słabszych, wykorzystując przewagę swego munduru i karabina jedynie dla grabieży, a czasem dla pospolitego mordu. Tacy osobnicy powinni być bezwzględnie jak najsurowiej karani. Na „odkucie“ leci każdy żołnierz i cieszy go drobiazg jakikolwiek, jeżeli już nie dla wartości samej, to przynajmniej jako pamiątka.

W dniu 9 maja odbyła się w Kijowie defilada przed gen. Rydzem-Śmigłym, dowódcą 3 armii. Wypadła imponująco. Trwała około trzech i pół godzin. Zrobiła duże wrażenie na mieszkańcach. Po przedefilowaniu przed gen. Śmigłym-Rydzem, wystąpiliśmy z ppor. Starakiem z kompanii aby zobaczyć wszystkie oddziały. Defilada i na nas zrobiła duże wrażenie. Stojąca obok nas Polka, patrząca na defilujących w hełmach francuskich, niemieckich, furażerkach, rogatywkach poznańskich, pytała mnie za każdym razem, czy to francuskie, niemieckie, lub angielskie wojsko. Nie mogła zrozumieć i uwierzyć, żeby maszerujące całymi godzinami oddziały były oddziałami polskimi, że to nasi, że Polacy w takiej sile w Kijowie. Jak się dowiedziałem później, Bolszewicy urabiali nam niezbyt dobrą renomę, wtłaczając w głowy ludności pojęcie, iż jesteśmy „bandą krwawych biało-Polaków“ i byle jak uzbrojoną i obdartą hołotą. Zeby ich dunder świsnął za taką opinię.

I brygada Legionów stanęła załogą w Kijowie, 6 p. p. Leg. jest na przedmościu w Browarach. My tymczasem organizujemy i dostosowujemy nasze życie do warunków bytowania w wielkim mieście.

Jesteśmy więc w Kijowie. Jakże odległe czasy, gdy noga polskiego żołnierza stąpała po tej ziemi władczo i dumnie. Wszystkie dzieła literatury, dzieła sztuki, legendy nawet, które w historii opowiadają o naszych w tych ziemiach walkach i przewagach orężnych, przypominają się jak żywe. Staje przed oczyma obraz Matejki i miecz Chrobrego uderzający o kraty Złotej Bramy. Szczerbiec, miecz panowania królów,

godło władcze ramienia i ducha polskiego, zginął gdzieś w zawieruchach, nie tylko jako widomy znak mocy i dumy narodowej, ale także jako symbol, który by miał nowe zastępy Polaków pasować na rycerzy i wieść ku chwale i potędze państwa wielkiego i mocarstwowego. Ale przecież z woli Dziadka, Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego, przyszliśmy i zawładnęliśmy Kijowem; nie tylko miastem, ale także symbolem szczytów. Boć przecież znowu miecz Naczelnego Wodza uderzył o Złotą Bramę Kijowa. Pamiętny będzie rok 1920, pamiętna się stanie i na najpiękniejszych stronach historii nowych dziejów naszych zapisze się ta chwila.

W dniu 12 maja na przedmoście pod Browarami natarła piechota rosyjska i kawaleria baszkirska. 6 p. p. Leg. poniósł dość ciężkie straty, ale i Rosjanie pozostawili na pobojuwisku dużą ilość zabitych, około 100.

Kapelan, który powrócił z Browar, dokąd zawiózł dla żołnierzy czekoladę z YMCA, miał sposobność oglądania miejsca, gdzie zginął bohaterską śmiercią ppor. Robaszkiewicz z 6. p. p. Leg. Kapelan, bardzo przejęty śmiercią podporucznika, opowiadał mi, że przy natarciu 6 p. p. Leg. na stację Browary zaszła konieczność zniszczenia toru kolejowego dla unieruchomienia bolszewickiej pancerki. Podporucznik Robaszkiewicz nie mając innych środków użył ładunku z granatów ręcznych. W toku zakładania ładunku ukazał się niespodzianie drugi bolszewicki pociąg pancerny. Chcąc wykonać zadanie, a zarazem znajdując się już w położeniu bez wyjścia między dwoma wrogimi pociągami pancernymi, ppor. Robaszkiewicz spowodował wybuch nie dbając o siebie. Tor został uszkodzony, ale mina rozszarpała również oficera. Śp. podporucznik lubił ze zbytkiem fantazji chodzić w ogniu i wtedy zwykł był mawiać: „stać mnie na to“. Tą postawą dodawał ducha żołnierzom. Do założeniaminy na torze zgłosił się na ochotnika.

Nie pić wody! W mieście panuje cholera! Uruchomiono szpital polowy na ul. Milionowej. Linia kolejowa Korosteń-

Kijów uruchomiona (11.V). Nabożeństwo dla wojska odbywa się w kościołach św. Aleksandra i św. Mikołaja.

Stawał do raportu karnego do ppor. Staraka jeden z podoficerów. Przysłuchiwałem się raportowi przez cały czas, bo ppor. Starak bardzo logicznie i wychowawczo załatwia ten obowiązek dowódcy. Nie indyczy się, nie kieruje się też schematycznym (urzędowym) odmierzaniem jakiejś tam ilości dni aresztu lub „udzieleniem nagany“. Raport wygląda jak pogwarka ojca z krnąbrnym synem. Ciągnie się długo, zmusza delikwenta do myślenia, męczy go i karze samą nużącą dłużyzną. Odpowiednio dobrane zestawienia na temat przestępstwa, postawienie sprawy zaufania wzajemnego i wzajemnych stosunków w kompanii i w pułku itd. doprowadza wreszcie do tego, że delikwent naprawdę czuje skruchę i na pewno będzie się starał poprawić, skoro tutaj przy raporcie się rozbęczał, choć to już przecież chłop wąsaty i dzieciaty.

Raport trzeba wykorzystać jako środek wychowania, a karę jako nieodzowną konieczność, stosowaną tylko wtedy, gdy rokuje poprawienie winnego i gdy działa jako odstraszały przykład dla wszystkich szeregowych kompanii. Gdy dowódca spycha pracę w tej dziedzinie i „odwala“ raporty, zadania swego dobrego dowódcy i wychowawcy nie spełnia.

W rozkazie dowództwa pułku ukazał się punkt nakazujący oszczędzanie amunicji do karabinów i ciężkich karabinów maszynowych austriackich, gdyż z powodu uniemożliwienia dostawy tej amunicji z zagranicy i braku surowców, fabryki krajowe nie mogą pokryć zapotrzebowania. Interesuje nas to, gdyż w pułku jest różnorodność sprzętu i broni, a mamy też prócz ciężkich karabinów maszynowych Hotchkissa i Maxima także c. k. m. austriackie Schwarzlose. Z tych wszystkich ciężkich karabinów maszynowych najlepiej podoba mi się jednak Hotchkiss, gdyż jest bardzo prosty w budowie, łatwy do rozebrania i złożenia przez obsługę; trudniej w nim przy manipulowaniu uszkodzić którąś z części. Są one bardzo duże, taka

np. iglica to jakby duży gwóźdź masywny. Hotchkiss zapiaszczony strzela po wleciu wody z manierki do donośnika; lufa łatwo i szybko wymienna. W zimie nie zamarza i tym właśnie przewyższa ciężkie karabiny maszynowe chłodzone wodą. W akcji „Zima“ 1919 — 1920 na Łotwie oddał bardzo wielkie usługi. Maxim ma świetną podstawę, ale zamek zbyt złożony i jest wrażliwy na zapiaszczenie. Schwarzklose bije bardzo pięknie, ale wymaga najlepszych smarów, gdyż naboje muszą być skrapiane oliwą przez osobne urządzenie, inaczej ciężki karabin maszynowy się zacina lub następuje urywanie łusek. Hotchkiss jako broń prosta w budowie jest odpowiedniejszy dla naszych chłopców, gdyż w życiu cywilnym nie mieli oni do czynienia z bardziej złożonymi mechanizmami, niszczą więc broń przez nieświadomość.

Kijów musiał być pięknym miastem, gdy tętnił życiem i dobrobytem; teraz na wszystkich prawie ulicach zburzone przez artylerię domy, ledwie zsunięte z chodników gruzu, brud i swoisty po Bolszewikach odór. Miasto przechodziło kilkanaście inwazji wojsk i band. Grabione, niszczone i terroryzowane, jest obecnie smutne i wygłodniałe.

Wystarczy jednak pójść do Parku Kupieckiego, spojrzeć na szerokość i rozlewność Dniepru, na bezkresną dolinę rzeki, aby odnaleźć wszystkie wartości dane przez naturę temu grodowi, jeśli chodzi o piękno położenia.

Ludność bardzo różnolita. Polaków dużo. Ale mieszczaństwo są już u kresu sił, wynędzniali, głodni, ubrani nędznie, w tłumie szarzy i przygaszeni; resztki swego dobytku oddają za kartofle, sól i mąkę lub chleb. Ogromne przeciwieństwo z ludnością wsi ukraińskiej, która jest syta i zasobna.

Odkryto w różnych dzielnicach miasta podziemne nory czerezwyczajki ze śladami jej krwawych porachunków.

Życie miasta zaczyna się przy nas ożywiać, rusza się prasa, otworzono teatr.

Nasze oficerskie kwatery w hotelu na Funduklejowskiej strasznie ponure. Właściciele hotelu odnoszą się do nas z otwartą niechęcią. W pobliżu kwater kompanii znaleźliśmy naukowe panopticum figur woskowych z eksponatami chorób wene-

rycznych. Pokazaliśmy je kompanii. W Kijowie moc kobiet z największą gotowością prześpi się z byle kim, choćby za kawałek chleba.

I batalion urządził na wielką skalę zakrojonę bibę. Okazja — zaręczyny kolegi, który swą przyszłą odbił na Bolszewikach w Żytomierzu.

Śpiewy wszelakich piosenek i „Pierwszej Brygady“ były jak zwykle podkładem dobrego nastroju i kanwą uczty. Kpt. Mariański w I batalionie zaprowadził swój sposób picia alkoholu: cyk (to znaczy jeden kieliszek), po nim papierosik, następny cyk — dykteryjka — po trzecim dopiero przekąska. Ma to być zwyczaj regulujący sprawy jedzenia i picia. Notuje nawet takie drobiazgi, gdyż interesujące jest przecież, jak wypełniamy sobie chwile życia w dniach odpoczynków, gdy nie trzeszczą strzały i krew się nie leje. Składa się na nie cała moc drobiazgów, z pozoru dziwacznych i dla zwykłego, nie będącego na wojnie człowieka — „pomylonych“, nielogicznych pomysłów i kawałów. Ale widocznie tak być musi. Dla odprężenia nerwów, dla podkreślenia, że się żyje, a skoro tak, to i używać trzeba. Obywatel wyciągnięty gdzieś z Warszawy z ustalonego trybu życia sybaryty, z piernata puchowego po regularnie odespanej nocy — otóż taki obywatel posadzony wśród nas na uczcie czy pogawędce mniemałby, że dostał się do szpitala wariatów czy też między ludzi zdziecinniałych i dziwaków. Tak prymitywne, drobne i małe są potrzeby w sprawach uprzyjemnienia sobie dni wolnych od walk. Bo kto wie, już jutro, a może już w tej chwili wystukuje się na maszynie pułkowej rozkaz, który rzuci nas ku nowym działaniom i celom, ku pracy żołnierskiej w warunkach, gdzie krańcowość nastroju będzie wymagała mocnych nerwów, silnych nóg i zapału do pokonywania najcięższych i najprzekręstszych przeszkód.

Pełniłem służbę oficera inspekcyjnego pułku. W nocy Kijów jest wymarły i przykry, gdy się chodzi po nim w poje-dynkę.

Przy ul. Kreszczatik 38 został otwarty bezpłatny kino - teatr dla żołnierzy.

Rozkaz pułkowy z dnia 18.V zakazuje nabywania produktów spożywczych przez żołnierzy na targach ze względu na głód panujący w mieście. Chodzi o ułatwienie ludności cywilnej nabywania żywności i nie zwiększanie popytem wrostu cen. Przechwyceni mają być surowo karani.

W dzielnicy peczerskiej obok strzelnicy wojskowej uruchomiono łaźnię garnizonową. Chorych i rannych ma się odsyłać do szpitala polowego nr 903 1. dywizii piechoty Leg. w Kijowie (Ławra Peczerska), wenerycznie i epidemicznie chorych — na Wielką Wasilkowską.

Rozkazem pułkowym zostało zabronione ostrzeliwanie samolotów przez poszczególnych żołnierzy, gdyż strzały wywołują panikę wśród ludności. Żołnierze mogą nie rozróżnić samolotów nieprzyjacielskich, zdarzyć się też może wypadek postrzelenia osób cywilnych. Pouczenie szeregowych — pod osobistą odpowiedzialnością dowódców. Zarządzenie to zostało spowodowane wypadkiem ostrzeliwania w dniu 20 maja samolotu bolszewickiego przez poszczególnych żołnierzy, co wywołało niepokój ludności co do przyczyny ognia karabinów i artylerii. Samolot uciekł. Tegoż dnia został strącony inny samolot bolszewicki

Jadę do kadry!

Wezwano mnie nagle do dowództwa pułku, gdzie zostałem wyznaczony na dowódcę transportu ze zdobyczą odsyłaną przez pułk do kadry w Jabłonnie. Zdobycz mam sam zbierać w batalionach i śpieszyć się. Jadę razem z transportem 5 p. p. Leg., który już jest załadowany na dworcu.

Rozpocząłem wędrowkę po batalionach. Zastałem duże magazyny pełne cukru i wszelakiego dobra, ale gdy przychodziło do najważniejszej rzeczy, do wydania mi tych skarbów, dostawałem tylko cukier, kaszę gryczaną i inne drobiazgi. Cukru nawet, mimo iż jest go w niektórych batalionach bardzo dużo, także skąpią. Zebrałem tylko 48 worków, kilkanaście worków kasz oraz trochę różnego sprzętu zdobycznego. W III batalionie dano mi stare działo zdobyczne. Z całym tym do-

bytkiem udałem się na dworzec. Tu załadowałem zdobycz i ponieważ mieliśmy jeszcze wolne wagony, w porozumieniu z dowódcą transportu 5 p. p. Leg., zabraliśmy parę rodzin polskich, które na wszystko zaklinały nas i prosiły o zabranie z Kijowa.

Podróż mamy bardzo dobrą. Kolej została już zorganizowana i usprawniona. W drodze mineliśmy kilka transportów wojskowych, ale nie z ludźmi, jeno ze sprzętem. Front nasz na Ukrainie będzie teraz osłabiony, gdyż 15 dywizja odchodzi na front północny, gdzie Bolszewicy nacisnęli na 1. i 4 armię. My ich tu, oni nas tam.

Rodziny, które wieziemy, opowiadają nam o tak krwawych wyczynach bolszewickich, że trudno uwierzyć by taka bestia mogła siedzieć w człowieku i wychynąć z niego, gdy nie jest hamowana tak zwanymi względami ludzkimi. Wartość człowieka w stosunkach bolszewickich mniejsza jest chyba od zapalki, jeżeli w ogóle ma cenę. Nigdyśmy tego narodu, choć słowiański, nie rozumieli, nigdy z nim ręką w rękę iść nie mogli. W jego krwi kłębią się jakieś jady. Wieki mijają, a Rosjanie nie zmienili się ani na jotę — ci sami o mongolskich wystających kościach policzkowych wiernopoddani carobójcy.

Do Jabłonny jechaliśmy osiem dni bez szczególnych trudności i kłopotów. Po przyjeździe, kiedy już załatwiłem podstawienie wagonów mego transportu do Jabłonny, zameldowałem się w kadrze. Ale widocznie nie mam nadal szczęścia do batalionu zapasowego i jego dowódcy, bo dowódca batalionu wysłuchawszy mego meldunku krzyknął: „Ja pana zamknę! To pan już od kilku dni siedzi w Warszawie, zamiast meldować się w batalionie! Widziałem pana w Warszawie na ulicy“...

Zameldowałem, że zachodzi tu jakieś nieporozumienie, bo wyszedłem dopiero przed chwilą z wagonu, wprost po przyjeździe z Kijowa. Prosiłem teraz dopiero o udzielenie zezwolenia na pójście do domu w Warszawie.

Po oddaniu przywiezionej zdobyczy z Kijowa do magazynów, zameldowałem się ponownie w batalionie, gdzie się do-

wódca batalionu tym razem udobruchał i stwierdził, że co do spotkania mnie w Warszawie musiał się pomylić, gdyż według przedstawionego dokumentu podróży jestem w porządku. Udzielił mi też przepustki do domu.

Korzystając ze sposobności zrobiłem sobie nowy mundur, bo zabrane w pole były już podniszczone. Na drugi dzień byłem gotów do powrotu. Film nakręcany w Baranowiczach i Kalinówce był rzeczywiście wyświetlany i jak słusznie przypuszczałem, rodzina oglądała mnie na tym filmie. W Warszawie odbyła się wielka rewia wojskowa z powodu zajęcia Kijowa.

Jestem już z powrotem w Kijowie.

Jechałem wyjątkowo szybko, bo tylko trzy dni. Miałem jakichś wesołych kompanów, z którymi się wcale dobrze jechało. Wagon był rosyjski pierwszej klasy, ale wszystkie pokrycia oparć i siedzeń powycinane. Jakiś zwolennik równego podziału dóbr podzielił się sprawiedliwie własnością państwową, wycinając kosztowne pokrycie siedzeń i oparć w wagonie.

Kpt. Kruszewski wyjechał na urlop i pułkiem obecnie dowodzi kpt. Kozicki Stanisław.

Ukazało się wyjaśnienie, że na terenie Ukrainy obowiązującą walutą są karbowance ukraińskie bądź grzywny. Zabrania się przyjmowania przez wojsko rachunków w rublach i markach.

Spodziewane działanie rosyjskie oraz zabranie z naszego frontu 15 dywizji sprawiły konieczność ruszenia załogi Kijowa dla stworzenia grupy „Wasyłków“ pod bezpośrednim dowództwem ppłka Dąb - Biernackiego Stefana. Do grupy tej w dniu 2 maja odszedł 5 p. p. Leg., a w ślad za nim w dniu 28 maja nasz III batalion, gdyż przed 5 p. p. Leg. poczęły się gromadzić większe siły Bolszewików. W ten sposób zmniejszyła się ilość oddziałów załogi w Kijowie.

Mnożą się różnego rodzaju przestępstwa, a więc i kary, np. za zbrodnię buntu — 3 lata więzienia, za sprzedaż papierosów kompanijnych — degradacja i 3 miesiące więzienia, za kradzież 251 rubli 40 kop. na szkodę prywatnego właściciela — 1 rok ciężkiego więzienia obostrzonego raz na tydzień twarym łóżem i postem, za kradzież 2 koni — 2 lata więzienia, za zbrodnię rabunku — 3 lata ciężkiego więzienia itd.

W czasie gdy jeździłem do Jabłonny, odbyła się defilada wojsk ukraińskich i naszego II batalionu przed Petlurą, naczelnym atamanem wojska ukraińskiego.

Ustalone zostały znaki rozpoznawcze dla oddziałów ukraińskich stojących na froncie w łączności z wojskami polskimi: biała opaska na lewym rękawie. Cel — odróżnienie oddziałów ukraińskich od bolszewickich ze względu na ich niejednolite umundurowanie.

Z ppor. Starakiem chodzimy do teatru, uczęszczamy też do kawiarni polskiej pod sienkiewiczowską nazwą „Danusia”. Ponieważ już stosunkowo długo stoimy w dużym mieście zawiązują się mniej lub więcej trwałe znajomości i miłości, bo też Kijów obfituje w ładne choć wybiedzone niewiasty. Jeden z kolegów miał na ten temat zabawne zdarzenie. „Przystawił” się na ulicy do uroczej damy i asystował jej przez czas spaceru po mieście. Zachwycony jej wdziękiem oraz ucieszony niezmiernie, iż jego właśnie los obdarzył niespodzianym poznaniem pięknej nieznajomej, począł snuć już na przyszłość różowe plany. Gdy przyszło do pożegnania i dama podała swe nazwisko dodając zarazem, iż jest żoną oficera, nieszczęsnego adoratora omal szlag nie trafił na miejscu; stanął na baczność na sam dźwięk nazwiska, spiekł raka jak sztubak i czym prędzej, ucałowawszy teraz już zupełnie „służbowo” rączki pięknej „nieznajomej”, machnął przepisowo „w tył zwrot” i wyrwał, aż się kurzyło. Naśmiewamy się teraz z niefortunnego Adonisa, że chyba życie obrzydni mu na czas dłuższy i przestanie się zalecać do pięknych nieznajomych.

Nasza kompania od 21 do 28 maja była w rozporządzeniu dowódcy obrony przeciwlotniczej Kijowa.

Mieszkańcy Kijowa wyzbywają się kosztowności, wymie-

nią ją je na żywność. Na osobnym rynku odbywa się handel wymienny, gdyż nikt w pieniądze papierowe i ich wartość nie wierzy.

Oglądałem ruiny, które mają być pozostałością po Złotej Bramie, są to mury potężne, głazy i cegła, poddane zabiegom konserwatorskim. Kapelanek zrobił w Kijowie dużo zdjęć.



Złota Brama w Kijowie.

Wszyscy są pomęczeni i pod wrażeniem wypadu na Boryspol. Boryspol leży po drugiej stronie Dniepru, bodaj najdalej na wschód, kędy noga żołnierza polskiego w wojnie przeciw Bolszewikom dotąd stąpała.

W dniu 1 czerwca przyszedł z dowództwa pułku rozkaz, z którego można się było zorientować o całości zamierzonego wypadu i działania.

I i II batalion oraz nasza 4 komp. c. k. m. i kompania techniczna miały pojechać statkami w dół Dniepru, wyładować się w okolicy Kojłowa, nocnym wypadem zawładnąć Woronkowem i Hłybokiem, zająć Boryspol, zniszczyć tam stację kolejową. Z działaniem naszego pułku miały współdziałać oddziały z grupy płka Rybaka, stojące na przedmieściu Browary przed Kijowem.

Grupa nasza ruszyła dnia 1.VI o godz. 12.30 do przystani, aby się tam ładować na statki. Ludzie poszli bez oporządzenia i płaszców, z dużą ilością amunicji. Na żołnierza po dwa granaty ręczne.

Okazało się, że statki, na które załadowano grupę, są stare i bardzo już zniszczone. W czasie przewożenia nabierała się do barek woda w takiej ilości, że trzeba było wylewać ją menażkami i czym się da uszczelniać gruchoty. Całe szczęście, że te pływające trumny nie zatoniły. Ale w potrzebach wojennych musi się czasami wykorzystać środki nawet z pozoru niezdadne, aby tylko osiągnąć zamierzony cel. Tak też w tym wypadku, choć się barki do przewożenia wojska nie nadawały, trzeba się było zdać na los szczęścia, bo nie było innego sposobu przebycia drogi i zaskoczenia Bolszewików.



Załadowanie do „pływającej trumny” na Dnieprze przed wypadem na Boryspol.

Ostatecznie, szczęście nam sprzyjało i wszystkie oddziały, choć z opóźnieniem, przebyły nakazaną drogę. Do batalionów dołączył się przy ładowaniu pluton artylerii 1. p. a. p. Leg. Rankiem 2.VI, grupa poczęła buszować na tyłach oddziałów bolszewickich. I batalion zajął Boryspol, a za nim weszła reszta oddziałów grupy. Miasto zostało ubezpieczone. Kapelan siedł przy szpicy i robił zdjęcia.



W marszu na Boryspol (szpica grupy wypadowej 1. p. p. Leg.).

Boryspol został zajęty później niż przewidywały to rozkazy. Winien temu zbyt powolny przejazd ciężkimi barkami.

Początkowo rozegrało się kilka mniejszych utarczek z kawalerią bolszewicką, a I batalion, nacierający około godziny 15 na dworzec, miał do czynienia z dwoma pociągami pancernymi Bolszewików, które rozpoczęły silny ogień. Pancerki te ostrzeliwał pluton artylerii 1. p. a. p. Leg. Dworzec w Boryspolu po zdobyciu zniszczyła zgodnie z rozkazem kompania techniczna.

Przebieg wypadków przybrał później bardziej szybkie tempo. Na Boryspol poczęły walić oddziały kawalerii bolszewickiej bądź w szyku konnym, bądź też spieszone. Tyraliery bolszewickie ruszyły na miasto. Poczęły się toczyć krwawe, zacięte walki w kilku na raz miejscach. 5 kompania wspierana maszynkami 4 kompanii c. k. m. przeciwuderzała, ścierając się w wyjątkowo krwawej walce na bagnety z gęstymi, wyłaniającymi się nagle ze zbóż tyralierami Bolszewików. Podchorąży Galiński i jego pluton 5 kompanii dokazywał cudów odwa-

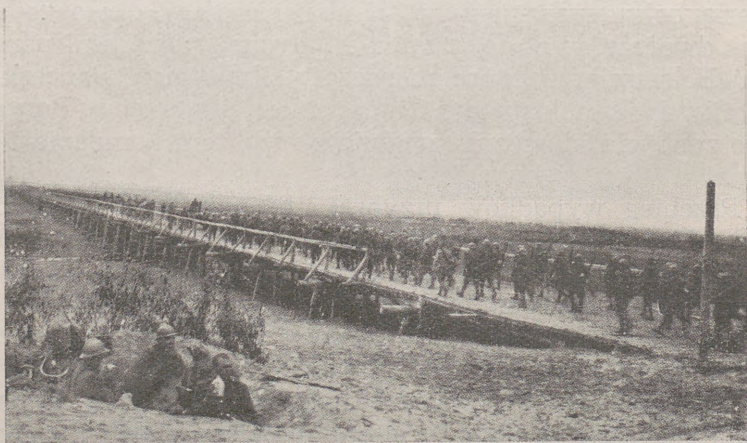
gi w walce wręcz z Bolszewikami. Pojedynczy legionieści potrafili w walce na bagnety pokonać po kilku Bolszewików. Znakomicie spisywał się pluton artylerii z 1. p. a. p. Leg.

Krwawe zapasy, wspierane bardzo skutecznym ogniem naszych ciężkich karabinów maszynowych, przeciągnęły się do godz. 19, kiedy ostatecznie Bolszewicy, poniosłszy przy natarciach na Boryspol znaczne straty, zrezygnowali z walki i cofnęli się. Poczęto zbierać rannych i zabitych. Straty okazały się dość duże: 5 zabitych szeregowych, 2 oficerów i 32 szeregowych rannych, w tym 1 poległy i 8 szeregowych rannych z naszej kompanii.

Bolszewicy ponieśli znacznie większe straty w zabitych i rannych, a także stracili około 20 jeńców, kilkanaście koni, sprzęt artyleryjski i aptekę.

Bataliony nasze liczące niewiele ponad 1000 ludzi zmagaly się z pięcioma prawie pułkami strzelców sowieckich i dwoma pułkami kawalerii wspieranymi dwoma pociągami pancernymi.

Wieczorem została nawiązana łączność z 2 p. s. p., którego batalion do zajętego Boryspola przemaszerował po godzinie 20. Grupa skończyła swe zadanie i pod osłoną naszego pociągu pancernego „Groźny“ odeszła do Darnicy, skąd część pojechała koleją, reszta pomaszerowała. W marszu do Darnicy wobec zmylenia przez kolumnę drogi nastąpiło wzajemne postrzela-



Z wypadu na Boryspol. Pułk w marszu przez wyjątkowo długi most.

nie się z 2 p. s. p., ze stratami z obu stron, chociaż strzelanina trwała krótko.

Nie zanotowałem w kolejności przebiegu działań paru znamiennych dla wypadu pod Boryspolem epizodów. Otóż, przed dojściem grupy do Boryspola, w miejscowości Hłybokie, telefoniści nasi włączyli się do linii telefonicznej Bolszewików. Podsluchane rozmowy wykazały, że Bolszewicy wiedzą o obecności naszej grupy wypadowej i właśnie w czasie podsłuchu wydają zarządzenia swym oddziałom co do przeciwdziałania. Podsluchane rozmowy nie były jednak w całości zrozumiałe.



Kijów. Pogrzeb poległych pod Boryspolem.

Ludność, z którą się grupa zetknęła na wypadzie, okazała się bardzo dla naszego wojska przychylną. W miarę wszystkich rozporządzalnych sił pomagano nam przy noszeniu amunicji, zbieraniu rannych itp. Nastąpiło rozczarowanie, gdy grupa odchodziła, gdyż mieszkańcy nie wiedzieli, że działanie nasze jest wypadem, ale przypuszczali, że wojsko polskie zajmuje miejscowość na stałe.

The first of these is the question of the nature of the evidence. It is not sufficient to show that a person has been in a particular place at a particular time. It is necessary to show that the person has been in a particular place at a particular time, and that the person has been in a particular place at a particular time, and that the person has been in a particular place at a particular time.



The second of these is the question of the nature of the evidence. It is not sufficient to show that a person has been in a particular place at a particular time. It is necessary to show that the person has been in a particular place at a particular time, and that the person has been in a particular place at a particular time, and that the person has been in a particular place at a particular time.

III

ODWRÓT

III

TORONTO

Lato 1920.

Była godzina pierwsza w nocy z 5 na 6 czerwca, gdy zostaliśmy zaalarmowani. Z mojej kwatery, w hotelu Gładyniuka, na ul. Funduklejowskiej, mam bardzo blisko do kompanii. Alarm i odmarsz odbył się bez żadnych trudności. Amunicję mieliśmy nataśmowaną, a „maszynki“ w pełnej gotowości bojowej — przejrane i przestrelane. Stosunkowo szybko zebraliśmy się i rażno pomaszerowaliśmy na ogólną zbiórkę. Z półkompanią 4 kompanii c. k. m. zostałem przydzielony do II batalionu 1 p. p. Leg.

Nie jesteśmy wypoczęci, bo mamy poza sobą wypad na Boryspol (1 — 3.VI.1920) i około 80 km marszu w nogach. Wczoraj odbył się pogrzeb żołnierzy poległych pod Boryspolem.

Trzeci nasz batalion w dalszym ciągu jest jeszcze w grupie „Wasylków“.

.

Idziemy.

Miasto śpi. Ulice puste. Kocie łby jezdni doskwierają przez zdarte podeszwy. Wymyślam sobie w duchu, bo okazuje się, że raczej już wczoraj trzeba było zadbać o buty, nie zaś łudzić się dłuższym odpoczynkiem. Któż jednak mógł przypuszczać, że po wypadzie na Boryspol tak prędko znowu gdzieś pomaszerujemy.

Chłopcy moi nie wyspali się, ale nastrój świetny. Wyglądają dobrze, chociaż umundurowanie już porządnie zniszczone, a przecież nie tak dawno, bo przed wyprawą kijowską, do-

staliśmy duże uzupełnienie wyposażenia. Najgorsze, że nasza kompania podzielona. Trzeba się będzie starać o żywność dla swych ludzi po kompaniach. Nie chodzi o kłopot, ale zawsze co swoja kuchnia, to nie obca, a kocioł to grunt.

.

Zatrzymujemy się.

Korzystam ze sposobności i jeszcze raz przeglądam ludzi, konie i sprzęt. Wszystko w porządku. Konie nieźle, więc nie będzie z nimi zmartwienia. Okazuje się, że mamy zawracać.

Czekam, aż zawiną kompanie strzeleckie. Z kilkoma „sit-wesami“ wymieniam nasze zwykłe powitanie. Nie obchodzi się bez przygadania sobie nawzajem, bo koledzy mają cięte języki. Nie pozostają im dłużny.

Patrzę na legionistów z kompanii strzeleckich: gęby roześmiane, humorek jest. Od czasu do czasu krzyknie któryś: „Oddaj mapę“ albo „Mapa się skończyła“. Niby z powodu zawracania i nadrobienia marszu. Takie już jest to nasze wojsko: lubi trochę popyskować, ale w tym rzecz, że nie tylko w gębie jest mocne.

Po chwili ruszamy i my.

Od czasu do czasu odwracam się i patrzę na mych chłopców. Nie obejdzie się bez tego, abym nie zerknął na legionistę Kaczorka Ignaca, chlubę naszej kompanii i mego plutonu. Spotykamy się wzrokiem, wtedy uśmiechnę się i jestem rad, bo w jego oczach widzę tyle oddania, że naprawdę chętnie śpiewam z chłopcami „raduje się serce“. Chłopcy są śmiali i hardzi, ale oddani i niezawodni, pełni prostoty i serdeczności. W pierwszej czwórce idzie także Włodarek, który z Kaczorkiem tworzy nieodstępną parę. Bywa, że sprzecają się od czasu do czasu, ale przekomarzanie to służy głównie do rozweselenia towarzysztwa i dodania ducha słabszym i młodszym kolegom. Kaczorek ma zwyczaj dodawania powiedzonka „ale to nic“ w najbardziej nieoczekiwanych miejscach swych pogwarek, co ogromnie śmiesznie wychodzi. Jestem rad, że Kaczorek jest właśnie u mnie. Jego gawędy wprowadzają dobry nastrój w plutonie, a nawet w całej kompanii. Mam kilku chłopców spod Myszyńca, z nich to Kaczorek najbardziej się „nabija“ i od „Kurpiów“ albo „Puszczaków“ wyzywa. Ale Kurpie, niby to

pokrzywdzeni, wcale się nie obrażają; owszem, czekają tylko na to, kiedy znowu Kaczorek rozpuści język i da sposobność do śmiechu.

Naszymi ludźmi dobrze i łatwo się dowodzi. Jak najmniej słów, jak najwięcej przykładu osobistego.

Nogi wyciągamy dzisiaj w zwariowanym trochę tempie. Odpoczynki rzadkie. Skręciliśmy na północ i idziemy wzdłuż Dniepru. Gdzie i po co? Nie czas pytać. Z tempa marszu widać, że chodzi o pośpiech.

Konie parskają od czasu do czasu — podobno dobra to wróżba. Wózki kłękają nieustannie. Zauważyłem, że gdy się ma w uszach niezbyt dawne jeszcze odgłosy walki i strzałów, wówczas zwykły turkot wozu czy wózka wydaje się serią strzałów karabina maszynowego. Odwrotnie znów: prawdziwy, daleki ogień karabinów maszynowych, gdy się go dłuższy czas nie słyszało, daje złudzenie w pierwszej chwili turkotania wozu.

Idziemy i idziemy. Legioniści trzymają się dobrze. Trzeba przyznać, że potrafią, gdy chcą, a chcą zawsze. Śmieszne to może, ale moi karabiniarze mają się za coś lepszego od zwykłych piechociarzy, nadrabiają więc miną i mimo zmęczenia marszowego starają się prześpiewać inne kompanie, a śmieją się tak beztrósko, jakby chcieli dowieść, że w ich kompanii jest weselej i lepiej niż gdzie indziej. Jest to poza, ale bardzo pożądana, jeśli chodzi o współzawodnictwo. Nie przytłumiam jej więc, bo prymitywna choćby radość życia musi być tu w polu chlebem powszednim, jako dobre przeciwdziałanie na wszelkiego rodzaju przykrości i udręki polowego życia oraz jako druga strona medalu wojny. Niechże się więc śmieją, a śmieją się często, i teraz nawet, gdyż Kaczorek — ten kompanijny pyskacz i wesołek — rozpoczął właśnie swoje codzienne przekomarzania z Kurpiami, bo trzeba też było, że zaczęli się uskarżać na piaski naddnieprzańskiej drogi. Nasz wesołek wykorzystał zaraz tę sposobność i wypomniał Kurpiom „kanienie“, „wadoły“, „psiochy“ i „kierple“ ich stron rodzinnych. I z tak pozornie błahej przyczyny jest śmiechu co niemiara. „Ale to nic — powiada — ale to nic“.

— Droga im zła — głądzi — a u was to pewnie sios na Kurpiach?... z kanieni i psiochów?!... cha! cha! cha! Nieraz se myślę po co wam buty fasują. A bo wyśta kiedy w butach chodzili? Wejdziała na lipe boso, posiedziała, łyka nadrzeta, łapcie — te niby kurpiowskie kierple — upleciała i w takich łykowych buciagach bez całe zime i lato po swoich kanieniach i psiochach gazujeta... Ale to nic.

Na to Kaczorkowe gadanie, Włodarek zaśmiał się i swoim charakterystycznym śmiechem zaraził parę pierwszych czwórerek.

Kurpie nie mają jakoś dzisiaj ochoty do przekomarzań, śmieją się więc z gadaniny, jak i wszyscy. A niechże tego Ignaca!

Kaczorek, pogadujący ciągle o tym i o owym, idzie, jak zwykle w marszu długim i ciężkim, jakoś cudacznie wyrzucając przed siebie kij, który sobie umyślnie na tę wyprawę na pierwszym zaraz odpoczynku wystrugał. Jest doskonałym strzelcem celowniczym przy karabinie maszynowym, i niezastąpionym dostarczycielem wszelakich wiadomości na każdym miejscu i w każdym położeniu. Czasem wiadomości są przeinaczone albo zgoła fałszywe, ale zawsze potrzebne kompanii tak samo, jak amunicja, umundurowanie, kuchnia lub list z domu, którego gdzie tam teraz wypatrywać. Kiedy idziemy znowu do bitwy, gdy chłopcy wyciągają nogi ku niewiadomemu zdarzeniu, trapią ich przeróżne pytania, wątpliwości i zagadki, na które sami nie znajdują odpowiedzi; nie dowiedzą się też wszystkiego ode mnie, bo albo powiedzieć nie mogę, albo sam nie wiem.

.....

Zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Kaczorek, oczywiście, nie usiedział. Widzę go, jak swoim charakterystycznym krokiem pokaraskał się w kierunku paru naszych kawalerzystów, których opodał zauważył. Odpalają „bankrutki“. Musiał przygadac im coś wesołego, bo ułani pokładają się od śmiechu.

Gdy Ignac spostrzegł, że czołowa kompania rusza, czym prędzej doszłusował do swojej czwórki. Sitwesi otoczyli go za-

raz, bo wiedzą, że ani chybi ma jakieś nowiny i plotki polowe. I rzeczywiście Ignacowi rozwiązało język na dobre.

— Wita, chłopaki, co? Bolszewiki przeszli bez Dniepr na nasze strone i poharatali ułanów i szósty pułk, ale to nic... My idziema wywalać ich na drugie strone. Jeden ułan był tam wczoraj, a teraz z meldunkiem gania. Powiada, że Kacapów strasznie dużo. Haratali sie i haratali — niby „szóstka“ i ułany — ale nie dali rady. Mówie wam, że pech jaki, czy co? Przecie ułany morowe wojsko...

— Jakie ci tam morowe — odpalił Włodarek — hrabiów na chabetach odwalajom i kurz robiom. A jak na takiego zawołać: oddaj konia! to sie na nas piechociarzy od zająców wyzywa.

— A ja wam mówie — ciągnął dalej Kaczorek — że ułany fajne wojsko, bo nawet mój brat w ułanach służy, ale to nic. Nie o to teraz idzie. O pech z temi Bolszewikami, że Dniepr przeszli i nie dajom się wywalić na drugie strone. Pech — to najgorsze, co może być. U nas we wsi był taki jeden pechowaty. Konia kupił — koń zdechł, obabił się — a nawet ta jego baba z gęby niczego była — ale takiego łupnia mu spuszczała, że furt z podbitem okiem chodził... Ale to nic... Taki był pechowaty! Co się zaś tyczy wojska, całe nasze wojsko fajne, ale nie ma to jak w naszym pułku albo w piątem. U nas, jak przyjdzie rozkaz, to samego bolszewickiego Trockiego weźmiema za brode... Ale jak go brać? Wyrywa i wyrywa... Już, brachu, nóg nie starcza żeby go nagonić.

Przeszliśmy już chyba przeszło czterdzieści kilometrów. Następuje w nastrojach zwrot, gdyż daje się odczuwać dokuczliwe zmęczenie. Najgorsze, że pogoda nie dopisuje. Deszcz. Woda chlupie w butach. Wszystko przemokło. Żeby tylko konie przy wózkach wytrzymały! W ostateczności, gdy zajdzie potrzeba, wymieni się u chłopą po drodze jaką szkapę.

Gdy idę w kolumnie uporczywie i długo, uświadamiam sobie coraz to nowe prawdy i prawa marszu. Wiem, na przykład, iż najlepiej wcale nie myśleć o tym, że się idzie, i to pomaga. Ot, zająć sobie głowę wszelkimi innymi myślami, o czymkolwiek. Można, powiedzmy, nucić sobie znane melodie. Nie raz już przyłapałem się na tym, że podczas marszu snuły mi

się w głowie całe tasiemce operowe. Wózki klekoczą, marsz chrzęści. Ten brzęk i chrzęst układa się dowolnie pod każde tempo i pod każdą melodię — do każdej się nada. I tak można iść pod takt marsza z „Aidy“, kuranta ze „Strasznego dworu“ lub cwałowania „Walkirii“.

Zmierzchło. Marsz nocny, jakże ciężki! Trzeba od czasu do czasu sprawdzić, czy wszystko w porządku, żeby nikt nie został i żeby się od kolumny nie oderwać.

Około północy dobrnęliśmy do jakiejś wioski. Dowiedziałem się, że odpoczniemy tu trochę, a za parę godzin prawdopodobnie pójdziemy dalej; nie powiedziałem jednak o tym moim chłopcom. Niech spokojnie odpoczywają. O rozbieraniu się zresztą i tak nie ma mowy. Chociaż przydałoby się, bo przeszliśmy przeszło 50 kilometrów. Na pierwszą zmianę posterunku alarmowego przy wózkach zgłasza się na ochotnika Kaczorek.

Kolację dla ludzi dostałem z paru kuchen po trochu. Chłopcy już śpią.

Łatwy jest sen żołnierza. Położy się i od razu zasypia, albo maszerując zaśnie i idzie dalej w najlepsze. Dopiero, gdy kolumna stanie i śpioch uderzy nosem w plecy poprzednika, wtedy budzi się na chwilę, ale znowu zasypia stojąc.

Nie śpię. Tak jakoś nagle wyszło się z Kijowa. Rzeczy wszystkie zostawiłem, bo i na cóż na dzień czy dwa zabierać jakieś tam bagaże. Dobrze by jednak było coś przewlec, bo zimno i mokro, ale rzeczy w Kijowie. Kijów... Kijów...

Alarm!...

Widocznie zdrzemnąłem się chwilę; musiało to jednak trwać krótko, bo przecież pamiętam, że zmieniłem dwóch ludzi przy wózkach. Na drodze ruch, wszystkie kompanie stają na zbiórkę. Noc jeszcze. Dopiero wpół do drugiej. Prawdę mówiąc nikt nie odpoczął.

Rozpoczyna się nowy marsz. Spracowane nogi nie chcą się z początku poruszać należycie. Po chwili mija to jednak.

Ciężko iść w nocy. Pomału rozwidnia się i dopiero teraz daje się we znaki senność. Najgorsze są te pierwsze, świtowe brzaski dnia, one najbardziej kleją oczy.

Rozwidniało już na dobre, gdy weszliśmy do Dymtru. Kolumna się zatrzymała. Chłopcy klapnęli na ziemię. Poszedłem do czoła kolumny dowiedzieć się: co i jak? Towarzystwo zma-chane. Jeszcze nic pewnego nie wiadomo, ale ani chybi, ruszymy dalej. Powróciłem do kompanii. Po jakimś czasie zaczął się ruch. Poderwałem ludzi do dalszego marszu.

Mija godzina, dwie i trzy. Idziemy bez przestanku, bez wytchnienia. Zmęczenie obecne to już nie to wczorajsze, co ledwie gdzieś w nogach się cniło — to naprawdę kres wszystkiego, co zdzierżyć można.

Tak minęliśmy Złodziejówkę.

Marsz.

Kolumna sunie jak tysiąconogi długi robak czy wąż; wy-ciąga się, wydłuża, to znowu pęcznieje, przebiera i miełe nogami jak gad jakiś, jak lawa płynąca korytem drogi.

Marsz nie ustaje, trwa godzinami, ociążały i wymuszony — jak na zwolnionym filmie. Batalion się posuwa, podnoszą się i opadają nogi, a wąż kolumny pełźnie ciągle, bez przerwy, naprzód i naprzód, jakby ostatnim już tchem chciał dobrnąć do oddalającej się ciągle jak miraż mety.

Idziemy w ciszy i jakby w skupieniu. Ba, nie idziemy już, ale kiwamy się pokracznie. Nawet rezolutny Kaczorek stracił rezon, zaniemówił i wlecze się podobny do muła.

W zapamiętaniu jakimś pcha się krok za krokiem, metr za metrem, szara, zbrukana kolumna pracująca ciężko nogami.

Marsz, marsz... marsz, marsz...

„Kawaleria!“ „Kawaleria z prawa!!!“

Szwadron, jeden... drugi... trzeci! W galopie na nas!

Jestem przy wózkach. Najsprawniejszy karabin Kaczor-ka już stoi na drodze. Nie dane mu było dzisiaj popisać się pierwszym strzałem. Trzask ognia jego karabina przepadł, zgubił się w huku salwy baterii 1. p. a. p., która szybko od-przodkowała na drodze tuż obok nas i rozpoczęła prażyć kar-taczami.

Jeszcze kilka kartaczy, jeszcze kilka serii z karabinów maszynowych i jakby nigdy nic, ładujemy broń na wózki i jazda dalej. Kawaleria zwała. Któżby się tam zresztą o nią troszczył.

Teraz już wiem, że jeżeli 6 pułk jest przed nami, a kawaleria bolszewicka tutaj, to „szóstakom“ nie bardzo się musi powodzić. Jakby w odpowiedzi na moją myśl, kolumna przede mną szybciej i raźniej zaczęła maszerować. Mimo zmęczenia wyciągamy jeszcze bardziej nogi. Tam z „szóstką“ musi być źle, bardzo źle. Ha, więc dlatego odwalamy taki sakramencki marsz bez odpoczynku i oddechu. Jasna rzecz, że to wszystko, co dotąd od wczoraj daliśmy z siebie, to jeszcze za mało, że trzeba zapomnieć o przemęczonych kulasach, o spracowanych do niemożliwości mięśniach, że trzeba rwać i gonić, ile sił starczy.

„Gazować, chłopcy, szpurt!“ — wołam oglądając się za siebie, gdy widzę, że urywamy się o kilkanaście kroków od kolumny. Przyspieszam kroku.

Nie wiadomo, wiele marszu jeszcze pozostało, ale rwiemy co sił. Bywa, że noga odmawia posłuszeństwa, skręci się jakoś dziwnie w kostce, utknie, jakby zapadła się w ziemię...

Podświadomie wyczuwam, że już nie może być daleko. „Szybciej, chłopcy!“

Nasłuchuję, ale strzałów nie słyszeć. Zresztą, nawet gdyby były, to i tak w turkocie biedek i dział nie usłyszałbym... chyba artylerię.

Dobiega mnie głos Kaczorka:

— „Nasz pap wali fajno — no nie?! Łomot! i gotowe. Kawaleria ichna wyrываła, ale to nic... Jeszcze ich dostaniem. Ciach maszynke na ziemię i bimбай, bracie, z końskich ogonów. Mieli cykorii pełne portki, oj mieli... To mi się tylko widzi, że z obiadu dzisiaj nic nie będzie, ale to nic...“

Przed nami las, nad nim samolot. Jakże dotychczas rzadki ptak. Nasz czy ich? Widać, że zatacza duże koła nad lasem, do którego już prawie dochodzimy.

— „Nasz! nasz!“... słyszeć kilka głosów.

Batalion się zatrzymał i zaraz też usłyszałem strzały. Znowu ruszamy. W lesie pełno wozów zapełnionych rannymi „szóstakami“.

Chyba już jesteśmy na miejscu. Kolumna się zatrzymuje. Nie mam na co czekać, na pewno od razu wejdziemy do boju. Wymijam kolejno kompanie i śpieszę do czoła, do dowódcy batalionu. Dobrze, że sam przyszedłem; kompanie już ruszają. Dowódca batalionu zobaczył mnie i woła:

— „Pan osłoni mi lewe skrzydło baonu!”

Nie pytam o nic. Biegnę do karabinów...

— Z wozów! — krzyczę i macham kijem. Trzeba się śpieszyć, bo kompanie już poszły. Zadanie tkwi mi w głowie, szukam rozwiązania. Pierwszy raz trafiło mi się takie zadanie i to w takich warunkach. Jak je wykonać? Las gęsty, podmokły. Jeśli mam karabinami maszynowymi w lesie osłonić skrzydło nacierającego batalionu, to chyba muszę za nim iść. Nie wiadomo, jaki ten las będzie dalej! Więc naprzód, biegiem, aby się tylko nie oderwać od batalionu.

Biegniemy. Aż dziw, skąd się znalazły siły po takim zmęczeniu.

Na prawo gruchnęło kilkanaście strzałów. Staram się dotrzymać tempa kompanii lewoskrzydłowej. Ale nagle, po nowej porcji strzałów, owo „lewe skrzydło” zakołysało się i las wessał je w siebie — znikło. Nie przejmuję się tym, wyczuwam kierunek, słyszę strzały, więc wszystko w porządku.

Wpadamy na polanę. Widzę dwóch naszych. Podbiegam. Jeden z nich to dowódca 6 p. p. Leg. Zatrzymuje mnie, bym nie szedł dalej. Melduję mu, że muszę iść naprzód za batalionem.

„Stój, człowieku — powiada — w tej chwili kawaleria szarżowała stąd, o z tego lasu... Skąd się pan wziął?”

„Panie majorze.. melduję, że kpt. Kozicki i Holinkowski z II baonem już są... Przed chwilą przyszlismy z Kijowa. Holinkowski jest... o tam — pokazuję kierunek. Wszystko będzie w porządku. Nacieramy, ja osłaniam skrzydło baonu...”

Jednak te kilka chwil rozmowy spowodowało, że zupełnie stracił łączność z piechotą.

Biegniemy. Jak na złość, podłużny klin bagniska, który się ni stąd, ni zowąd znalazł między mną a batalionem, odchyła mnie coraz bardziej w lewo. Oby tylko las się skończył — myślę — a dam sobie radę. To nic, że jestem bez piechoty, że same karabiny maszynowe. W razie czego grzmotniemy z pa-

ru maszynek, narobi się ruchu i po krzyku. W krzakach mignęło kilku konnych... Ogień się wzmacnia.

Sam biegnę i chociaż nie krzyczę „biegiem!” — wiem, że moi chłopcy są za mną. Kilka pocisków pęka tuż koło nas. Strzaskana granatem sosna wali się z łoskotem na ziemię.

Po pewnym czasie bagno zelżało, zrobiło się twardziej. Ładna historia! odbiliśmy się o dobrych paręset metrów od batalionu — myślę. Wreszcie wśród drzew zaczęło prześwitywać. Co za radość! wyjść z pułapki lasu i móc wiedzieć, gdzie się jest i co robi przeciwnik, co robi własny batalion.

Po wyjściu na skraj lasu ujrzałem bliskie, dość wysokie wzgórze obsadzone przez Bolszewików. Między tym wzgórzem a nami silny boczny ogień maszynek bolszewickich. Ode mnie do wzgórza łąka płaska jak stół.

Nie ma na co czekać! Wydaję rozkaz: „dwie maszynki tu na stanowiska i walić!” Pokazałem kijem w kierunku obsadzonego wzgórza.

Obsługi ledwie żyją. Bieg przez las ze sprzętem i skrzynkami napelnionymi amunicją wyczerpał je do reszty. Mimo to wyciągają karabiny maszynowe na skraj lasu i rozpoczynają ogień. Swoją drogą niepotrzebnie odbiłem się tak daleko od batalionu i jestem bądź co bądź bez piechoty. Ale te bagna i las przeklęty... Niech je szlag trafi! Piechotę widać na prawo...

Na wzgórzu rozpoczyna się ruch. Widać, że się Bolszewicy wycofują. Ale ogień przed lasem jest, bije jeszcze po ziemi — siepie. I to właśnie na łące, którą trzeba przebiec przynajmniej z jedną maszynką, aby się wydostać na wzgórze przesłaniające dalszy widok.

Już chcę wydać rozkaz, lecz widzę, że moi ludzie są tak przemęczeni, iż trzeba tu czegoś innego...

Chwytam najbliższy karabin i pędzę przez równinę. Na wzgórzu wpadam akurat do dołu wrytego w stronę Bolszewików. To pewnie stare dziury „szóstaków” — pomyślałem. Zmachalem się porządnie, gdyż odwykłem już od dźwigania karabina maszynowego. Mam tylko właściwy ciężki karabin maszynowy, bez skrzynek, podstawy i amunicji. Ale oto wskazuje już za mną Kaczorek. Jest przecież celowniczym przy karabinie, który zabrałem. Ma w rękach skrzynki, pewnie zabrał

je od amunicyjnego i przybiegł za mną. Po chwili nadbiega reszta zmachanych chłopaków, wskakują też na wzgórze.

Wydaję teraz rozkazy i rozpoczynamy typowy szkolny „ogień pościgowy“.

W jakiś czas potem kazałem się chłopcom lepiej okopać z boków. Boczny ogień, pewnie ten sam co przedtem, bije po wzgórzu. Tak samo nisko lecą pociski artyleryjskie.

Dałem jeszcze parę serii i przerwałem. Nie mam do kogo strzelać. Bolszewicy uciekli.

Nasze kompanie są na tym samym wzgórzu. Nie zanosi się jakoś na to, żebyśmy mieli iść dalej. Nawiązuję łączność z batalionem.

Po jakimś czasie nadszedł od lasu ppor. Sobolta, dowódca 6 kompanii. Przyszedł zobaczyć, co się u nas dzieje. Ze swą kompanią nadciągnął właśnie na to skrzydło. Ma też wiadomości: wieczorem odchodzimy, czekamy tylko zmroku. Sami nie dalibyśmy tutaj rady. Mamy przed sobą znacznie przeważające siły piechoty i kawalerii. Nowe siły Bolszewików ciągle się jeszcze przeprawiają przez Dniepr. Gdybyśmy się byli spóźnili o kilkanaście minut, kto wie, co by się stało z 6 pułkiem.

Do zmroku nie zaszło nic ciekawego. Widać było wprawdzie jakiś ruch od Bohdan, ale strzelałem mało. Trzeba oszczędzać amunicję. Jeżeli będziemy wracali tą samą drogą, którądyśmy przyszli, to przecież na swoich tyłach, za Złodziejówką, mieliśmy bolszewicką kawalerię w dużej sile. Teraz może tam być już piechota.

O zmierzchu ściągnąłem karabiny do miejsca, gdzie kazałem doprowadzić wózki i po załadowaniu sprzętu zwolna brniemy do drogi. Nastrój przykry. Pobiliśmy Bolszewików tak, że zwiali przed nami, a jednak odchodzimy.

Mijam jakiś okop przy skraju lasu. Leżał w nim poległy. Przykro było patrzeć na niego, bo tkwił całym korpusem w ziemi, skrwawiony, pokrecony i zmięty, bez głowy, którą zapewne duży odłamek granatu czy szabla odcięła. I leżała ta głowa odrzucona kilka metrów przed okop.

To był chłopak z 6 pułku — rozpoznałem.

W innych okolicznościach nie zwróciłoby się nań może wcale uwagi; ot, poległy, wielu takich już było i będzie. Ale świadomość, że odchodzimy, popsuła coś w zegarku myśli i nastrojów. A tu jeszcze ten poległy — bez głowy...

Mijam go w przygnębieniu...

„Patrztą, patrztą chłopaki, jaki chytry... Sam się schował, a głowę na patrol wysłał. Ale to nic...”

To Kaczorek w ponury nastrój pierwszych chwil odwrotu wnosi dar niecodzienny, skarb nieoceniony dla żołnierza — rubaszny chłopski humor.

Głowę na patrol wysłał — powiada. Zarechotali chłopcy.

Z karabinami maszynowymi na wózkach wyciągnęliśmy na drogę, żeby wejść na swoje miejsce w kolumnie. Pociemniało już dobrze. Gdy oglądam wózki sprawdzając czy wszystko w porządku, spostrzegam czterech legionistów przechodzących obok i dźwigających coś ciężkiego w płachcie namiotowej.

Odchyliłem brzeg płachty. Okazało się, że niosą poległego oficera 6 pułku. Musiał przez jakiś czas być na terenie opanowanym przez Bolszewików, bo zdążyli go już obedrzeć z butów i munduru.

Nocą ciemną wracamy znaną już drogą na Złodziejówkę.

Inaczej szło się w tę stronę...

Nasz batalion daje straż przednią i tylną; pośrodku idzie reszta, tj. 6 pułk i artyleria. „Szóstka” przerzedzona. Dużo podwód z rannymi. Szóstacy trzymali się tutaj przez kilka dni, mając na karku rozzuchwalonego powodzeniem i o wiele silniejszego przeciwnika.

Uszliśmy kilka kilometrów, gdy na czole kolumny buchnęły granaty i strzały. Doszliśmy do obsadzonej przez Bolszewików Złodziejówki. Nasze kompanie 5 i 7 spisały się gracko. Mamy 5 zdobytych karabinów maszynowych i 90 jeńców z 58 p. p. sowieckiego, który obsadzał na naszych tyłach Złodziejówkę. A st. sierż. Żabski zatłukł dowódcę 58 p. p. i zdobył ważny rozkaz operacyjny. No przecież! Pierwsze wesołe nowiny z tej wyprawy!

Na pożegnanie pokazaliśmy więc ostre kły i pazury, chociaż już prawie dwie doby maszerujemy bez przerwy i znowu

idziemy dalej. Jakąż nieprawdopodobną moc wytrwania po trafi wykazać nasz żołnierz! Skąd czerpie wciąż nowe siły? Myślę, że właśnie kły i pazury pokazane tutaj w Złodziejówce, gdy przeciwnik uważał nas za straconych i nawet się nie ubezpieczył solidnie od Bohdan, skąd szliśmy, ale już tylko od strony Kijowa, są właśnie źródłem mocy do pokonywania nadmiernych wysiłków. A pazury i kły — to wyjątkowe zaufanie naszych legionistów i ich wiara w dowódców, którzy wywiodą żołnierza z najtrudniejszego nawet położenia. Nasi legioniści są też typowym przykładem żołnierzy armii zwycięskiej i szczęśliwego w powodzenia pułku.

Jeszcze jesteśmy w Złodziejówce, gdy widzę przez opłotki, że silny oddział kawalerii objeżdża wieś bokiem. Kierują się wyraźnie do wylotu miejscowości i chcą nam odciąć drogę. Pchają się śmiało, pewni powodzenia. Odległość nie większa niż 200 m.

Parę serii wymierzonych w czoło galopujących kawalerzystów i niebezpieczeństwo minęło: kilku spadło, reszta uciekła. Do tego ognia nie zdejmowaliśmy nawet podstaw z wózków, gdyż strzelaliśmy z płotu.

Ze Złodziejówki idziemy na Dymir, dokąd od Bohdan jest ze dwadzieścia pięć km. W południe byliśmy już za tą miejscowością. Postaliliśmy trochę i poszliśmy dalej aż do rz. Irpienia. Będziemy tu siedzieli przez całą noc, a może i dłużej. Jestem przy 8 kompanii. Rozstawiłem ciężkie karabiny maszynowe nad rzeką. Kolację dla ludzi dostałem z kuchni kompanijnej.

Nie zanotowałem jeszcze, że w czasie marszu na Irpień natknąłem się na wyjeżdżającego z lasu jeźdźcę, bez odznak, w drelichach, na koniu na oklep. Dopiero gdy zagabnąłem, kto zacz, poznałem kpt. Jasińskiego - Jankowskiego, który niedawno odszedł był z naszego pułku do „szóstki“. Powiedział mi, że uciekł z niewoli bolszewickiej.

Zbyt pochopnie cieszyłem się, że dostałem na wypad same dobre konie; jeden już nawalił. Kaczorek „postarał“ się o nowego. Ten nowy — to piękny koniś, w sam raz do wózka ceckaemowego. Bułanek — jak kawa ze śmietanką. Pluton nazywa go Jasiem.

Całą noc spędziłem na linii przy karabinach. Minęła spokojnie. Tuż przed samym świtem, gdzieś na lewo, odezwał się

strzał pojedynczy, za nim drugi, trzeci, potem karabin maszynowy i wreszcie zagotowało się na całym lewym skrzydle naszej linii. Wyteżam wzrok, nic nie widzę. Myślę więc, że to próżny alarm. W nocy byle krzak przybiera kształty ludzace i niesamowite. Jednak chyba to nie żarty, bo zauważam na tle ciemnego jeszcze nieba jakieś postacie, jakby konnych, przemykających się z lewa na prawo. Celowniczego trzymam za rękę, żeby nie rozpoczął ognia, bo wtedy „zagrałyby“ zaraz i inne moje karabiny. Tymczasem cienie przebiegają dalej, jeden za drugim. Wciąż jeszcze nie pozwalam strzelać. Po jakimś czasie ogień ustaje.

O świcie się okazało, że pod lewe skrzydło podchodzili Bolszewicy, a przed nami defilowały przez łąkę pasące się konie. Dobrze, że nie strzelałem. A to bym wpadł!

Dzisiaj nie spałem już czwartą z kolei noc. Najgorsze, że nie mam co palić. Wystarałem się o śniadanie dla ludzi. Siedzimy na miejscu, więc się czyści broń.

Przed południem mieliśmy silny ogień artyleryjski od strony Dniepru, jak się okazało, ze statków pancernych z rzeki. Padło przeszło 150 pocisków, ale głównie na odcinek 6 kompanii.

I w dniu 10 czerwca staliśmy jeszcze nad Irpieniem. Mieliśmy silny ogień działowy na całym odcinku. Dużo pocisków nie wybucha. Na placówce 6 kompanii poległ wczoraj plut. Deutsch. Morowy był chłopak.

Nadszedł od Kijowa 1. pułk podhalański. Zmienia nas tutaj.

Kaczorek wywąchał już coś u „podhalanów“ i plotkuje teraz, że do Kijowa nie powrócimy, że miasto się ewakuuje, pali zbędne rzeczy itd. Częstoje też swoich sitwesów papierosami, które z 1. p. s. p. wycyganił. I mnie cichaczem wpakował do kieszeni pół setki tych papierosów, a więc o tytoń już nie ma kłopotu.

Sierż. Starak Michał (brat podporucznika, mego dowódcy kompanii), który wsiąkł z plutonem 8 kompanii w okolicy Złodziejówki, odnalazł się dopiero dzisiaj. Pluton uważaliśmy już za stracony. Okazuje się, że oderwał się od nas podczas walki w Złodziejówce i błędząc lasami dogonił nas jednak.

Sierż. Starak nosi za wsuwką poprzeczki pasa jeden ostry

nabój i twierdzi, że jest to nabój przeznaczony na ostateczność, a raczej dla niego samego, gdy posiadaną amunicję wyczerpie w walce.

Jak się dowiaduję, II batalion 1. p. p. Leg. był zaalarmowany w Kijowie w nocy z 5 na 6 czerwca, gdyż miał odjechać transportem z I naszym batalionem do Skwiry. Po drodze, w czasie marszu przez miasto, batalion został zatrzymany i nowym rozkazem dowództwa 3 armii skierowany na północ w związku z wypadkami, jakie tam zaszły. Gdy armia konna Budiennego rozpoczęła swe działanie na południe od Kijowa, jednocześnie prawie przystąpili Bolszewicy do sforsowania Dniepru na północy przy ujściu Prypeci. Przeprowadzone nasze przeciwnatarcia oddziałów 7 brygady kawalerii i półbatalionu 6 p. p. Leg., przy wydatnym wsparciu naszych lotników, skończyły się jednak niepowodzeniem. Rosjanie zdołali przeprawić znaczne siły. Wówczas został tam skierowany cały 6 p. p. Leg., który łącznie z pułkiem jazdy tatarskiej i dwiema bateriami artylerii od dnia 5.VI 1920 r. staczał krwawy bój o Hornostajpol i następnie o przeprawę na rz. Teterów pod Bohdanami i Piławą. Położenie „szóstki“ stało się nadspodziewanie ciężkie i wtedy na pomoc został skierowany II batalion 1. p. p. Leg.

6 p. p. Leg. poniósł łącznie pod Browarami i w walkach pod Hornostajpołem — Bohdanami bardzo duże straty, przeszło 100 zabitych i prawie 300 rannych. Nasze straty pod Bohdanami: 6 zabitych i 14 rannych.

Bieg na ratunek „szóstakom“ wyniósł 124 km, które przebyliśmy w ciągu dwóch i pół dnia.

Piąty dzień mija, jak oddzielony od kompanii, bez nieodzownych do życia oddziału środków, bez kuchni, żywności, bez podoficerów: gospodarczego, broni i szefa, ciągnę za II batalionem.

To nic, że mam tylko pół kompanii c. k. m. Jednakże są

kłopoty i troski przyżywieniu oddziału złożonego z 50 lub 100 ludzi. Pomijając utrudzenie marszami i walką, od 5 dni mam nadprogramowy kłopot i udrękę. Ludzie moi nie dostają na czas wyżywienia, obiady mogę bowiem gotować dopiero wtedy, gdy kompania strzelecka opróżni kotły, a więc daję mym chłopcom jeść, gdy wszyscy inni szeregowi już odpoczywają. Przez to moi ludzie są mniej od pozostałych w batalionie wypoczęci. Raz nawet zaczęliśmy gotować obiad dopiero po wydaniu kompanijnej kolacji, a więc w nocy.

Błędne koło. Ale cóż robić? Trzeba będzie zwędzić gdzieś kuchnię polową i kwita. Reszta — cały „aparat“ administracyjny i kuchenny — jakoś się zrobi. Ale kuchnia! kuchnia! kuchnia!

Idziemy na południe, a więc w kierunku Kijowa, jednak już nie tą drogą, którąśmy się kierowali na Złodziejówkę. Odchylamy się trochę na południo-zachód.

Rozmyślając wiecznie o kuchni, kłócąc się w duchu z sobą, maszeruję ospale i bez przekonania. Bolszewików zostawiliśmy w Bohdanach, no, bo byli silniejsi i już! Na grzybobranie chyba się przez Dniepr nie pchali, u licha, więc nie siedzą już teraz w Bohdanach, lecz smarują gdzieś również na południo-zachód jak my, nie kierują się też na Kijów, ale głębiej na nasze tyły. Ot i wszystko.

Kiedy przyjdzie do głosu „prawo serii“, to albo komu łeb urwać, albo samemu się powiesić. Najpierw alarm w Kijowie, później marsz diabelski na Złodziejówkę, sławetna osłona skrzydła, następie Bolszewicy na naszych tyłach, kłopoty z wyżywieniem ludzi, no i... tego jeszcze brakowało! Trzewiki z nóg lecą! Nie kiedy indziej, oczywiście, jeno teraz, dzisiaj, musiały się skończyć i porwać na strzępy, rozleźć się na łapcie! Właśnie dzisiaj, gdy buty zostawiłem w Kijowie i nie mam innych, piach dróg ukraińskich maszeruje do „środeczka“ i gryzie. Ten „psioch“ Kaczorkowy, pieskie nasienie, kurpiowski wynalazek, „wadoł“, „kanień“ choleryczny!... A niech to wszyscy diabli!...

Kaczorek znowu pogaduje, gaduła, znowu strzępi sobie

język, a wydziwiał, a kracze! Ma rację. I to jest właśnie najgorsze.

— „Ale to nic, chłopaki — powiada — wszystkie nasze graty w Kijowie spalone na amen, ale to nic“.

— A niech was, Kaczorek; jeżeli wygadaliście w złą godzinę, że moje buty spalone, to...

— „Panie poruczniku, a bo to butów mało na świecie? Niech się ino uwiniemy wedle tych butów, a będą rychtyk, fajne i nowe“.

I gadaj tu z takim. Żeby ci wątroba na amen zgorzkniała, to ją Ignac delikatnie zbada, posmaruje miodem dobrego chłopskiego serca, zamówi jak znachor i wyleczy.

Odwaliliśmy jakie 30 kilometrów i w południe doszliśmy do stacji Bieliche. W drodze jeszcze 6 kompania pod dowództwem ppor. Sobolty poszła wprost na Kijów, bo tak nakazał płk Olszyna.

Na stacji zaopatrzenia w Bielichach robi się wielki ruch, pobieranie amunicji, nawoływania, jak w ogóle przy wszelkiego rodzaju „fasunkach“. Na dobitkę mnie wyznaczono do podziału całego zapasu nagromadzonej na stacji żywności i smakołyków. Widać z tego, że stacja likwiduje się całkowicie, a żywność i smakołyki trzeba rozdać, by nie wpadły w ręce bolszewickie.

Dzielię więc, a dzielić jest co, bo: sucharki (suchary w puszkach blaszanych), konserwy, słonina amerykańska (wędzona) w puszkach i ktośby przypuszczał — różnego rodzaju konfitury amerykańskie w puszkach konserwowych.

Żeby podział tych specjałów powierzono komuś innemu, to ja sam otrzymałbym przynajmniej parę puszek, bo głoduję już i tak niemiłosiernie, ale skoro sam dzielię, to dzielię sprawiedliwie. Wydałem wszystko co do puszeki.

Maszerujemy wzdłuż toru kolejowego Kijów-Korosteń. Część II batalionu załadowała się na pociąg pancerny.

Idziemy w straży tylnej 3 armii.

Kierunek — odwróciliśmy się plecami do Kijowa.

Na Dnieprze mosty zerwane. Nad miastem kłęby dymu — pożoga i łuna. A w Kijowie czern znowu hula, bezczelna teraz, śmiała — uwolniony prymityw instynktu nieokrzeseanego, wyzwolony chichot złośliwy, szatański, krwawy. Być może już urzęduje czerezwyczajka, trzęsą się od śmiechu krwawego gęby mongolskie o wystających kościach policzkowych, posępni weselnicy podziemnych porachunków za pomoc dla „białych“ — dla Polaków.

Chwieje się w rękach naszych sztandar „Za naszą wolność i waszą“, powiewa jeszcze, jeszcze furkocze w grozie zapasów bitewnych, ale pada nań odbłask pożarów opuszczonej stolicy Ukrainy. Zerwane już mosty na Dnieprze.

Pędzi od południa konna armia Budiennego, wciska się od Wasylkowa grupa Jakira, przekrada się od północy grupa Golikowa, ta co w żelaznym uścisku trzymała 6 pułk pod Hornostajpołem i Bohdanami, podąża na południo-zachód, by podać rękę Budiennemu, by otoczyć nas pierścieniem, stanąć zwartymi watahami na drodze naszego odwrotu; by 3 armię generała Śmigłego-Rydza, tę co szczerbiec nowy dla odrodzonego wojska polskiego swą bytnością w Kijowie wykuła, chwycić w garść czerwoną i krwią nabiegłą, by uderzyć w nią trzema kułakami, zmiażdżyć, przygnieść do ziemi. Żywa noga z 3 armii ująć nie powinna...

A 3 armia to nie tylko zwarte szeregi pułków i batalionów bijących się tu i ówdzie — wszędzie, to nie tylko moc ogromna w błyskach stali, w charakterach jej dowódców, w dzielności i wytrwałości jej żołnierzy, ale też bogactwo materialne armat, karabinów maszynowych, broni wszelakiej; to także ciężar olbrzymich taborów, majątek w pociągach pancernych i w 30 pociągach z zakładami i urządzeniami armii, z materiałem wszelakim i uchodzącą z Kijowa ludnością.

Po takie bogactwa i wartości sięga czerwona armia, o takich powodzeniach marzy i na takie zdobycze apetyt swój i zęby ostrzy.

Moi chłopcy, kiepsko odżywiani przez czas od wyjścia z Kijowa na wypad pod Złodziejówkę i Bohdany, pochłonęli żywność rozdaną na stacji zaopatrywania. Ja już przeszło trzy dni prócz wody nic nie miałem w ustach, a woda, pożał się Boże — więcej piasku niż płynu. Trzeszczy ten piasek w zębach, gdy się je ze złości i determinacji zaciska.

Niech tam, sprawiedliwie podzieliłem i rozdałem w Bielicach żywność i smakołyki. Nie ma co, sumienny ze mnie włodarz i sprawiedliwy dzielca, ale mówiąc tak sobie na ucho i do słuchu, muszę przyznać, iż wylazł w tym wypadku ze mnie ciężki frajer, że nie zostawiłem sobie nawet jednej maleńkiej puszcзки z sucharkami. Gdy idę teraz otumaniony zmęczeniem, wyczerpany marszem i głodem, mam halucynacje na obrzydliwy temat jedzeniowy; błyskają mi przed oczyma puszeki z sucharkami, konserwami, ze słoniną i wszelakimi konfiturami amerykańskimi.

Upał jest duży, kurz nieznośny; pas nie zdejmowany od wielu dni, poprzeczka na ramieniu, Parabellum i szelki wyżarły w ciele dziury wskutek ciągłego tarcia w marszu. Zrzucam ciężką sukienną bluzę, pas z pistoletem nakładam bezpośrednio na spodnie, a mundur wolny od wszelkich dodatków służbowych nakładam luźno na siebie. Nie jest to strój przepisowy ani nie wygląda zbyt dobrze, ale najważniejsza, że mam broń przy sobie.

Wobec tego, że wyczerpanie marszowe postępuje ciągle i ciągle, a o odpoczynkach nadal nie ma mowy, prawie wszyscy ludzie zaopatrzyli się w kije. Ja mam lagę porządną kupioną w Kijowie; jest z niej bardzo wielka pomoc w marszu, gdy się idzie chwiejnie i jak nie na swoich nogach. Ponieważ chłopcy podpierają się lagami, oddziały nasze wyglądają teraz trochę po dziadowsku.

Na drodze naszego marszu dają się zauważyć ślady marszu odwrotowego: nierzadko porzucony wóz ze złamanymi kołami, czasem koń padły lub okaleczony w sposób nie rokujący wyleczenia bądź wycieńczony do ostatnich granic.

Są ślady po oddziałach etapowych i ich ciężkich taborach. Widocznie dostali „magiel“, gdyż spotyka się szczątki po rozbitym taborze. Mieli niemieckie wozy taborowe, ciężkie, zupełnie nieodpowiednie na tutejsze drogi. Leżą na drodze i przy niej części oporządzenia i nawet tornistry ze zrolowanymi ko-

cami. Ale któż by się tam teraz łakomił i podnosił obce rzeczy, kiedy własne oporządzenie daje szkołę; jednak trochę cenniejszych przedmiotów kazałem zabrać.

Moi ludzie są bez tornistrów (pozostały w Kijowie). Wyrażając się po dawnemu, szliśmy na Bohdany komunikiem.

Głód, o którym zresztą wcale nie myślę, zaczyna mi się dawać we znaki. Czwarty już dzień nic nie jem. Oddziały idące przed nami wypily wszystką wodę ze studzien. Dla nas pozostaje na dnie ledwie trochę mętnej zupki z piaskiem, ale i taka woda to skarb, do którego się nie można dobić.

Z braku pożywienia i wody dostałem gorączki. Popękały mi wargi. Gdy doprowadzony do ostatecznych granic wycieńczenia idę nocą, przychodzi mi na myśl, że gdzieś tam w kraju wylegują się teraz setki tysięcy pasibrzuchów, paskarzy, wygodnickich wszelakiego rodzaju i tych, którzy dla dobra Polski nie kiwnęli nawet palcem. Owi wygodnisie, krzykacze i krytycy wojska, taktycy kawiarniani, ostrzający sobie języki na naszej pracy wojennej...

Dać ich tu! Do nas! Do pola na wyćwikę! Tu, gdzie idzie Kaczorek, chłopak, któremu w życiu dziewczucha, papieros, czasem bijatyka zwykłą była dziedziną zainteresowań i potrzeb życia. Ten, co swoje serce chłopskie miał tylko dla siebie, dla dziewczuchy i dla ojcowskiej roli. Aż oto patrzcie, idzie! Nie gwałtem do szeregów zagnany, nie! Idzie, bo gdy mało komu się śniła jutrzienka swobody on był już obywatelem i żołnierzem Polski — był peowiakiem w służbie u Dziadka. Poszedł do wojska jak młodzież, co ruszyła do szeregów, ta uświadomiona — inteligencka, ale i ta rzemieślnicza, wiejska, robotnicza...

Ona — my, kroczymy teraz spragnieni, głodni, umęczeni i wynędzniali. My tutaj — my!...

W nocy spaliśmy parę godzin. Jeny świt ruszyliśmy dalej. Podczas jednego z kilkominutowych zatrzymań zauważyłem, że moi chłopcy nie jak zwykle na cały głos, ale po cichu

prowadzą jakoweś konszachty, oglądając się, jakby chcieli coś ukryć przede mną. Przyznam, że zrobiło mi się trochę głupio. Aż tu odrywa się od grupy Włodarek, podchodzi do mnie, staje na „aść” i wyciągnąwszy rękę przed siebie podaje mi... olbrzymią pajdę razowca nasmarowaną obficie masłem. Chleb musiał być olbrzymi, bo pajda będzie miała z kilo. Włodarek, taki zwykle śmiały, słowa wymówić nie potrafi; coś tam bąka, że zauważyli... że... od kilku dni nic nie jem, że... tak nie można i... uciekł.

Stoję z chlebem w ręce. Wzruszenie chwytą mnie za gardło. A oni, chłopcy moi, radzi, że chleb przyjąłem, że będę jadł, wesoło już i śmiało gadają teraz i baraszkują hałaśliwie jak zawsze.

Od paru dni widziałem, że co obrotniejsi chłopcy zaopatrują się w żywność po chałupach, ale nie mogłem ani też chciałem ukrócać tych drobnych uchybień. Wiedziałem dobrze, że teraz nic im nie będę mógł pomóc. Niech się chociaż w ten sposób pożywią.

Już w marszu Kaczorek opowiedział, jak to było z chlebem. Przychodzą z Włodarkiem do chałupy, pytają baby, czy ma chleb. Odpowiedź znana z góry „Ani, nie ma!” Ale nos żołnierski wywahał w powietrzu zapach świeżo pieczonego razowca. Wtedy idąc za węchem trafili do sterty drzewa za stodołą; tu już zapach świeżego chleba był tak mocny, że bez trudu wyciągnęli bochen duży jak koło młyńskie, a później ze studni wiadro z masłem — ot, i cały dowcip. Podzielili się zdobyczą sprawiedliwie ze wszystkimi chłopcami, każdemu dostała się kromka z masłem, a mnie porcja protekcyjna.

Podziwiam niespożytą energię i wytrzymałość naszych ludzi. Wyczerpani, zda się, do ostatka marszem potrafią znaleźć zawsze jeszcze dość sił na to, aby zboczyć od kolumny do wioski odległej o paręset czasem metrów od drogi i szperać po chałupach za jedzeniem. Widzę właśnie, jak chłopak z kompanii strzeleckiej dorwał się do drzwi, za chwilę stoi już na przyźbie z garnkiem zsiadłego mleka, pije, rzuca garnek i śpieszy do swej kompanii. Chłopcy nieraz dość obcesowo odnoszą się do ludności, ale zawsze znajdują z nią wspólny język porozumienia.

Z taką samą łatwością dobierają się do dziewcząt wiejskich, które bez fochów i grymasów odszczebiotują im ochoczą wżajemnością. Oficerowi we wszystkich sprawach życia w zetknięciu się z ludnością wsi idzie gorzej, jakby był człowiekiem innego stanu czy rasy.

Idziemy przez piękne lasy. Jagód w bród! Chłopcy obżerają się czernicami, zrywają całe krzaczki i objadają jagody w czasie marszu. Prócz tego, dużo czarnych jagód suszonych trzymają chłopci w chałupach i te się stają łupem żołnierzy, gdyż z braku innego pożywienia jagody suszone także dobrze smakują.

Właściwie moim wyżywieniem i w ogóle moją osobą powinien się zająć mój ordynans, ale nie umie się on jeszcze zabrać do rzeczy, bo ma mało doświadczenia w tym względzie.

Jeden z chłopców doniósł mi, że w chałupie zauważył jakieś skrzynie metalowe podobne do wojskowych. Sprawdzam i okazuje się, że są to dwie żelazne prowiantowe skrzynie amerykańskie, w sumie żywność na kilkudziesięciu ludzi. Ucieszyłem się ogromnie, skrzynie odebrałem. Chłop się przyznał, że skrzynie znalazł w rozbitym przez Bolszewików taborze.

W skrzyni mieści się kilkadziesiąt blaszanych pudełek z sucharami amerykańskimi, odpowiednia ilość konserw, a także pudełka z rybami, konfiturami i kawą skondensowaną. Podzieliłem cały prowiant między ludzi. Tak więc dzięki przypadkowi zostałem zaopatrzony w żywność. Nie trzeba dodawać, że dwudniowy prowiant w godzinę zniknął z powierzchni ziemi, a droga za nami została usłana blaszankami od sucharów i konserw. Kawa skondensowana wygląda jak szellak, ale ma znakomity zapach i smak. Przyrządzona jest tak, że wystarczy rozpuścić ją w gorącej wodzie i napój gotowy.

Mam kuchnię! Napotkaliśmy miejsce pogromu jakiegoś taboru. Wśród porzuconych wozów, podwód i różnych gratów znaleźliśmy kuchnię. Pozostawiłem przy niej jednego podoficera, bo sami musimy dalej maszerować. Do pobliskich wiosek

rozesłałem parę patrolików po konie i żywność. Po kilku godzinach dogoniły nas zaprzężona już kuchnia i podwozy z żywnością. Martwię się jednak, bo patrol z Kaczorkiem i Włodarkiem nie wrócił dotąd. Mamy już parę worków kasz, cukru, soli, a nawet worek ryżu odebrany w jakiejś chałupie, gdyż pochodził z rozbitego taboru. Zwykła kolej losu na wojnie. Przed paru dniami chłopci łupili nasz tabor, teraz ja łupię chłopów. Mięso idzie żywe za kompanią i porykuje, przeczuwając bliski koniec swego żywota.

Patrol z Kaczorkiem i Włodarkiem ku mej uciesze powrócił i o dziwo, przyjechał na dużym dworskim wozie parą również dworskich, nie zaś chłopskich koni, a co najdziwniejsze, cały wóz jest naładowany kawałkami eleganckiej skóry podszwianej.

Moi spryciarze najpierw odebrali jakiemuś wieśniakowi konie i wóz wyjaśniając mu, że nie wolno jest teraz trzymać rzeczy zagrabionych „panom“, a następnie, jadąc do nas, natrafili na garbarnię bezpańską, pełną skóry, więc uważali za stosowne zabrać, ile się dało.

Tak to z nędzarzy zdanych na łaskę kuchen kompanij strzeleckich staliśmy się jednostką gospodarczo samodzielną, ba, nawet bogatą. Takiego wozu, takiej pary koni i skóry na buty nikt w batalionie nie ma. Nie dość więc, żeśmy się usamodzielnili, ale ponadto staliśmy się przedmiotem zazdrości „zajaków“ z kompanii strzeleckich, którzy dotąd patrzyli na nas dość lekceważąco i jakby umyślnie przeciągali wybieranie obiadu z kotła, aby tylko okazać nam, jaka to łaska i zaszczyt jeść z kotła strzeleckiej kompanii. Oczywiście, mogło się to nam tylko wydawać, a inna rzecz, że „zające“ chcieli się odgryźć karabinarzom za wszelkie dawniejsze docinki i wywyższanie się.

Wszyscy chłopcy nabrali od razu większej pewności siebie, a Kaczorek nie wytrzymał i zaraz piechocie dogadał:

— Eee! zające! może chceta skóry na zelówki? Chceta? to przenieśta sie do najlepszey kompanii w pułku“.

„Zającom“, i nie tylko im, skóra przydałaby się bardzo, gdyż u większości ludzi buty się rozlatują i otwierają paszcze,

ale o jakiegokolwiek naprawie i zelowaniu nie może być mowy dopóty, dopóki się nie zatrzymamy gdzie na czas dłuższy.

Zabrakło smaru do wózków, skrzypią i jęczą. Piach spada na piastę i ściera tuleje kół wózkowych. Trzeba je ratować. Smarujemy osie masłem, ale na długo to nie pomaga. Tłuszcz maślany jest zbyt rzadki.

Doszliśmy do wsi Nowa Grobla leżącej za rzeką Zdwiz a odległej od Kijowa około 50 km licząc po drodze naszego marszu, co odmierzyłem sobie na mapie 1 : 400.000. Jeżeli mam mapę, to tylko dzięki temu, że odebrałem ją chłopu, który ożdziczył ją po Niemcach. O jakimś zaopatrzeniu nas w mapy mowy tymczasem nie ma.

W Nowej Grobli — Sodoma i Gomora. Pół wioski spalone doszczętnie. We wsi tej napadnięto zdradziecko na 3 pułk ułanów. Zginęło 3 oficerów i kilkunastu ułanów, a prócz tego wielu było rannych.

Za zdradliwą postawę wsi polecono ułanom miejscowość za karę zniszczyć. Wieś bardzo duża. Część jej po jednej stronie drogi spalona — dogasa, drugiej spalić nie można ze względu na wiatr, gdyż ogień i dym uniemożliwiłby przemarsz straży tylnej.

Od czasu do czasu na pogorzeliskach pękają pociski armatnie, granaty ręczne i trzaskają naboje karabinowe. Wieś jak się okazuje, była cała naszpikowana bronią i amunicją. W dobie rewolucji rosyjskiej żołnierz demobilizował się na własną rękę i odchodził do domu z bronią, którą miał, niektórzy w ten sposób doszli do posiadania nawet armaty. Wiele też broni i amunicji odebrano Niemcom. Każda prawie wieś jest więc uzbrojona i niebezpieczna dla oddziałów tyłowych lub zdemoralizowanych. My niewiele się tym martwimy, ale w każdym razie trzeba się mieć na ostrożności, bo taki wróg przyczajony jest najgorszy. Kiedy się wsi napad nie uda, chowają broń i stają sobie przy chałupach jako „poczciwi” gospodarze.

Ludności w Nowej Grobli zupełnie już nie ma. Uciekła do okolicznych lasów, chroniąc się tam i uprowadzając ze sobą cały dobytek.

We wsi zatrzymaliśmy się. Wysłałem patrol do lasu po bydło. Tu bez wyrzutów sumienia można „fasować” mięso. Należy się nam ten podatek od Nowej Grobli. Nie tylko mój patrol, ale inne, wysłane przez kompanie, przyprowadziły ze sobą po kilka sztuk bydła.

Mięso mam na dłuższy czas zapewnione.

Bibułka do papierosów jest marzeniem ściętej głowy. Chłopcy radzą sobie w ten sposób, że palą papierosy w papierze gazetowym. Ja spaliłem już wszelkie pisma pułkowe pisane na bibułce maszynowej, oczywiście takie, które nie mają żadnej wartości, jak np. rozkaz o delegowaniu mnie do kadry ze zdobyczą. Skręciłem sobie także cztery papierosy z biletów teatralnych, które nabyłem w Kijowie dla siebie i ppor. Staraka na operę w dn. 6.VI, gdy to zamiast na operę poszliśmy na Złodziejówkę. Była to chyba najkosztowniejsza bibułka spośród używanych dotychczas.

Zapałek nie ma zupełnie.

Z wyżywieniem ludzi mam teraz mniej kłopotu. O wyżywienie koni nie potrzebuję się wcale martwić. Wprawdzie paszy nie dostajemy, ale chłopcy biorą owies, zboże lub siano ze stodoł, a w ostateczności prosto z pnia. Mimo wielkiego ruchu konie wyglądają dobrze. Najdzielniej trzyma się Jasio, bułanek zabrany za Irpieniem i tak żywo przypominający mi konie parthenońskie.

Brak żywności i paszy dostarczanych według zwykłych praw zaopatrzenia jest bardzo szkodliwy. Dochodzi do tego, że szeregowi nie tylko z kompanii c. k. m., którzy często są bez kuchen, ale nawet w kompaniach strzeleckich, otrzymujący regularnie wyżywienie z kotła, nauczyli się gotować dla siebie w wiadrach, bo widocznie taki sposób odżywiania przypadł im do gustu. Najczęściej idą do wiader kartofle, których kucharze kompanijni nie gotują, gdyż brak czasu na obieranie, a chłopcy stęsknili się za kartoflami. Inna rzecz, że do wiadra wpadnie cichaczem kura, kaczka, gęś a nawet prosię. Trudno bę-

dzie wykorzenić te zwyczaje i upodobania, jeśli chłopcy bardzo zasmakują w swobodzie dokarmiania się.

Nasza kuchnia „urzęduje“ aż hej! Już wszystko mamy w komplecie, nawet niezbędne do pitraszenia naczyń. Grunt, to dobra organizacja.

W dzień i po nocach obserwuję dużo rakiet białych ukazujących się tu i owdzie wokoło nas. Ponieważ powtarza się ciągle ta sama barwa, przypuszczam, że jest to umówiony znak oddziałów rosyjskich sygnalizujących w ten sposób swoją obecność. Czyżby się jednak tak naiwnie zdradzali? Jeżeli nie, to kto wreszcie rzuca rakiety?

Wskutek upału kurz jest niemożliwy. Unosi się nad kolumną i zawisa w powietrzu trwając pewien czas nawet po przejściu kolumny. Wysokie słupy kurzu zdradzają maszerujące po innych drogach oddziały, co widać nawet z odległości kilku kilometrów.

Nareszcie zeszedliśmy się razem. Cały pułk, wszystkie trzy bataliony. Każdy miał ciężką robotę. Bo gdy my z II batalionem biliśmy się pod Bohdanami, III batalion miał trudną przeprawę w grupie „Wasyłków“, a I batalion, który samotnie pozostał w Kijowie, także miał ciężką robotę wojenną.

W czasie gdyśmy z II batalionem brali udział w osłonie odwrotu jako część straży tylnej 3 armii, oba bataliony I i III uczestniczyły z 5 i 6 p. p. Leg. w olbrzymiej bitwie pod Borodziańką.

Dopiero więc po 10 dniach, a z III batalionem po 19 dniach, cały pułk zebrał się w jednym miejscu w Malinie. Mamy się wzajemnie czym chwalić i co opowiadać. Nastrój jednak nie jest tak bez troski jak dawniej, wpływa na to sam fakt odwrotu, a także straty.

III batalion kpt. Pakosza Michała w grupie „Wasyłków“ stracił w zabitych 1 oficera i 12 szeregowych. Tu w walkach o Borodziańkę w batalionach I i III padło 2 oficerów oraz 1 podoficer i 16 szeregowych.

I batalion kpt. Mariańskiego, odesłany do Skwiry kolejną, znalazł się w Chwastowie. Stacja przygotowywała się do obrotu. Dotarły już do niej wieści, że kawaleria bolszewicka zdobyła na torze pociąg pancerny „Dowbór“ i wycięła w pień obsługę. Kpt. Mariański doszedł do Powołczy, ale z meldunków wysłanego przez siebie rozpoznania i wiadomości od wziętych jeńców zorientował się, iż do Skwiry nie ma się po co pchać, gdyż się znalazł właściwie na tyłach Budiennego, więc wrócił do Kijowa.

Bolszewicy złapali pociąg osobowy, w którym jechali wracający do Kijowa z urlopów żołnierze nasi i wszystkich wymordowali. Gdybym w Warszawie dał posłuch ponętnym propozycjom pozostania dłużej przy sposobności przyjazdu ze zdobyczą do Jabłonny, być może, wracałbym tym pociągiem.

Wszystko to jednak jest bez znaczenia, jeśli się zważy, że została wygrana bitwa pod Borodzianką ta, która rozerwała pierścień Bolszewików chcących złapać 3 armię w potrzask i zniszczyć nas, a zarazem „odkuć się“ na wielkiej zdobyczy materialnej.

Bitwa pod Borodzianką toczyła się pod bezpośrednim dowództwem gen. Śmigłego - Rydza i ppłka Dęba - Biernackiego.

Pułkownik Dąb był wszędzie, a gdzie jest ppłk Dąb, tam nie ma miejsca na ceregiele ani słabostki ciała i ducha.

Opowiadał mi oficer przydzielony z kompanią naszego I batalionu do 6 p. p. Leg., że odpoczywał na kwaterze z oficerami 6 p. p. Leg., gdy przed świtem obudził ich ostry i gniewny krzyk ppłka Dęba, który przybył do tej grupy oddziałów 1. dywizji piechoty Leg., mającej oddzielne zadanie. „Szóstka“ została strasznie przez ppłka Dęba zbesztana za to, że nie robi. Okazało się, że łącznik nie dotarł do 6 pułku z rozkazem. Pobudzone obecnością ppłka Dęba oddziały ruszyły szybko do działania i nieporozumienie zostało szczęśliwie zlikwidowane.

Rozgorzała piekielna bitwa. Karabiny maszynowe grzały tak, że lufy poczęły się przepalać, nasza artyleria waliła bezpośrednim ogniem, kartaczami, a spisywała się tak gracko, że zapomniano jej, iż dawała czasem swoim po „kulach“. W polu równie łatwo oberwać można od artylerii własnej jak i od bolszewickiej.

Bolszewicy przeciwuderzali śląc oddział za oddziałem; wykorzystując wysokie zboża wyłaniali się niespodziewanie przed naszymi tyralierami. Bój taki trwał od świtu do jakiejś 5 - 6 rano. Oskrzydleni od zachodu, poczęli według swego starego obyczaju uchodzić. Zostali pobici.

Pierwsza dywizja piechoty Legionów zmiażdżyła kułak bolszewicy podsunięty nam pod nos w Borodziance.

Wprawdzie Bolszewicy nie dali jeszcze za wygraną i w dniu następnym 13 czerwca rzucili do przeciwnatarcia na Borodziankę nowe siły piechoty i kawalerii, ale nic już nie wskórali. Ponieśli takie straty, że np., jak twierdzili wzięci do niewoli jeńcy, musieli rozwiązać jeden z pułków piechoty, gdyż zginęli w nim wszyscy dowódcy.

3 armia otworzyła sobie drogę, zmiatając natrętnego i zbyt ufającego w swe siły przeciwnika.

Tak nasyconej ogniem karabinów maszynowych i armat bitwy jeszcze nie było w całej dotychczasowej wojnie naszej. Chwilami rżnęły maszynki całej dywizji — strzelało wszystko, co żyło. Istne piekło na ziemi. Bolszewicy wykazywali w wielu wypadkach upór dotychczas nie spotykany. Gdy jedna z kompanij natarła na stanowiska bolszewickie, spotkała się z zaskoczeniem, które dotychczas nigdy się nie zdarzyło. Bolszewicy zajmujący stanowiska (choć kompania dotarła do samych okopów) nie tylko nie uciekli, jak często bywało, ale nawet nie wyskoczyli z rowów do przeciwuderzenia. Takie trwanie na stanowiskach zaskoczyło i zmieszało ludzi, stanęli jak wryci i byliby się załamali, gdyby nie zimna krew dowódcy.

Wypadek ten nasuwa wniosek, że w niektórych wypadkach obrony powinno być stosowane trwanie na stanowiskach zamiast praktykowanego u nas wyskakiwania przeciw uderzającemu nieprzyjacielowi. Jeżeli ma się odwody, to oddziały tkwiące w linii powinny siedzieć na miejscu i do ostatniej chwili strzelać skutecznym ogniem, a jeżeli się przeciwnikowi

uda wdrzeć w którym miejscu bronionej silnie linii, wtedy powinny one przeciwuderzać.

W obronie, wyskakując z okopu rezygnuje się z siły ognia broni nowoczesnej na korzyść wpływu psychicznego, jakim jest poderwanie się i bieg na przeciwnika. Ale ten argument walki jest przecież środkiem odwiecznym — nie nowoczesnym.

Notuję te kilka myśli o obronie, chociaż w duchu naszych działań jest nie obrona, lecz natarcie. Natarcie wolimy wszyscy, oficerowie i szeregowi, bo w natarciu ma się inicjatywę — możliwość działania według swej woli, czym się góruje nad przeciwnikiem; w natarciu pokonywa się przestrzeń, pędzi się w przód, a to jest zgodne z naszym duchem. Jednakże w historii naszej jest przecież wiele przykładów, że umiemy się bronić trwale i z poświęceniem, do ostatka. Osobiście wolę, że wojna nasza jest ruchliwa, gdyż nie musimy siedzieć zagrzebani w ziemi jak żołnierz w wojnie europejskiej. Broniący się żołnierz musi dobrze strzelać, inaczej czuje się niepewnie. Gdy nie trafia, traci wiarę w możliwość utrzymania się w bronionym terenie. Strzela raz, drugi, dziesiąty i nic — nieprzyjaciel biegnie i biegnie. Ledwie kto się przewróci, ale tyraliery biegną. Pociski wypuszczone z karabina nie dają takiego odporu jak powinny, nic dziwnego, skoro żołnierz strzela „Panu Bogu w okno“. Wreszcie broniący się traci zaufanie do karabina, trzyma go w rękach jak kłonicę, nie zaś jako broń o wielkiej potędze ognia. Tak, że źle strzelającym żołnierzem lepiej jest wyskoczyć z okopu. Niech grzmoci karabinem jak kłonicą, skoro nie potrafi go lepiej wykorzystać.

Bardzo serdecznie witaliśmy się z ppor. Starakiem po dziesięciodniowej rozłące. Gdyby nie odwrót i smutne wieści nie tylko z naszego frontu, ale i z północnego, spotkanie to zupełnieby inaczej wyglądało. Od ppor. Staraka dowiedziałem się, iż rozeszła się wiadomość, jakoby poległ w wypadku na Bohdany. Podobno takie pantoflowe uśmiercenie dobrze wróży. Gadki, bajki i plotki wszelkiego rodzaju przybrały zastraszające rozmiary.

Pułkiem dowodzi znowu kpt. Kruszewski.

Kaczorek spotkał się z chłopakami, którzy nie byli z na-

mi pod Złodziejówką i korzysta ze sposobności opowiedzenia „dokumentnie“, gdzie i jak się co odbyło.

Wymieniłem trzewiki na buty. Z rzeczy moich pozostawionych w Kijowie zostało niezbyt wiele, ale w każdym razie mam jeszcze jeden możliwy mundur w zapasie; nowy, kupiony w Warszawie, został na Funduklejowskiej w hotelu.

W czasie dotychczasowej drogi przyjrzałem się aż nadto dobrze taborom, tej kuli u nogi każdego wojska, które chce działać szybko i sprawnie. Ktoś powiedział, że nasze tabory armii wyciągnięte w linię miałyby z 50 km, i ma rację.

Tabory rosną z dnia na dzień. Tabor pułku olbrzymi, nie-możliwy, okropny. Jeżeli ponadto pomyśleć, że taborycy są czasem najwstrętniejszymi łupieżcami i wygodnickimi łazikami, to naprawdę do taboru nabiera się coraz większej niechęci i obrzydzenia.

Tabor nasz został podzielony na bojowy oraz ciężki i ten odjechał w głąb kraju, a razem z nim tornistry wszystkich żołnierzy. Mamy teraz święty spokój: lekko i dobrze. Do chlebaka można dostatecznie dużo nałożyć, a im mniej gratów przy sobie, tym lepiej. Ciężki marsz odwrotowy z tornistrami był by nie do pomyślenia.

W dalszym ciągu marszu w kierunku Korostenia trafiliśmy na fatalne drogi. Pogoda, sprzyjająca dotąd, popsuła się. Po drodze zatrzymywaliśmy się w miejscowości, gdzie stał nasz tabor pułkowy i miał wielkiego stracha, bo wziął nas za kawalerię bolszewicką. Widać, że psychoza kawalerii działa i podnieca. A tymczasem nie tylko my, bo i 7 dywizja dała łupnia kawalerii Budiennego i wzięła kilka dział.

Na Ukrainie spotyka się olbrzymie wsie, z jedną a czasem z kilkoma cerkwiemi. Kiedy stajemy na noc w tak dużej wsi, nie zajmujemy całej miejscowości, lecz jedynie część. Drogi ze względu na kawalerię nieprzyjacielską są zastawiane wozami i bronami. Artyleria, jeżeli idzie razem z pułkiem, usta-

wia na noc działa na stanowiskach we wszystkie cztery strony świata, bo nie wiadomo skąd może przyjść niespodzianka. Ludność, wobec rekwizycji, a może też dlatego, że odchodzimy, robi się coraz bardziej wroga i niechętna.

18 czerwca.

Dowództwo pułku nakazało wykorzystanie postoju do ponownego organizowania i uporządkowania oddziałów. Trzeba uruchomić kancelarię kompanijną i wysłać raporty strat i zdobyczy.

W pułkowym plutonie łączności jest bezręki podoficer. Jako inwalida mógłby nie pełnić służby w ogóle, a najwyżej w kadrze, ale przywiązał się do pułku i do pola, a więc trzyma się nas. Protezą dopomaga sobie, gdy zachodzi potrzeba władania obu rękami, i wywiązuje się ze swych czynności zupełnie dobrze. Sprzęt w łączności pochodzi głównie ze zdobyczy, tak samo drut, jest więc podniszczony i różnorodny. Chociaż „dru ciarze“, jak telefonistów wszyscy nazywają, wkładają wiele wysiłków w swą pracę, trzeba się dobrze nakłąć, by uzyskać połączenie i w ogóle się rozmówić. Telefoniści harują w polu, szczególnie przy takim ruchu, jaki jest obecnie, więcej niż żołnierze kompanii piechoty. Prócz odbycia marszu muszą zakładać linie, sprawdzać je, związać i odbywać dalszy marsz z pułkiem.

Przeżywanie oddziałów według ich specjalności jest stosowane bardzo szeroko. Odzwierciedla ono zazwyczaj stosunek żołnierza do danego rodzaju broni lub służby. Np. żandarmów, których ludzie nie lubią, nazywają „kanarkami“ i były już nieraz kłopoty, bo śpiewali im piosenkę: „Zdechł kanarek, zdechł kanarek, zdechł kanarek — zdechł!“

Artylerii nie ruszają nigdy. Szanują ją bardzo za jej ogień, który po naszej stronie chętnie widzą, ale dostaje się kompanii technicznej i kawalerii.

Jedną z bolączek pola jest zbyt szybkie wystrzeliwanie amunicji i strzelanie na patatajkę. W strzelaniu nasi żołnierze, a tak samo bolszewicy są wyszkoleni bardzo słabo. Większość

amunicji wywala się w myśl zasady, że chłop strzela, a pan Bóg kule nosi. Dobra zasada i w wielu wypadkach prawdziwa, ale co tu dużo gadać — ze strzelaniem jest źle. Gdyby nasi ludzie byli jako strzelcy lepiej wyszkoleni, na pewno każda bitwa wyglądałaby jeszcze korzystniej dla nas i oszczędziłoby się wiele pocisków. Tymczasem chłopcy strzelają często jak opętani, może dlatego, że mamy w rozkazach ogniowych takie np. rozkazy, jak „szybki ogień“ lub „szybciej strzelać“. Na „szybki ogień“ wali się, aby było dużo huków, ale czy się kogo trafi, o to mniejsza. Były już walki, że ludzie wystrzelali przeszło po 150 pocisków karabinowych w stosunkowo krótkim czasie, aż się lufy rozpałały jak u maszynek. Wynik takiej strzelaniny prawie żaden. W ślad za „szybkim ogniem“ następują wołania o amunicję. Ogień salwami na komendę jest dobrym hamulcem marnotrawstwa amunicji.

Amunicję do karabinów maszynowych taśmuje się w czasie walki na wozach amunicyjnych, przy czym „dekuje“ się kilku ludzi.

Wydawało mi się, gdy przerabiałem walkę na bagnety w Podchorążówce, że w polu są liczniejsze sposobności zastosowania tej umiejętności. Otóż sposobności nie ma zbyt wiele, ale w kilku wypadkach nasi chłopcy popisywali się bagnetami, mniej może walcząc według przepisów, a więcej ulegając impulsowi i nadrabiając zuchowatością. Najbardziej gorąca walka na bagnety była chyba dotychczas pod Boryspolem. Szermierka jest więc przydatna w polu jako umiejętność, a przez samo ćwiczenie jej wyrabia się w żołnierzu zaczepność i pewność w użyciu karabina.

Granaty ręczne mamy w polu te same co w Szkole Podchorążych i w kadrze: trzonowe i jajowe. Jajowe mają bardzo ciężko wyciągający się zapalnik tarcowy; noszą je żołnierze zawieszane na guziku bluzy za kółko od zapalnika. Noszenie takie jest jednak niebezpieczne. Zdarzył się w pułku wypadek, że dwaj chłopcy mocowali się ze sobą, wzięwszy się wpół; tymczasem przy tarposzeniu wyciągnął się drut zapalnika, a granat wybuchł między ciałami nieszczęsnych chłopców. Masakra była okropna.

Innym razem żołnierz, rybak-amator głuszenia ryb, został sromotnie przez los ukarany. Upatrzył sobie dobre miejsce w rzece i gdy zobaczył ryby wyciągnął zapalnik, zamachnął się i... ryby uciekły. Zmieszany spłoszeniem ryb, zapomniał o granacie, który tymczasem wybuchł mu w rękę kalecząc go mocno.

Chłopcy mają manię rozbierania pocisków artyleryjskich, bo przywykli do tego jeszcze w cywilu, gdy zbierali materiał wojenny na pobojuwiskach. Podobają się im metalowe rurki z zapalników, z których robią „pipki“ do papierosów. Rurki takie są przyczyną dość częstych wypadków.

Załadowaliśmy się na transport kolejowy w Korosteniu, zabierając ze sobą tylko tabor, żywność i wszystką amunicję. Po wielodniowych marszach chłopcy przyjęli załadunek ze zwykłym w takich razach rozradowaniem. Nadszarpnięte humory powróciły do równowagi i dawniejszej błyskotliwości. Po rozmieszczeniu się w transporcie widać, że chłopcy mają chrapkę na długą podróż. Załadunek przypomniiał im wiosenny przejazd z Baranowicz do Zwiahła. Ale tym razem nie ubierali zielenią wagonów i kolejarze nie mieli z tego powodu żadnych z nami zatargów. Świadczy to o przemęczeniu ludzi i o przytłumieniu w nas radości życia.

Zatrzymanie transportu i rozkaz wyładowania były dla nas zaskoczeniem. Obiad gotował się w kuchniach. Wypadło nam się wyładowywać w polu z wysokiego nasypu kolejowego. Opróżnienie transportu poszło mimo to nadszpodziewanie sprawnie. W ciągu kilkunastu minut wozy i wózki pełne amunicji i żywności, ba, nawet pełne gotującego się obiadu wielkie kuchnie niemieckie zostały zniesione z platform na rękach. Wszyscy — kto żyw, szarża nie szarża — pomagali. Konie zjechały z wagonów na podstawionych pochyło deskach (boczne ściany platform i drzwi wagonów) i obeszło się jak na taki rwetes bez wypadku, jeśli nie liczyć konia, który zjechał po desce na zadzie i skaleczył go o gwóźdź.

Ruszyliśmy całym pułkiem w kierunku wsi Baranówka.

Przed nami szła już wtedy kawaleria bolszewicka. Widzimy wytrastowane przez nią szerokie szlaki w zbożu. Tratują je, deptają chleb... Spadli na tę ziemię jak horda potępieńców, jak przekleństwo. Szeroka natura rosyjska — szerokie szlaki wytrastowanego zboża, szersze niż trzeba. Złowróżbny jest ślad ich marszu; budzi wstręt i grozę, zawisa przepowiednią klęski jakiejś nieuchronnej, napawa obrzydzeniem obcowania z tępotą i okrucieństwem.

.....

Gdyśmy się zatrzymali, bataliony I i III obsadziły Słobodę Baranowską i Słobodę Aleksandrowską. Staliśmy spokojnie bez styczności z Bolszewikami. Ludność miejscowa opowiadała, że przez te miejscowości szła wczoraj (19 czerwca) kawaleria bolszewicka. Mówią też, że jest to banda na poły cywilna; źle uzbrojona, że wielu nie ma siodeł. Kładą na konie zabrane ludności poduszki i przewiązują sznurem; ze sznurka też robią pętle zastępujące strzemiona, konie mają liche, chłopskie zabrane gdzie się dało, pistolety z uciętych karabinów itd.

Po południu, poprzedzone szpicą, wyruszyły w kierunku Bolszewików dwie kompanie (5 i 6) z maszynkami pod dowództwem por. Holinkowskiego. Nie wiem dlaczego, ale por. Holinkowski był ubrany tego dnia jak „z igły“. Nowy, jasny mundur, nowe buty. Zapewne w czasie pobytu naszego pod Korosteniem spotkał się z taborem i przebrał w nowy mundur.

Kompanie poszły na Suchą Wolę, odległą od nas około 6 km, jako wysłane „w celu wyjaśnienia sytuacji i zebrania danych co do sposobów walki kawalerii nieprzyjacielskiej“.

Po wyjściu kompanij przez dłuższy czas nie było słychać żadnych odgłosów walki, później usłyszeliśmy trochę odległych strzałów, niezbyt licznych, jak to bywa przy zetknięciu się z patrolami bolszewickimi. Po jakimś czasie ogień się wzmógł. Haraczą się, a więc wszystko w porządku, myślał każdy z nas. Wnet do strzałów karabinowych dołączyły swój bas armaty. Niezadługo odezwały się nasze działa z baterii 1. p. a. p. Leg. Na wiatrak stojącym na linii naszych stanowisk siedział obserwator. Ciągłe jeszcze odgłosy bitwy nic nam, stojącym tu na linii zajmowanych stanowisk, nie mówiły, nic nie widzieliśmy, ani przypuszczaliśmy nawet, że...

A tam... ginęły dwie nasze kompanie piechoty i kompania karabinów maszynowych!

Ruszyły na pomoc dwie kompanie I batalionu.

Wiele czasu nie upłynęło, gdy zaczęli nadciągać ranni.

Oto czterej szeregowcy niosą ciężko rannego por. Oskresa. Płaczą spazmatycznie, wołając: „nasz porucznik! nasz porucznik!“ Nadciągają inni ranni oficerowie i kilkudziesięciu rannych legionistów, a wśród tego zamętu, wśród troski o pomoc, o opatrzenie rannych, o ratowanie tamtych, którzy jeszcze nie powrócili, pada wiadomość: por. Holinkowski i Kiciński — zabici!

Ppor. Sobolta, ranny, z przestrzeloną nogą opiętą w długim sznurowanym trzewiku, przysiadł na opłotku i jakby nie miał tej nogi rozharatanej i spuchniętej już znacznie, cedzi na liczne nasze zapytania krótką relację z przebiegu boju. Bez niczyjej pomocy przeszedł i przebiegł, ranny, kilka kilometrów.

Nadciągają nieliczne resztki zdrowych, pozostałych przy życiu; jest ich na oko kilka sekcji — bardzo mało!

Ppor. Chmura Witold, drugi z oficerów, co wyszli cało z walki, swą prawą pozbawioną palca ręką uderza się po brodzie, po bliźnie, którą nosi jako ślad wybuchu granatu — to dowód, że jest przejęty i zdenerwowany ponad miarę. Dwa razy już wracał na pobojozisko i wynosił stamtąd rannych i zabitych. Żeby go puszczono, poszedłby sam do Suchej Woli i odbijałby tę klęskę, tych rannych, zabitych i żywych, bo ppor. Chmura nie wie, co to lęk, nie pojmuje, co znaczy bać się.

Sucha Wola leżała przed nosem maszerującego półbatalionu w odległości niewiele większej nad 6 km. Por. Holinkowski ubezpieczywszy się bliskimi patrolikami szedł śmiało. Pola przy drodze i wokoło pokryte wysokim, przerastającym wzrost piechura zbożem; wysyłanie na boki patroli i szperaczy nie na wiele by się zdało — utonęliby w życie. Holinkowski zamierzał zająć wieś jako podstawę dla wykonania dalszej części swego zadania.

Półbatalion zbliża się do Suchej Woli. Ludzie meldują por. Holinkowskiemu, że za pagórkami, leżącymi po obu stronach drogi, pojawili się jacyś konni. Napotkany cywil informuje, iż za wzgórzami i we wsi jest dużo kawalerii. Por. Holinkowski ba-

gatelizuje te wiadomości. Zbyt wiele razy dawał tęgiego łupnia Bolszewikom, aby ukazanie się gdzieś z boku kawalerzystów bolszewickich miało opóźnić wykonanie jego planu i otrzymanego rozkazu. Tak postanowił i tak będzie.

Podchodzą pod wieś. Nie widać zapowiedzianych kawalerzystów, słabe strzały potwierdzają, że we wsi są Bolszewicy. Na rozkaz dowódcy półbatalion uderza. Kompanie się rozsypują: szósta—do uderzenia wprost na wieś, część piątej ma obejść Suchą Wolę i uderzyć od tyłu — reszta stanowi straż tylną.

Ledwie kompanie poczęły się rozsypywać, natknęły się na pierwszego nieprzewidzianego wroga — zboże! Tyralliera zginęła w wysokim życie, łączność wzrokowa między dowódcami i ludźmi oraz możność obserwowania oddziału nie istniały.

A karabiny maszynowe? W zbożu nie można wykorzystać groźnych dla kawalerii i licznie zabranych maszynek.

Tuż po rozwinięciu się kompanii od strony słabo, zdawało się, obsadzonej wsi gruchnęły gęste strzały i kartacze z kilku armat. Meldowani po bokach drogi marszu kawalerzyści okazali się nie drobnymi patrolami, lecz kilkoma szwadronami, które poszły ławą na boki i tył ruszającego do natarcia półbatalionu. Za uderzającymi już szwadronami ruszyły zza wzgórza i ze wsi następne. Półbatalion siepany ogniem karabinów maszynowych i kartaczy znalazł się wkrótce pod nawałą szarżującej kawalerii. W zbożu miała ona wyjątkową sposobność do przewagi nad piechotą, górując z koni nad żytem wysokim, mając swobodę działania i łączność wzrokową, dostrzegając wszystkie nasze ruchy. Piechota, odwrotnie, mogła zauważyć kawalerzystów dopiero w chwili, gdy nad jej głowami wznosiły się już szable szarżujących.

Piechota znalazła się w pułapce zboża! Jej karabiny maszynowe milczały! Tylko dwie maszynki ppor. Chmury ustawione na drodze brały plon śmierci na kawalerzystach uderzających na tyły półbatalionu.

Położenie było już, mało powiedzieć: poważne i przykre — było beznadziejne. Twardy i zwycięski dotąd żołnierz II batalionu, który nie tak dawno w walkach w okolicy Bohdan i Złodziejówki lekcewał sobie bolszewicką kawalerię i z uśmiechem pewności siebie dawał jej szkołę, stał się prawie bezradny. Pod Złodziejówką miał swobodę działania, mógł wykorzystać ogień swej broni, sieć z maszynek... Oszłomiło go też śmiałe,

wyjątkowe dla Bolszewików pchanie się i tupet. Poczuł się nieswojo, jak wobec psa podwórzowego, który przez długie miesiące czekał, ale podwijał pod siebie ogon i uchodził, a który ni stąd, ni zowąd rzucił się i kąsa. Tak, to było zaskoczenie, ale pojawiło się jeszcze jedno, najgroźniejsze — taczanki! Dotychczas ognia broni maszynowej od kawalerii można było oczekiwać, gdy się ona spieszy i zajmie stanowiska. Tu, o dziwo!.. z szeregów szarżującej, a nawet podającej tył kawalerii poczęły siec serie pocisków z karabinów maszynowych!

Ciężka była droga naszego półbatalionu wiodąca go do wypełnienia zadania: co krok — zaskoczenie i korzystny dla przeciwnika atut: zboże, przyjęcie postawy zdecydowanie zaczepnej, zaskoczenie ogniem kartaczy z Suchej Woli i taczanki.

Półbatalion smagany ogniem maszynek, rąbany szablami, pozbawiony wpływu dowódców, których najlepsze chęci na nic się już zdać nie mogły, walczył jednak zapamiętale. Poszły w ruch granaty ręczne, zwarły się z szablami bagnety, padały pojedyncze strzały. Stary doświadczony nasz żołnierz począł się skupiać, schodzić do drogi. Zwarli się pozostali jeszcze przy życiu w czworobok i poczęli się cofać na Baranówkę. Mimo tylu zaskoczeń i niepowodzenia postawa półbatalionu była jeszcze tak silna, że cały pułk kawalerii rosyjskiej, który otoczył resztki topniejącego ciągle oddziału, nie ośmielił się mimo wszystko przypuścić śmiertelnej i ostatecznej szarży; siał za to bez przerwy morderczym ogniem kilkunastu karabinów maszynowych z taczanek.

Padła masa żołnierzy; padł ppor. Kiciński, ranny zostaje por. Holinkowski, ranni obaj dowódcy kompanii, prawie wszyscy podoficerowie, prawie wszyscy dowódcy plutonów.

Półbatalion cofa się, bije i wykonywa zadanie — zbiera dane o sposobie walki kawalerii przeciwnika, krwawym zbiera doświadczeniem.

Por. Holinkowski, w straży tylnej, otoczony w pewnej chwili przez grupę kawalerzystów, ponownie ranny ciężko detonuje na swej piersi granat...

Ppor. Chmura objął resztki półbatalionu. Jak zwykle nieczuły na kule i śmierć, zatrzymał ludzi, przywarł z nimi do kawałka przychylnego dla piechoty terenu i powstrzymując dalsze parcie kawalerii, dał możliwość wycofania się kilku oficerom i wielu rannym legionistom.

Nadeszła pomoc dwóch kompanii I batalionu.

Por. Holinkowski, oficerowie, podoficerowie i legioniści II batalionu wykonali zadanie, wypełnili rozkaz: sprawozdanie o sposobie walki kawalerii rosyjskiej przyniósł nam goniec śmierci w meldunku krwią pisanym.

Z 9 oficerów i 223 szeregowych 5. i 6. kompanii wróciło pod dowództwem ppor. Chmury i ppor. Bojanowskiego zdrowych i całych: 4 podoficerów i 80 legionistów. Wróciło 5 oficerów, 2 podoficerów i 78 legionistów rannych. Półbatalion stracił swoje karabiny maszynowe. Obsługi wyginęły niemal w całości.



Lekarz II batalionu i sanitariusze składają ciężko rannego na podwoję.

Nasi lekarze i „saniteci“ w nerwowym pośpiechu opatrują rannych, bo starają się jak najszybciej umieścić ich na podwodach i odesłać na tyły.

Na teren walki poszła jeszcze 7 kompania i wyniosła stamtąd 7 ciężko rannych żołnierzy i ciała 10 zabitych

Zwłok ppor. Holinkowskiego i ppor. Kicińskiego nie udało się odnaleźć.

Kłeska 5. i 6. kompanii pod Suchą Wolą dała doświadczenie. Świadczy ona, iż przeciwnik stał się czynniejszy i bardziej

pewny siebie niż dotąd; że umiejętnie stosuje nowy sposób wykorzystania przez kawalerię karabinów maszynowych, umieszczając je na ruchomym środku przewozowym — na taczance. Taczanki, jako źródło ognia, zarówno w czasie szarży, gdy się znajdują na skrzydłach, jak też przy odchodzeniu kawalerii (szczególnie wtedy właśnie) stanowią dla bezsilnej właściwie na koniach jazdy potężny atut ogniowy.

Jeszcze tego samego dnia kawaleria bolszewicka dążyła do osaczenia naszego pułku i 12 p. p., który działał niedaleko od nas. Udało się jej odciąć 12 p. p. Wycofał się. Pozostaliśmy jeszcze czas jakiś na stanowiskach, ale i my odeszliśmy spod Baranówki. W drodze rozmyślałem nad tym, jakie by można nauki wyciągnąć z krwawego doświadczenia naszego pod Suchą Wolą. A więc nie można zbyt ufać własnemu szczęściu i długotrwałemu nawet powodzeniu wojennemu, trzeba być ostrożniejszym i nie lekceważyć nigdy przeciwnika, nawet gdy się nam wydaje łatwy do pokonania, gdy przywykliśmy do tego. W marszu trzeba się lepiej ubezpieczać. Przed dojściem do Suchoj Woli trzeba było patrolami zajrzeć do niej, tak samo patrolami trzeba było sprawdzić, co to za kawalerzyści ukazali się na pagórkach po obu stronach drogi. Zboże wysokie trzeba traktować jak las, jak przeszkodę, która rozdziela ludzi w tyralierze i uniemożliwia łączność wzrokową...

Tak, łatwo jest mędrkować, dowodzić i krytykować, gdy się idzie spokojnie drogą i myśli tylko, gdy się nie ma przed sobą nieprzyjaciela, gdy się nie ma na karku zadania. Kibic jest zawsze mądrzejszy, zawsze więcej widzi. Trzeba było, lepiej było, powinno się... tak, tak... kibic...

Maszerujemy. Droga nie jest wąska, ale kroczymy tuż obok niej po nowym szlaku powstałym w łąkach cudownego dorodnego zboża. Bolszewicy, nasi idący na czole kolumny, a może ci, którzy przed nami szli, wytrатовali w zbożu szeroki pas zniszczenia...

Gdy idę tak, poczyną targać mną rozterka wewnętrzna. Przejmuje mnie i boli tratowane zboże. Wiem, ile trudu i nadziei złoci się w tych ciężarnych plonem kłosach, w tratowanym łąnie.

Niby pasem wojennym otaczamy i zaciskamy ziemię. Cwa-
łują po niej demony nicości — czterej jeźdźcy Apokalipsy, dep-
czą i niweczą pracę człowieka, błogosławieństwo urodzaju...

Demon zniszczenia toczy się po ziemi i zbożu...

„Kawaleria z lewa!“... — wrzeszczy ktoś. Robi się ruch,
zamieszanie, słyhać nawoływania: „maszynki na linię!“ „ma-
szynki na linię!“ A potem się okazało, że nie ma do kogo strze-
lać, bo kawalerii nie było, jeno ledwie mały patrolik albo nasi
ułani, czy też zgoła pasące się konie chłopskie. Kto, gdzie krzy-
czał — niewiadomo. Fama o kawalerii rośnie, tworzy się psy-
chiczny nastrój obaw i niepewności. Gdzie przyczyny? A choć-
by w stratach poniesionych pod Suchą Wolą, gdy żołnierz wi-
dział jak niewielu chłopców wróciło z trzech kompanii po wal-
ce z kawalerią.

Nie tylko Sucha Wola jest przyczyną famy pokrzykującej:
„kawaleria!“ Gdy zapisywałem wypadki z bitwy pod Boro-
dzianką, nie wspomniałem, bo ponosiła mię radość z wygrania
tej ważnej bitwy, iż Bolszewicy szarżowali na I batalion i wpro-
wadzili zamieszanie w jednej z kompanii. Wzięli wtedy do nie-
woli 1 oficera z kilkunastoma szeregowcami, a jeden z podofi-
cerów paskudnie oberwał szablą po głowie. Tylko przez krótki
czas udało się Bolszewikom zatrzymać naszych żołnierzy.
Po kilkunastu minutach wymknęli się kawalerii i wrócili do
batalionu, a oficer stracił tylko lornetkę i pistolet.

Już wtedy więc żołnierz I batalionu zetknął się z zaczepną
postawą kawalerii rosyjskiej. A więc Borodzianka i Sucha Wo-
la to dwa posiewy famy kawaleryjskiej.

Zubkowicze. Przyszliśmy tu w ciężkim marszu spod Ba-
ranówki. Zostałem z maszynkami przydzielony do II batalionu.

Karabiny ustawiłem, ale wybór stanowisk jest utrudnio-
ny, gdyż i tutaj zboże wysokie na chłopa. Jeden umieściłem na
strychu domu.

Był ppłk Dąb-Biernacki na naszym odcinku i oglądał sta-
nowiska. Nie jest zadowolony z mojej maszynki na strychu,



Obserwator plutonu ciężkich karabinów maszynowych.

ale zameldowałem, że w tych warunkach muszę mieć jeden karabin maszynowy wyżej, zarówno ze względu na trudny teren jak i na zboże.

Robiłem dla batalionu szkic całego odcinka.

Przybyła kompania marszowa z batalionu zapasowego i została rozdzielona między bataliony.

Przez kilka dni kręciliśmy się jak pomyleni koło m. Zubkowicze. Dzisiaj jesteśmy w nich już po raz trzeci. Dwa razy zwijaliśmy obsadę wokół tej wsi, a dziś (27 czerwca) znowu Zubkowicze odebraliśmy natarciem. Wstrętna wieś w lesie i w bagniskach, cuchnąca obecnie i niemożliwie zanieczyszczona przez kawalerię bolszewicką, którąśmy stąd wygnali, nabiera w moich oczach, wskutek ciągłego kręcenia się koło niej, opuszczenia i powrotów, jakiegoś szczególnego znaczenia, jakby nie gdzie indziej, lecz tu właśnie miało się rozstrzygnąć coś wyjątkowo ważnego. Teren, w którym obecnie działamy, jest przeważnie lesisty, zabagniony, a więc się do działań na jakąś szerszą skalę nie nadaje.

Po dwukrotnym opuszczeniu Zubkowicz i powrocie do nich ludność tutejsza miała dość i Bolszewików, i nas. Przed dzisiejszym natarciem uciekli do lasu. Chłopcy wykorzystali sposobność goszczenia we wsi bezpańskiej, pozabijali moc drobiu, nagotowali całe wiadra i mają wyśmienity obiad.

Nieźnośny jest brud i zaduch po Bolszewikach. Każde wojsko ma swoisty odór. Pamiętam dobrze dziegciowy zaduch wojsk rosyjskich, fajkowy i cygarowy niemieckich; nasze wojsko czuć wyziewami potu i komiśniaka, ale po Bolszewikach zostaje zaduch najnieźnośniejszy.

W czasie ostatniego natarcia obserwowałem nasze granatniki. Oceniam je jako bardzo dobre. Szczególnie w takich wypadkach jak tutaj, w terenie leśnym, gdzie trudno użyć artylerii. Oddają one piechocie duże usługi. Nieraz już były używane do pozorowania ognia artyleryjskiego. Pocisk granatnika jest słabszy, ale w lesie narobi rumoru i huku. Lepsze już to, niż brak ognia.

W ogóle nie powinno się dopuszczać do tego, aby żołnierz był pozbawiony poparcia np. artylerii, gdy ją ma przeciwnik, bo się w takiej bitwie czuje pokrzywdzony i pomniejszony. To samo dotyczy kalibru artylerii. Na przykład gdy przeciwnik rozpocząłby ogień większymi kalibrami, a z naszej strony nie nastąpiłaby silna, a nawet silniejsza odpowiedź. Sprzęt wojenny odgrywa dużą rolę, bo chociaż sam bez człowieka nic nie zna-

czy, jednak przyczynia się do potęgowania siły ducha walczących, a to jest bardzo ważne.

Na Bolszewikach odbiliśmy dwóch naszych chłopców zabranych przez nich do niewoli.



Odbiliśmy dwóch naszych chłopców zabranych do niewoli...

Wprawdzie wszyscy mamy w pamięci zwycięstwa i powodzenia, wprawdzie nie można powiedzieć, żeśmy ducha stracili,

ale obecne nieprawdopodobne wysiłki, marsze i walki nie przynoszą wyraźnych sukcesów, a więc i zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, nie widzi się bowiem owoców trudu. Wskutek przemęczenia i przez sam fakt odwrotu oraz wobec opuszczenia Kijowa i niepomysłnych wiadomości z innych frontów, nie jesteśmy w tej chwili takim szczęśliwym wojskiem jak przed odwrotem. Kompanie coraz mniejsze, marsze coraz bardziej wyczerpujące. Umundurowanie niszczeje. Wielu chodzi na bosaka, nie jak dawniej z ochoty (bo nasz żołnierz lubi chodzić boso), ale z musu. W marszach nocnych kaleczą nogi. Chleba wcale nie otrzymujemy. Wyżywienie otrzymywane słabe, własne zaś, zdobywane w tzw. „własnym zakresie“ jest bardzo dobre. Każdy ruch i marsz rozpoczynany w stronę przeciwnika jest przyjmowany przez wszystkich z ożywieniem i radością.

Trzeci pułk ułanów, działający przy nas dzielnie się trzyma. Nasza opinia — ta najszczerza, bo żartobliwa — jest na ogół bez entuzjazmu dla kawalerii, jednak 3 p. uł. jako godnego kompana dla 1. dywizji piechoty Leg. dość sobie chwalimy i wyrażamy się o nim z uznaniem. A to już jest bardzo dużo, jak na opinię piechura o broni jeździeckiej.

Piechota ma zawsze jakieś pretensje do kawalerii. Bywa, że są one uzasadnione, ale na ogół zgrzyty między tymi dwoma rodzajami broni biorą swe źródło w przekorze, dowcipach i trochę w zawiści. Piechur zazdrości kawalerzyście konia, szczególnie teraz, gdy odbywa nieprawdopodobnie długie, uciążliwe marsze. Nie obejdzie się więc bez docinków. Najczęstszy jest krzyk: „oddaj konia!“, bywają też i inne. Ale kawalerzyści nie pozostają dłużni piechocie. „Zajac“ — to ich wynalazek i docinek na temat zajęczych skoków piechoty po bruzdach. Piechur kpi z kawalerzysty, bo nie widuje go w ogniu natarcia, lecz tylko przy sposobności przemarszów, patroli i w ogóle pracy i służbie na koniu.

3 pułku działającego z nami chłopcy nie zaczepiają, bo mieli już sposobność przyjrzenia mu się w walce.

Przykra jest śmierć kolegi, przyjaciela, gdy się go traci na wojnie, ale też przykra jest śmierć przyjaciela żołnierzowi najwierniejszego — konia.

O brzasku dnia maszerowaliśmy najspokojniej, gdy naraz, z boku, z odległego wzgórza padła na nas seria bolszewickiego karabina maszynowego. Seria była dobrze wymierzona. Część pocisków padła tuż przy nas w ziemię, a to dowód najlepszy. W kolumnie naszej zrobił się ruch. Rozwinęły się dwie kompanie, gdyż prócz strzelającego ciężkiego karabina maszynowego odezwały się liczniejsze strzały.

W chwili gdy padła pierwsza seria z bolszewickiej maszyny, ppor. Starak jechał konno, ja szedłem obok i gawędziłem. Wobec zapowiadającej się walki ppor. Starak zsiadł z konia. Zauważyłem, że koń drży, co wziąłem początkowo za objaw przestachu spowodowanego nagłymi strzałami. Ale drżenie wzmogło się i wtedy zrozumieliśmy, że koń musi być ranny, trafiony pociskiem z owej pierwszej bolszewickiej serii. Walka rozwijała się tymczasem szybko, a po strzałach można się było zorientować, że nie będzie większej roboty. Spokojni o to, że nie będziemy potrzebni zajęliśmy się koniem. Mimo dokładnego obejrzenia nie zauważyliśmy żadnych śladów zranienia. Koń drżał jednak coraz bardziej. Zdjęto siodło. Położył się na ziemi. Ukazała się mała kropla krwi na boku i dopiero wtedy znaleźliśmy miejsce trafienia. Ppor. Starak nie mówił nic, ale wiedziałem i bez tego, że jest bardzo wzruszony, że cierpi.

Koń po kilkunastu minutach nie żył.

Ppor. Starak poszukuje teraz nowego konia dla siebie. Zabiegi te ześrodkowują się u adiutanta pułku, a także u dowódcy 1. kompanii c. k. m. Dobrych koni wierzchowych nie mamy prawie wcale w pułku.

O dotychczasowych działaniach naszych został wydany następujący rozkaz dowództwa 3 armii:

Dowództwo 3 Armii
Oddział III.
L. 18510/III.

ROZKAZ.

Oddziały 3 armii stoją u kresu walk odwrotnych. Odwrót był nakazany przez Nacz. Dow. na podstawie ogólnej sytuacji operacyjnej. Najważniejszym jego powodem był w ostatnich fazach zamiar skoncentrowania się w najkrótszej linii, osłabienie uderzeń przeciwnika, by po wzmocnieniu frontu przejść do kontrataki.

Odwrót 3 armii obfituje w świetne wojskowe epizody, począwszy od pierwszego dnia opuszczenia rejonu Kijowa, kiedy trzeba było przebijać zacieśniający się koło nas pierścień wojsk nieprzyjacielskich — aż do chwili ostatecznej. Cofaliśmy się, bijąc nieprzyjaciela, nie pozwalając mu wdrzeć się między nasze kolumny, tak że żołnierz 3 armii czuje się zwycięzcą mimo odwrotu — często nie rozumie przyczyny odwrotu. Każda z dywizji i każdy z pułków wykazały o wiele więcej męstwa i hartu, aniżeli w czasie ofensywy.

Dziękuję wszystkim Dowódcom i szeregowym za obowiązek spełniony w warunkach bardzo ciężkich bez aureoli zwycięskiego pochodu naprzód. Wymienię tu tylko fakty najznamienniejsze.

Więc:

7 dywizja piechoty pod wytrawnym dowództwem, po walkach pod Białą Cerkwią, po marszach koncentracyjnych nad Irpień, w porządku wzorowym maszeruje, rozbijając atakujące ją oddziały Budiennego pod Gorbylewem, biorąc w śmiałych wypadach pod Korosteniem działa nieprzyjacielskie, jeńców i zdobycz.

Grupa płka Rybaka, należąca od kilku dni do innej armii, wśród ciężkich walk stawia czoło nieprzyjacielowi, usiłującemu wdrzeć się między 3 i 4 armię. Przede wszystkim odznaczył się 41 pp.

3 pułk ułanów od pierwszych dni swego przydziału do 3 armii zdobywa sobie ogólne uznanie swym bezwzględnyim spełnianiem obowiązków, dużą inicjatywą, zrozumieniem sytuacji. 3 pułk ułanów, nie zważając na straty, starał się więcej zrobić, aniżeli rozkazy od niego żądały, co doskonale charakteryzuje jego dowództwo i jego korpus oficerski. Jest to pułk, mogący służyć za wzór wszystkim pułkom. Uznanie, jakie znajduje u szarego piechura, jest najlepszą pochwałą.

6 dywizja ukraińska zachowując hart ducha, mimo że cofając się oddaje swą Ojczyznę na pastwę wroga — jak wierny, dobry towarzysz broni pilnuje naszego północnego skrzydła.

Nie mogę pominąć milczeniem grupy art. ciężkiej płka Aleksandrowicza, która po bezdrożach i piaskach przebijała się, dokonując rzeczy nieprawdopodobnych w ratowaniu materiału. Zasługa to przede wszystkim płka Aleksandrowicza.

Największe ofiary poniosła 1. dyw. Leg. Pułki jej piechoty i artylerii były zawsze tam, gdzie było najciężej. One otworzyły przejście nad Teterowem, one często bose — śpieszyły z pomocą tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo. Jeszcze raz w sposób dobitny krwią wielu swych oficerów i szeregowych stwierdziła 1. dywizja, że zasługuje na swą opinię, że potrafi spełnić to, co zdawałoby się, jest ponad siły ludzkie. Zbyt bliskie i serdeczne stosunki łączą mnie z nią, bym wielu słów używał na jej pochwałę.

12 p. piech. 6 dyw. p. niedawny swój przydział do 3 armii przypieczętował krwią, chlubnie przelaną we wspólnych bojach z 1. p. p. Leg.

Ten olbrzymi moralny wysiłek nie może pójść na marne. Walki, któreśmy stoczyli — nie mogą nas osłabić, lecz przeciwnie, dumna świadomość ich musi tym nieodzownie przemienić się w cios odwetu.

Niech o tym pamiętają dowódcy, to przekonanie wpoją w szeregowych.

Nieprzyjacieli, którego mamy przed sobą — jest stokroć bardziej zmęczony, pozbawiony dowozu żywności i amunicji, zdeorganizowany — wtedy, gdy my jesteśmy skupieni, blisko od swojej bazy. Pierwsze uderzenie nasze rozbije go. My w tej chwili nabieramy materialnych i fizycznych sił do uderzenia. Moralne siły posiadamy.

Pamiętajcie o tym, co powiedział Wódz Naczelny w rozkazie nakazującym odwrot:

„W przeprowadzeniu rozumnego i dobrego odwrotu trzeba wykazać więcej hartu ducha i cnót żołnierskich, aniżeli w ofensywie“.

Myśmy spełnili zadanie.

ŚMIGŁY-RYDZ

generał por. i dowódca armii

Straty pułku od Borodzianki do końca czerwca wyniosły: zabitych 4 oficerów i 68 szeregowych, rannych 7 oficerów i 172 szeregowych, zaginionych 41 szeregowych. W liczbie zaginionych — 29 pod Suchą Wolą, z których prawie wszyscy byli ranni a później, najprawdopodobniej, dobiti przez kawalerię bolszewicką.

W miejscowości Kaczyczyn w pobliżu Zubkowicz, oddziały nasze miały ciężką przeprawę nocną z Bolszewikami. Otóż stał tam 3 p. uł. i dwie kompanie naszego III batalionu. W ciągu

dnia 26 czerwca Bolszewicy nacierali bezskutecznie na wieś. W nocy jednak, ciemnej i dżdżystej, otoczyli wieś i doprowadzili przez ludność cywilną przez bagna, a więc od strony, gdzie obsada była najsłabsza, wtargnęli do wsi uderzając zarazem na nasze placówki. Mimo iż plutony strzeleckie podążyły na swoje odcinki, ze względu na panujące ciemności wsi nie dało się utrzymać. Niektórzy wygodnicy porozbierali się na noc, stąd też np. ułani „wywiewali“ ze wsi w bieliźnie.

Wieś stała się terenem bezładnej strzelaniny i zamieszania. Kompanie piechoty i ułani przedarli się do lasu pobliskiego, gdyż Kaczczyzn leży wśród lasów. Zebrane w lesie kompanie i szwadron 3 p. uł., po uporządkowaniu się poszły do natarcia na Kaczczyzn, który odebrano, wypierając dwa pułki i kawalerię baszkirską. Poległ 1 podoficer i 6 legionistów. Ułani stracili 25 koni, kilka wozów i kuchnię polową, które Bolszewicy zdołali z sobą uprowadzić. Jest rzeczą dla naszego żołnierza znamioną, że chwilowego załamania się nie można u niego traktować jako objawu słabości ducha utrwalającej się na dłuższy czas. Np. w Kaczczyźnie, po rejteradzie ze wsi, ludzie poszli śmiało do natarcia, wieś odebrali przeważającym liczebnie Bolszewikom, zadali im duże straty i stali się znowu panami położenia. Potem śmieli się w kułak, że ich wola jest na wierzchu, oraz w myśl zasady, że ten się śmieje, kto się na ostatku śmieje.

O odebraniu Kaczczyzny dowiedzieliśmy się dopiero po przyjeździe do wsi. Wysłał nas tam płk Dąb - Biernacki, gdy otrzymał meldunek od 3 p. uł., że Kaczczyzn został opanowany przez Bolszewików. Poszedł II batalion, do którego miałem przydział.

Wejście do wsi zastaliśmy zabarykadowane wozami i broniami przed ewent. niespodziankami kawalerii bolszewickiej. Z wypadku kaczczyńskiego wypływa jeszcze jedna nauka. Nie można wierzyć ludności cywilnej, gdy twierdzi, że jakieś bagno jest nie do przejścia. Nie wiedzieć dlaczego w takich sprawach przesadzają, opierając się może na pamięci dawnych bagien z jakiegoś wyjątkowo mokrego lata lub w ogóle niezdając sobie sprawy, co znaczy możliwość przejścia przez bagna dla piechoty. Tak też i ludność Kaczczyzny, która nas informowała, wprowadziła wojsko w błąd, że bagna są niedostępnymi moczarami.

Szczególnie jeśli chodzi o bagna, trzeba być bardzo ostroż-

nym, bo zwykło się je uważać za niemożliwe do przejścia. Dla chłopą bagno jest już wtedy niemożliwe do przejścia, kiedy mu w nim koń ugrzęźnie, ale po takich bagnach człowiek przejdzie.

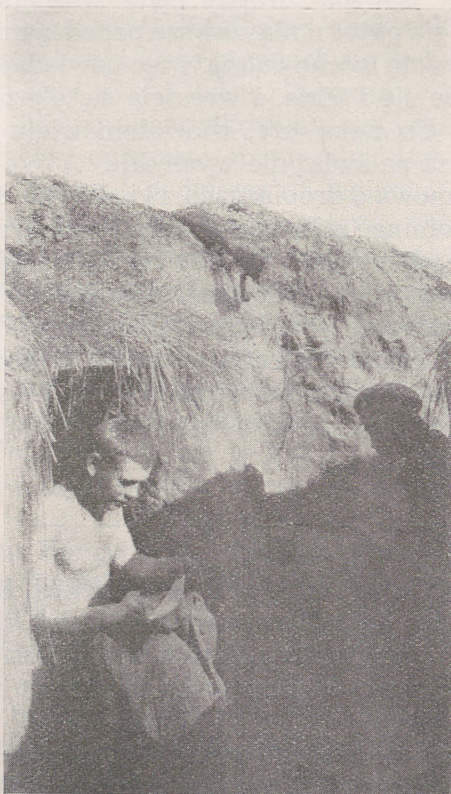
Niemożliwy jest lud tutejszy pod względem podawania odległości; jeśli się pytać o nią, zawsze podadzą mniej i uogólnią, że droga jest pewnie trochę dalsza, więc powiadają np. „5 wiorst z hakiem“. Idzie się i idzie, i wreszcie się okazuje, że hak od wiorst dłuższy. Co ciekawsze, widziałem wielu ludzi, którzy poza wioskę nosa na świat nie wychylili.

Kiedy już mowa o drobiazgach związanych ze służbą w polu, nie można pominąć milczeniem sprawy podwód. Podwodziarze są potrzebni, oczywiście, ale Bogiem a prawdą, znaczną ilość podwód ciągnie się w taborach zupełnie niepotrzebnie. Przykład — nasz cukier zdobyty przez ppor. Chmurę w Kalinówce. Zostało go jeszcze kilkanaście worków. Jedzie w taborze kompanijnym! Od deszczu i kurzu ciemnieje, od jazdy i wstrząsów mączka cukrzana wysypuje się po trochu z worków, ale cukier jedzie.

Przy wszystkich prawie wózkach ciężkich karabinów maszynowych mamy po jednym koniu dodanym na przyprzążkę tak, że chodzą w biedkach po dwa konie. Jeden koń nie może wydołać i wytrzymać marszów naszych z braku należytego odpoczynku.

Nie było jeszcze takiego postoju, żeby móc się zająć praniem bielizny, staje się więc ona z dnia na dzień coraz brudniejsza. W ślad za tym pojawia się zwykły w takich wypadkach towarzysz — wesz. Przysłowie, że na pochyłe drzewo nawet koza skacze, sprawdza się znakomicie właśnie na wszy. Póki żołnierzowi powodzi się jako tako, wszy nie ma, ale niech tylko wpadnie w tarapaty i znajdzie się pod wozem doli i niedoli żołnierskiej — wtedy wesz „murowana“. Licho wie, jak i skąd się bierze? Opanowuje bieliznę i wszelkie szwy w mundurze, najordynarniej gryzie i pasożytuje sobie na panu ziemi — czło-

wieku. Niektórzy chłopcy mają ciało pocięte do żywego mięsa. Szczególnie w miejscach gdzie są szwy w bieliźnie. Prócz tego robactwa spotyka się na Ukrainie nieprawdopodobne ilości karaluchów. W nocy łążą po ścianach oklejonych papierem. Gdy zapalić światło, rudo - czarne masy karaluchów uciekają całymi falangami, szeleszcząc po papierze jak rój niesfornych os. Nierzadko spadnie na głowę taki karaluch.



Pojawia się zwykły w takich wypadkach towarzysz — wesz...

Kwaterowanie w chatach ukraińskich nie należy więc do przyjemności. Zwykło się już jednak nie grymasić w tych sprawach i rad jest człowiek, gdy może choćby na parę godzin położyć się na gołej desce lub na wiązce słomy. Poduszek wiejskich

nigdy nie bierzemy, chociaż kobieciny podtykają je pod głowę na każdej kwaterze.

Moje buty długie wykończyły się zupełnie. Doszły już do takiego stanu, że ledwie raz na kilka dni mogę zdjąć je z nóg rozpruwając cholewę. Winny temu tzw. futrówki; podarły się i wskutek tego butów nie można ściągnąć. Nauka — buty z futrówkami nie nadają się na wojnę.

Jeżeli odczuwamy tak bardzo dolegliwości marszów i zmęczenie, to dzieje się to dlatego, że marsz nasz jest ciągłym zawracaniem, uderzaniem na Bolszewików, cofaniem się, by znowu zawrócić i uderzyć. Cofamy się i cofamy, chociaż właściwie nie jesteśmy bici, bo wypadek pod Suchą Wolą dotyczy tylko dwóch kompanii, podczas gdy jest ich w pułku dwanaście, więc nie ma on zasadniczego znaczenia.

W rozmowach poruszamy temat naszego odwrotu i obecny brak jego uzasadnienia. Kończy się tym, że psoczymy na inne oddziały, ponoć łatwiej odchodzące i łatwiej dające się przeciw i skubać Bolszewikom. Naszą dywizję w odwrocie dotychczasowym można porównać do zranionego odyńca, co to nie dał się ani nagonce, ani myśliwemu i który tak się odgryza, że myśliwemu wreszcie polowanie obrzydnie.

Jednym z takich odgryzań się było natarcie dwóch batalionów 1. p. p. Leg. i całego 5 p. p. Leg. na Horodnicę. Marsz odbywał się wysokopiennym lasem. Zawiązała się typowa walka w lesie. Byliśmy w straży tylnej i nie mieliśmy chwilowo nic do roboty, wobec czego dowódca kompanii polecił wydać obiad. Tymczasem strzały przed nami zaczęły się wzmacniać. Chłopcy pobrali obiad, posiadali pod drzewami i najspokojniej jedzą. Usiadłem również i przysłuchiwałem się świstom pocisków, przelatujących jak zwykle w walce z Bolszewikami dość wysoko. Wtem usłyszałem bliskie bardzo chłnięcie, swoisty dźwięk, gdy pocisk wpada w mokrą ziemię lub ciało. Obejrzałem się i... tak jest, siedzący tuż obok mnie legionista dostał kulą w szyję. Przez chwilę jeszcze trzymał menażkę z obiadem... Krew buchnęła mu gardłem. Wołanie o sanitariusza i szybki opatrunek zakończyły ten epizod obiadowy. Na wojnie umiera się nie tylko w zmaganiach, w wirze walki i z okrzy-

kiem hura! Ginie się również spokojnie i cicho z menażką w ręku.

Opisywanie zdarzeń i walk, które minęły, jest o tyle trudne, że znowu przez kilka dni mieliśmy szereg marszów tam i z powrotem, których istotę zrozumieć trudno, gdy się nie zna rozkazów wyższych przełożonych i ich zamiarów: np. w Horodnicy pobiliśmy Bolszewików tak, że uciekli na drugi brzeg Słuczy paląc za sobą mosty, ale zawróciliśmy stamtąd do Zabarja.

Dostaliśmy tu uzupełnienie marszówek. Nie były to marszówki 1. dywizji piechoty Leg., lecz innych pułków, ponieważ jednak nie mogły znaleźć swych oddziałów, więc z rozkazu płka Dęba - Biernackiego zostały podzielone między oddziały 1. dywizji, przez co się zwiększyły stany naszych kompanij.

Wyszedł rozkaz polecający oficerom doprowadzenie swego wyglądu zewnętrznego do porządku, nawet paznokci! Faktem jest, że przez trwające nieustannie marsze i brak czasu, mamy od dawien dawna nie strzyżone włosy i nie golony zarost. Starsi wiekiem i o cięższym zarostie dochowali się niezłych już bród. Wielu oficerów i podoficerów postanowiło się nie golić i nie strzyc aż do ukończenia odwrotu.

Wszy!!!

Już od paru dni czułem jakby łąziło mi coś po szyi. Ponieważ w okolicy lasów bagnistych pełno komarów i wszelakiego robactwa, oganiałem się przed tymi zwierzakami, które upodobały sobie akurat moją szyję. Tymczasem się okazuje, że to nie komary, nie muchy, ale po prostu... wszy!

Tak jest! Do wielu udręk, do podartych i kończących się prawie butów przybyło nowe utrapienie, bodaj największe.

Gnębiam mię już od paru, jak się okazuje, dni, ale początkowo nie miałem pojęcia, że to są właśnie „blondynki“.

Ostatecznie, dlaczego mam być lepszy od innych żołnierzy, niech i mnie bestie dokuczą trochę. Pocieszam się, że nie tylko ja mam wszy. Widzę, że kpt. M. „poluje...“.

Kiedy, skąd i gdzie mogłem wszy złapać. Zawsze uważałem, aby lec na byle wiązce słomy i nie brałem nigdy poduszek wiejskich, ale przypominam sobie, że gdy pewnej nocy wyczerpany już do ostateczności położyłem się w izbie na słomie, jakaś litościwa babina podetknęła mi pod głowę poduszkę. Brakło mi siły i woli na to, by tę poduszkę jak zawsze spod głowy wyrzucić. A może nie chciałem robić przykrości babinie, która z dobrego serca zadbała o mój sen i odpoczynek. Dobra babina, ale nie wiedziała, że darząc mnie dobrym sercem dzieli się ze mną dorobkiem plugawym. Może ma gdzieś na świecie w wojsku syna swego jedynaka, może przywidziało się chłopce — matce, że syn jej również kładzie gdzieś zmęczoną głowę na byle desce.

Naści poduszkę żołnierzowi! Może i mojemu chłopakowi jakaś inna matka tę samą ulgę przyniesie...

Niech ją bogi mają w swej opiece.

Stoczyliśmy bój pod Tuczyńnem. Idąc do tego boju wiedzieliśmy z rozkazu dowódcy pułku, że armia konna Budienego przerwała front 2 armii, a 1. dywizja ma uderzyć na tył i bok bolszewickiej kawalerii.

Miałem znowu sposobność obserwowania pracy dowódczej w polu kpt. Kruszewskiego, gdyż 4 kompania c. k. m. znajdowała się przy dowództwie pułku jako odwód w bezpośrednim rozporządzeniu dowódcy. Podziwiam kpt. Kruszewskiego i ten jego takt niezwykły i dar ujęcia sobie wszystkich oficerów pułku dżentelmeńskim postępowaniem. Najbardziej godny podziwu jest spokój z jakim nasz dowódca dowodzi w polu, a przecież jest się czym denerwować. Nie ma nic gorszego dla wykonawców i podwładnych, jak zdarzający się u niektórych dowódców zbyt nerwowy i niezdecydowany sposób dowodzenia.

Rozumiem teraz dlaczego wszyscy oficerowie pułku da-

rzą kpt. Kruszewskiego takim szczególnym posłuchem i przywiązaniem.

Natarcie nasze nie doszło do nakazanego celu, gdyż zaczął zapadać zmierzch. Bądź co bądź odrzuciliśmy kawalerię, co przy jej uporze i duchu zaczepnym jest dużym powodzeniem.

Chociaż nigdy nie miałem zaufania do hełmu francuskiego, o którym słyszałem, że jest tylko nieprzemakalną czapką, dopiero pod Tuczynem się przekonałem, że pocisk karabinowy przebija obie ściany hełmu i głowę na wylot. Właśnie poszedłem oglądać naszego żołnierza, który w ten sposób dostał w głowę, i zasiadłem potem z paroma sitwesami do zwykłej przy nadarzającej się sposobności pogawędki, gdy o parę kroków przed nami wbił się ze złowrogim łomotem w ziemię, miękka w tym miejscu łąkę podmokłą, armatni pocisk bolszewicki. Przez chwilę oczekiwaliśmy na wybuch, sądząc, że jest to granat z zapalnikiem opóźnionym, ale nie wybuchł. W każdym razie był pieter! W ogóle pod Tuczynem znajdowaliśmy się kilka razy w silnym ogniu artylerii.

Pułkiem dowodzi znowu kpt. Kozicki, gdyż ppłk Kruszewski prawie w dniu otrzymania awansu ciężko zachorował i odjechał do szpitala. Od bitwy pod Tuczynem nie spaliśmy zupełnie cztery doby i odwaliliśmy znowu okropne marsze. Trzeba wziąć pod uwagę, że nie jesteśmy tak wypoczęci i lotni jak w pierwszych dniach pobytu na Ukrainie. O ile dawniej marsz 40-kilometrowy na dobę pokonywaliśmy z uśmiechem i od niechcenia, o tyle teraz taki marsz staje się już uciążliwy, jeśli zgoła nie ponad siły. Składa się na to nie odwrót, nie przemęczenie nawet, ale nowy nasz wróg — jeden z czterech jeźdźców Apokalipsy i sojuszniczka czerwonych, jak oni czerwona zara — towarzyszka c z e r w o n k a !

Od kilku dni trzyma w kleszczach wielu chłopców w pułku, a na dwa dni przed bitwą tuczyńską chwyciła ppor. Staraka i mnie. Poszarzały twarze w pułku. Najbardziej chorzy oficerowie i podoficerowie odjeżdżają do szpitali. Chudną znowu szeregi pułku, a twarze pozostałych więdną i schną w uścisku krwawej zarazy. Nie on, nie Budienny nas gniecie; przyciska i męczy — ona, czerwotka. Nie dziw więc, że z dnia na dzień

słabniemy. O szpitalu nie ma co myśleć, bo musiałoby się zgłosić do niego chyba 60% stanu pułku. Trzeba trwać i wytrwać. O jakimkolwiek jedzeniu mowy nawet nie ma: okupuje się je zaraz przykrościami takimi, że nie opłaca się skórka za wyprawkę. Z ppor. Starakiem staramy się zwalczyć czerwonkę dietą: suchary i czarna kawa.

Już kilka razy w czasie naszych marszów odwrotowych miałem sposobność oglądania zamieszania marszowego gdy się mijają lub krzyżują duże jednostki, ale takiego chaosu jak przy przejściu Horynia w dniu 8 lipca jeszcze nie widziałem. Tabory! tabory! Nie nasze, tym razem 6 dywizji piechoty. Te tabory potrafiące najniepotrzebniej w świecie wpakować się tuż zaraz za nacierającym batalionem, aby gdy się rozpocznie bitwa i wzmoże ogień, wyrwać znowu do tyłu i robić niepotrzebny rwetes i zamieszanie — tutaj замуrowały most, przez który mieliśmy przejść. Ledwie zdołaliśmy się przebić na drugą stronę rzeki. Tabory przeklinam, bo przy przeprawie z nimi straciłem swą wysłużoną już furażerkę. Utopiła się w Horyniu. Mam teraz nową furażerkę, ciężką i obrzydliwą, ale trudna rada. Z taborami nie jest dobrze. Myślę, że są one w mocy jakiegoś złego a upartego i psotnego chochlika, któremu na imię „taboryta“. Dziwne i może niesłuszne będzie twierdzenie, że najrozsądniej myślący żołnierz ulega jakiejś psychozie, może właśnie władzy chochlika - taboryty, gdy zaczyna dowodzić taborami. Nie chciałbym uchybiać bynajmniej dowódcom taborowym i nie dla pomniejszenia znaczenia służby oficera w taborach notuję taką opinię, ale cóż robić, kiedy w poczynaniach taborowych spotyka się często nielogiczności, zapędy do wygod, wreszcie mało zrozumienia i odczucia rzeczywistości chwili. Myślę, że zło w taborze idzie od dołu; poczynając od taboryty, który przy dłuższym jeżdżeniu robi się ospały, mało ruchliwy i wygodnicki, poprzez konia, który ma swoje wymagania, a reszta nonsensów taborowych rodzi się sama.

Wyczerpani marszem i bezsennością nużącą od czterech dni, odżywiani tylko kawą, z czerwönką w brzuchu maszerowaliśmy wytrwale, ale resztkami już sił do bitwy o Równe.

Na wstępie ciężkie starcie miał I batalion. Kawaleria czerwona uporczywie szarżowała, a wypierana nie chciała dać za wygraną. Naciśnięta uderzeniem piechoty, acz niechętnie musiała uchodzić. Minęły więc czasy, gdy banda z poduszkami zamiast siodeł, święciła triumfy napadając na oddziały etapowe tyłów naszych i rozwydrzała się tym łatwym zwycięstwem. Ale kawaleria bolszewicka ma dużo jeszcze atutów w ręku — choćby taczanki i dość dobrą artylerię, więc czuje się pewnie i mocno. Dowodził nią tutaj zresztą podobno sam Budienny. II nasz batalion znalazł się w pewnej chwili w dość przykrym położeniu, ale z pomocą kompanii 5 p. p. Leg. zmusił Bolszewików do ucieczki.

Przybył do nas płk Dąb - Biernacki i skierował pułk naszą szosą na Równe.

Wieczorem począł padać deszcz, który przerodził się w wściekłą burzę. Strugi wody spływały z obłoków, jak biblijny deszcz potopu; błyskawice raz po raz oślepiały niby wybuchy magnezji i rozdzierały ciemń nocy. Jakieś niesamowite, jak nie z tego świata rozpetanie żywiołu owładnęło ziemią. Jedynie w chwili zajaśnienia błyskawicy można było dostrzec cośkolwiek przed sobą, aby zaraz po zgaśnięciu stanąć przed murem nieprzeniknionych ciemności. Jeżeli się zdarzają dni takiej niepogody, o których się mówi, że „psa z domu by nie wygnał“, to w taką właśnie noc wygnał nas w pole płk Dąb-Biernacki, aby uderzyć na Budiennego w Równem. Potoki wody, spadające z góry, płynęły drogą i polami jednym rwącym strumieniem, łomot piorunów i blask błyskawic czynił z tej wyprawy jakąś czarodziejską złudę nie mieszczącą się w wyobraźni zwykłego ludzkiego życia. Trzymaliśmy się za ręce, aby się nie pogubić.

Tak brnęliśmy w burzy ku nakazanemu celowi.

.

O świtaniu, jeszcze w pierwszych jego ledwie budzących się blaskach, podeszliśmy pod miasto. Nagły ogień bolszewickiego karabina maszynowego z boku wytrącił mnie ze spokojnego półsennego i ociężałego marszu.

Rozpoczęliśmy ogień. A strzelać jest do czego. Dwie kolumny bolszewickie podążają właśnie do miasta... Kawaleria! działa! tabory!

Ruch w interesie, jakiego dawno nie było! Raj dla maszynek! Hura! hura! hura!

Piechota się ruszyła! Podchor. Galiński chwycił swój pluton 5 kompanii i rzucił się na piechotę bolszewicką. Nie darmo ma pseudonim „Granat“.

Bijemy aż hej! Ledwie początek, a już mamy 5 maszynek zdobycznych.

Ale dostali szkołę!

Leży kilkudziesięciu poharatanych mołojców, sporo koni ustrzelonych z maszynek, zostały działa i część taboru.

.

Stoję w Równem ze swym plutonem c. k. m. za 8 kompanią, gdyż jesteśmy teraz w odwodzie. Ppor. Bartosiewicz, który w jednej marszówce ze mną przyszedł z batalionu zapasowego do pułku w pole, podszedł do mnie i gawędzimy, ot tak, aby się zająć czymkolwiek i przypomnieć dawne „lepsze“ czasy. Skręciłem papierosa i mam go zapalić, gdy podbiega do nas zadyszany oficer artylerii i krzyczy: „panowie, ratujcie! Bolszewicy zagarniają działa mojej baterii!“

Nie namyślając się wiele, decyduję: Staszek! bierz swój pluton, ja biorę maszynki i jazda!

Skoczyliśmy w lewo od drogi, na której w Równem staliśmy. Zanim się uporałem ze zdjęciem maszynek z wozów i zabraniami amunicji, Bartosiewicz był już od nas kawałek drogi. Z maszynkami pogoniłem kierując się w lewo od niego, aby móc łatwo rozpocząć ogień. Teren w Równem pofałdowany, pagórki jak kopce; zejdziesz w dół — siedzisz jak na dnie garnka. Po wejściu na wierzchołek jednej z kopiec, otwieramy z dwóch maszynek morderczy ogień do wyłaniających się Bolszewików.

Nie spodziewali się nas tutaj, więc wieją. Bartosiewicz jest oddalony ode mnie o jakieś 200 m w bok. Siedzimy na wzgórzu i postrzeliwujemy od czasu do czasu do Bolszewików.

Pada w pobliżu granat, za chwilę drugi bliżej nas, a następnie cztery prawie jednocześnie, jeszcze bliżej. Aha! mają nas na oku. Nie minęło parę minut, a granaty lecą już tak blisko, że

przysypują nas pecyny rozdzieranej wybuchami ziemi. Nie ma co, trzeba wyrwać na inne miejsce.

Ściągam pluton w dół, wylazimy na następne wzgórze. Chyłkiem już i możliwie niewidocznie zajmujemy stanowiska. Gdzie tam, ledwieśmy usiedli i rozpoczęli ogień, powtarza się ta sama historia co na poprzednim wzgórzu. Skoczyłem z jednym karabinem w dół. Miałem zamiar zostawić jeden karabin na starym stanowisku i ściągnąć go do siebie, gdy sam już będę na nowym, ale padające często pociski ostrzegają mnie, że mogę niepotrzebnie narazić maszynkę i obsługę. Odwracam się więc i daję znak lagą do zmiany stanowiska. Obsługa pionem wyskakuje z dziury, w której siedziała, zbiega do mnie... W tej samej chwili widzę, jak kilka granatów pada akurat w to miejsce, gdzie stał karabin, i... jakaś niepojęta siła podrywa mi nogi... Toczę się po ostrej pochyłości wzgórza w dół... Potem widzę, jak Władek, mój pocztowy osobisty, obmacuje mi nogi. Aha — myślę: patrzy, czy całe. Unoszę się, obie obsługi stoją na dnie niecki między wzgórzami. Wstaję, a więc wszystko w porządku, ręce są, nogi... aa! coś jest z nogami! Lewa noga i but rozwalony.. Boli, ale chodzić można. Podpieram się lagą i kuśtykając prowadzę karabiny na nowe stanowisko. Po drodze przypominam sobie, jak i co. Machnięcie kijem, pociski, które omal nie zniszczyły maszynki i obsługi i... tak, niedaleko mnie musiał upaść granat. Dostałem w nogę odłamkiem, grudą ziemi, kamieniem czy czym? Dla tego pewnie spadłem ze stromej pochyłości. Ale noga jest! Dobra nasza!

.

Zajęliśmy ponownie stanowiska.

Powtórzyła się historia z ogniem artylerii. Schowałem obsługę i maszynki za wzgórzem, upatrzyłem sobie miejsce na wypadek, gdyby trzeba było wyskoczyć i rozpocząć ogień. Jednemu z obsługi kazałem obserwować przedpole i od czasu do czasu rzucić okiem do tyłu, by wiedzieć, co robią nasi. Mimo schowania się za potężną kopią nie mieliśmy spokoju; przez długi czas artyleria rosyjska nas niepokoiła. Strzelali oczywiście i poza nas na miasto. Nabrałem respektu dla artylerii. Jeżeli już o niej mowa, to muszę przyznać, że boję się granatów, a lekceważę szrapnele. Szrapnel wybucha sobie

gdzieś tam w górze i jest mniej hałaśliwy, tymczasem granat pada na ziemię, jak piorun. Ponieważ boję się piorunów, boję się też granatów.

Dziwne uczucie, gdy się wie, iż gdzieś tam jakiś obserwator artyleryjski upatrzył sobie nie kogo innego, a ciebie i twoich ludzi za cel, że biedzi się, męczy, oblicza, żeby nie kogo innego, a ciebie właśnie, twoje maszynki i twoich ludzi zniszczyć. Bo zupełnie znowu co innego jest ogień, który leci sobie jako podarek i niespodzianka dla wszystkich; wtedy loteria—komu pisane, tego trafi, ale tu, bracie, o ciebie chodzi, nie o kogoś innego. Ciebie upatrzyli i mają na oku. Wnosząc z szybkiego i dokładnego wstrzeliwania się do nas artylerii bolszewickiej sędzę, iż Bolszewicy musieli mieć na niezbyt odległym od nas skraju lasu swoich obserwatorów na drzewach i dlatego tak nas szybko wymacali.

Gdy siedzimy za pagórkami, odzywa się gaduła Kaczorek. Tłumaczy obsłudze, że powinna mnie w rękę pocałować, a moją łagę również, bo żeby nie machnięcie łagą, to gryźliby ziemię, a z maszynki złom by się jeno został. Ha, może Kaczorek ma rację.

Sędząc po strzałach, jesteśmy w Równem zamknięci w kółeczku. Wychodzi na to, że złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn...

Ani chybi będziemy stąd znów „odchodzili”; taka już nasza dola. Ale dzień dzisiejszy inny, jakiś lepszy, jakby z tych dawnych. Co z tego, że Bolszewicy otoczyli nas w Równem, że czerwotka skręca bebechy? To jedno ważne, że dostali magiel!

Nawiązałem łączność z batalionem i zapytałem: czy i kiedy odchodzimy. No tak, bo odejść musimy. Czyśmy wzięli Równe w arendę, czy co? Nie mogliśmy odejść za dnia, bo odchodzić przy kawalerii za dnia nie warto! można dostać po kulach. Odchodzimy nocą.

.

Poległ Bartosiewicz... Ogromnie mi przykro, bo to ja przecież wyciągnąłem go z odwodu na ratunek artylerii. Poległ od pioruna lecącego z nieba, od tego pioruna, którego się boję—od granatu.

Gdy po zejściu ze stanowisk dążyłem przez Równe na

zbiórkę straży tylnej, ujrzałem płka Dęba - Biernackiego. Zapytał: „która kompania?”

Nie opuścił więc jeszcze Równego. Jest tu nie po to, by pobudzać i detonować dynamit mocy drzemiącej w dowódcach i w oddziałach; trwa dziś, by ożywić ostatnie tchnienie pozostałe jeszcze w wyczerpanych doszczętnie ludziach, by obecnością swą powiedzieć: bądźcie spokojni -- jestem przy was.

Gdy mijam tak pułkownika Dęba, gdy melduję: „pluton 4 k. m. przy II batalionie“, gdy patrzę jak odbywa nocny przegląd oddziałów schodzących z pola zwycięskiej dzisiaj walki, czuję i myślę niezawodnie to samo, co wszyscy podkomendni płka Dęba, jak cała 1. dywizja piechoty Leg., jak wszyscy jej oficerowie i szeregowi. Dziękuję więc w duchu pułkownikowi za tę jego moc dowódczą, za rzucenie nas na Równe i danie sposobności do wywalczenia powodzenia, do tego trzykrotnego okrzyku: hura! hura! huraaa!, który wyrwał mi się dzisiaj na widok łaźni sprawionej mordercom bezbronnym naszych żołnierzy - urlopników, za dzisiejszą bitwę; za siłę, która wstąpiła w nas i dała wszystkim żołnierzom dywizji nowe mocne samopoczucie swej nad wrogiem przewagi.

Za dar tego szczęścia żołnierskiego chciałoby się podziękować, krzyknąć z całej mocy, tu na ciemnej i nędznej a brudnej ulicy miasta Równego: „Pułkownik Dąb - Biernacki — niech żyje!“ Chiałoby się wystrzelić na wiwat i choćby popełnić jakiekolwiek głupstwo.

Czuję to i wiem, że wszyscy, którzyśmy brali udział w walkach o Równe, wiwatowalibyśmy tak i strzelali z radości i ku chwale pułkownika Dęba, ale nie strzelamy i nie krzyczymy.

Cicho sza! Trzeba się cieszyć w duchu, a odejść cicho i niepostrzeżenie.

Noga mi doskwiera. Porządnie kuleję. Bez kija nie mógłbym maszerować, ściskam go więc mocno w garści.

Ponieważ ściągnąłem późno, idę na samym prawie końcu kolumny. Zastanawiam się, czy Bolszewicy, którzy otoczyli nas wokoło w Równem, będą nas ścigali czy nie. Pościg mógłby nam dać porządną szkołę.

Zmęczenie ostatnim marszem w ulewie i burzy, przemoknięcie do suchej nitki, brak pożywienia przez cały dzień, a dla

chorych na czerwonkę — od kilku dni, zaległości trudne już do obliczenia w spaniu i odpoczynkach, wyłażą na wierzch, jakby spod skóry, dreszczem dziwnym i chorobliwym. Ani chybi gorączka! Marsz wolny, parę zaledwie kilometrów na godzinę. Wlecemy się jak wycieńczona brakiem wody karawana. Chwila zatrzymania. Wszyscy chłopcy padają na ziemię, w najgorsze choćby błoto wczorajszego deszczu i zasypiają natychmiast kamieniem. Trzeba walczyć ze sobą, trzymać się wysiłkiem woli, od czasu do czasu uszczypać się mocno, aby się przyprowadzić do równowagi i nie zasnąć idąc. Sen dowódcy teraz — to zguba ludzi. Padną i pozostaną. Noc jest tak ciemna, że jeżeli uśnie żołnierz o dwa - trzy kroki od drogi, można go wcale nie zauważyć.

.

Kaczorek i teraz nie stracił zwykłego rezonu, a gdyśmy się oddalili od Równego o parę kilometrów i według niego można już gadać głośno, opowiada plotki, które zdążył zebrać. Mówi więc, że Budienny przypadkowi jeno zawdzięcza swe ocalenie, bo udało mu się uciec z Równego przed nami samochodem; że znaleziono na kwaterze prowianty przygotowane na śniadanie i obiad dla samego Budiennego: kury zabite i oprawione do gotowania oraz wino i papierosy; że znaleziono czy też otrzymano w Równem kartkę „pismo“ od armii konnej z zawiadomieniem, że armia konna szanuje naszą dywizję, że jest dumna z zaszczytu walki z 1. dywizją piechoty Leg. i dla wycofania pozostawia nam wolną drogę na Klewań.

Maszerujemy drogą na Klewań. Czy Kaczorek podsłuchiwał kogoś gadającego banialuki na takie tematy, czy sam fantazjuje — nie wiem. W każdym razie część jego plotek, a mianowicie tę o prowiancie Budiennego słyszałem już rano z innego źródła.

Kolumna od czasu do czasu przystaje, a gdy rusza, mam robotę, bo idąc dostrzegam śpiących chłopców, leżących bezwładnie w rowach. Budzę towarzystwo, a nierzadko trzeba używać kija i przemocy, aby śpiącego obudzić i zmusić do dalszego marszu. Zmęczenie jest tak ogromne, że nie pomaga nawet groźba i tłumaczenie, iż spanie tu na drodze i pozostanie za pułkiem grozi niechybną śmiercią, że Bolszewicy, być może, idą za nami i będą łazików i maruderów haratali. W kilku

wypadkach takie dictum pomogło. Jakiś chłopak, wyczerpany do ostateczności, nieprzytomny leży przy drodze. Kazałem go położyć na jadącą przy nas podwodę. Niezadługo maruderów było już tylu, że podwody zapełniły się wyczerpanymi chłopcami. Niektórzy idąc trzymają się wozów, biedek i dział — tak lżej maszerować.

Spędziłem woźniców, bo zasiedli sobie na wózkach i jadą jak hrabiowie. Taboryci zawsze szukają wygody, chociaż w czasie gdyśmy brali udział w natarciu i pocili się w ogniu artylerii — oni odpoczywali.

Ciągłe użeranie się z maruderami, pozostawanie za kolumną i konieczność przyspieszenia kroku dla dołączenia się do plutonu dały mi tęgą szkołę. Wreszcie poczułem się tak wyczerpany, że począłem jak moi ludzie trzymać się wozu w marszu, a później nie wiem jak się znalazłem na wozie, wśród bezwładnych, skłębionych ciał ludzkich. Instykt samozachowawczy pewnie, a nie wola własna, musiał mną kierować, bo stało się to jakoś bezwiednie — samo.

Nieprzytomny, rozgorączkowany, oszołomiony tętnem krwi, z nogami płaczącymi się bezwolnie i okaleczającymi stałem się już ledwie strzępem człowieka. Organizm zareagował, sam upomniał się o swoje prawa.

Wybuchy granatów, ich huk, trzask ognia moich maszynek, zmiana stanowisk z kopy na kopę, machnięcie laga, grzmot granatów w miejscu gdzie siedziała obsługa, poranny ogień do kolumn bolszewickich, a także wypadek z kontuzją poczęły mi się odradzać w wyobraźni halucynacjami powracających ciągle i zmieniających się obrazów. W głowie szumiał mi huk całej dzisiejszej walki. Poczułem też szarpiący ból w trzewiach od wielu dni zatrutych jadem czerwunki, obolałych wskutek choroby i głodu.

Głód... głód...

Do obrazów rozrywających się granatów, do halucynacyj huku i odgłosów bitewnych wmieszały mi się strony książki o głodzie Knuta Hamsuna. Nękania tyloma przeciwnościami, wyczerpany do ostatecznych granic i ginący, począłem powtarzać znane mi na pamięć słowa: „Czyżby Bóg zamierzał zniweczyć mnie całkiem? Czułem w całym ciele niewymowny ból, szarpało mnie nawet w ramionach tak, że ich nie mogłem trzymać w pozycji normalnej... rozmawiałem sam ze sobą pół-

głosem i przechylałem drzwiąco na bok głowę. Pocóż miałbym się troszczyć o żarcie i picie, oraz o to w co przyoblekę ów wór z molami, zwany ciałem, skoro mam ojca w niebie, który opiekuje się mną, zarówno jak wróblami, i czyni mi łaskę, dotykając mnie palcem swoim...”

.

Macham lagą... podnosi się kurzawa... grzmiały wybuchy granatów, fontanny ziemi lecą do góry i na mnie, wyją odłamki... trzeszczy palba karabinów... podchorąży Galuś szpurtuje na Bolszewików... dokazuje, dźga bagnetem, wyrzyna morderców, ściele sobie drogę trupami... Huraaa!... Konie postrzelane, skłębione... Armaty!... Hura!... Huraaa!... Huraaaa!.....

.

Ludzie zostają w rowach!!! Otrzeźwiałem. Zerwałem się, skoczyłem z wozu. Ból okaleczającej nogi przywrócił mi do reszty przytomność.

Idę, pełnię swój obowiązek oficerski. Odnajduję ludzi pozostałych po rowach, ratuję od śmierci niechybnej, od niewoli, od hańby...

Budzę jakiegoś chłopca, tarmoszę, walę kijem, ale nie słucha i nie wstaje. Złorzeczę mu, wymyślami najordynarniejszymi słowami, ale i to nie pomaga. Powiada, że nie może, nie może iść dalej, woli umrzeć. Mówi: „Matko moja!... nie pójdę!... nie pójdę“!...

Żal mi się zrobiło chłopaka, który konając ze zmęczenia, do matki się odwołuje. Zatrzymałem pluton i kazałem załadować nieszczęśnika na biedkę. Na podwodach miejsca już nie było. Ale oto nowy żołnierz, leży nieprzytomny, ledwo mi odpowiada. I tego zabieram na biedkę.

Idę. Tak samo, jak ci upadający bezsilnie chłopcy gonię już resztkami siły, ale trzymam mnie jeszcze na nogach obowiązek dowódcy.

— — — — —

Maszerując tak całą noc, nad ranem usłyszeliśmy odgłosy jakiejś kolumny idącej niedaleko nas. Dawaly się słyszeć charakterystyczne dla maszerującego wojska szmery, ale mgła nie dozwala zobaczyć, kto zacz. Ani chybi, byli to Bol-

szewicy. Musieli być jak my zmęczeni i jak my nie rozpoznali sąsiada marszu. Później drogi oddaliły się zapewne od siebie i obie kolumny się rozeszły.

Koło południa dowlekliśmy się do Klewania, przeszliśmy przez rzekę i stanęliśmy na odpoczynek w lesie. Rzekę obsadzał jakiś pułk piechoty, mogliśmy więc spokojnie odpocząć i nie myśleć o armii konnej, która podążała za nami z Równego.

Po krótkim odpoczynku kolumna złożyła się do dalszego marszu. Poczęliśmy wchodzić do lasu, gdy z tyłu padły strzały. Obejrzałem się. Ze wzgórza, po stoku spadającym do rzeczki zjeżdżali rozsypani kawalerzyści bolszewicy. Z kompanii idących w straży tylnej rozpoczęto ogień do kawalerii. Kolumna pułku nie zatrzymała się. Opędzając się od Bolszewików ogniem, weszliśmy do lasu, w którym już mieliśmy „gdzieś“ kawalerię. Nagłe ukazanie się Bolszewików trzeba sobie tłumaczyć odejściem pułku, który siedział za rzeką, ale jak i kiedy odszedł, nie widziałem.

Każde spotkanie z rzeką, jeżeli tylko czas na to pozwala, wykorzystujemy na kąpiel dla wojska. Po upale jest to dla żołnierza rozkosz jedyna spłukać z siebie gryzący pot i obrzydliwy kurz.

Nie zawsze kąpiel dobrze się kończy. Na przykład kiedyś w czasie kąpeli w Teterowie patrol bolszewicki ostrzeliwał kąpiący się II batalion.

12 lipca.

Nie przerywając marszu, tego samego jeszcze dnia dotarliśmy nocą do jakiejś wsi i zakwaterowaliśmy. Nie znajduję słów na opisanie wyczerpania naszego w czasie marszu z Równego aż do Styru, gdzie dzisiaj odpoczywamy. Wróciłem znowu do swojej kompanii. Z nami stoi I batalion i kompania techniczna.

Bataliony II i III obsadzają Styr. Mam duże zaległości w notatkach. Więc straty w Równem: poległ ppor. Bartosiewicz

i 18 szeregowych, rannych przeszło 100 legionistów, zaginionych 15. Zaginieni — to przeważnie ci, którzy w noc marszu z Równego zostali po drodze, nie zauważeni w ciemnościach, gdy legli w przydrożnych rowach padając ze zmęczenia.

Ostatni marsz z Równego wyniósł prawie 100 km, a w ciągu ostatnich 11 dni przeszliśmy prawie 300 km. Piszę te liczby i sam im nie wierzę, a jednak mapa nie kłamie, a raczej kłamie, bo podaję odległości te mierzone na mapie 1:400.000, gdy w rzeczywistości są one przecież większe. Nie kłamię też nogi.

Odbył się pogrzeb Bartosiewicza. Dowódca plutonu honorowego, który na wiejskim cmentarzyku strzelał salwę honorową poległemu, gdy wyszedł przed chatę w nocy po pogrzebie, miał ujrzeć ducha śp. Bartosiewicza. Wrócił na kwaterę przejęty, aż zzieleniały z wrażenia.

Przechodziliśmy przez Kołki. Wiara legionowa przypominała tu sobie dawniejsze walki pozycyjne z lat 1915 - 1916. Przypominają się im własne dawne okopy i znane miejsca. W lasach podczas ostatnich marszów napotkaliśmy okopy bardzo solidne, rozbudowane i odrutowane. Na bagnach i mokradłach okopy są nadbudowywane na wierzchu ziemi i wzmacnianie drągowiną. Włożono w te prace moc trudu. Wiele krwawego potu musiało wsiąknąć w ziemię, odżyła już obecnie i pięknie wyglądającą pod kobiercami świeżej zieleni. Niejedno żdźbło trawy i niejedno drzewo karmi się tutaj śpiącymi w ziemi wojakami.

Przemęczenie, jakie przeżywaliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni, mogło się stać przyczyną zamętu, przykrych nieporozumień i niedociągnięć. Ludzie zagubieni w marszu z Równego, ci wyczerpani do ostatnich granic żołnierze przypomnieli mi kilka fragmentów przeżyć nie zanotowanych jeszcze.

Ogarniało nas zmęczenie tak wielkie, że na przykład, pewnego dnia nie mogłem się w żaden sposób dobudzić ppor. Staraka. Po paru godzinach snu w chacie tak się rozespiał, że mimo krzyku, tarmoszenia i budzenia na wszelkie możliwe sposoby nie mogłem go przywołać ze świata snu do wymagającej dalszego wysiłku rzeczywistości. Podnosiłem go i stawiałem na nogi — nic nie pomagało. Mówił sennym głosem, że dobrze, że już wstaje, ale wypuszczony z rąk walił się na słomę i zasypiał natychmiast prawdziwie kamiennym snem. Dopiero porcja boksu przyczyniła się do obudzenia mego dowódcy i przywróciła mu przytomność.

Zasypianie takie może się kiedyś źle skończyć, możemy przespać rozkaz pułkowy, który dostajemy przeważnie po nocach. Dotychczas jakoś wszystko idzie jak w zegarku i budzimy się szczęśliwie w samą porę, ale raz już zastałem ppor. Staraka śpiącego z rozkazem w ręku.

Od kilkunastu dni nie jedliśmy chleba. Namówilem gospodynię, u której kwaterujemy, aby nam usmażyła bliny. Zabrała się do pitraszenia dość chętnie. Smaruje kawałkiem skórki od słoniny(dla oszczędzenia tłuszczu) gorącą patelnię, nalewa papki z gryczanej mąki, smaży, składa bliny jeden na drugi, aż ich urośnie cała sterta.

Bliny bardzo nam smakują, szczególnie po długim głodzeniu. Kasza i mąka gryczana są zdrowe, więc ciekawe jest, jak się będzie zapatrywała na ten pokarm towarzyszka czerwotka. Zobaczymy.

Orkiestra nasza została rozbita w taborze, o czym się dopiero teraz dowiedziałem. Tabor, w którym orkiestra jechała, dostał się pod ogień artylerii bolszewickiej. Kilka pocisków padło akurat przy wozach, na których wieziono instrumenty, konie poniosły, wozy się wywróciły. Wynik — instrumenty uszkodzone.

Chleb, który w czasie dotychczasowego odwrotu dotarł do żołnierza, okazał się niezdatny do jedzenia. Na dobitkę intendentura, chcąc dogodzić żołnierzom na froncie, czy też z innych względów wypieka biały chleb z mąki pszennej. Wskutek zbyt długiego wożenia i wpływów atmosferycznych zapleśniał on w całej swej grubości, potworzyły się wewnątrz gniazda pleśni. W jednych bochenkach pleśń jest zielono-czarna, w innych zaś biało-żółtawa. Chłopcy spragnieni chleba okrawają pleśń, a resztki jedzą. Z całego bochenka pozostaje kilka zaledwie kęsów, jeśli pleśń jest ciemno-zielona. Przy biało-żółtej, ponieważ nie widać jej dobrze, zostają większe kawałki, ale tym gorzej, bo żołnierze zjadając pleśń zapadają na coraz złośliwszą czerwone.

Sanitariusze kompanijni pracują dobrze. Kiedy się idzie do przodu, sprawa z rannymi jest prosta. Sanitariusze przyjdą i spokojnie opatrzą; nierzadko kolega w natarciu da opatrunek i zostawi bądź nawet chętnie odprowadzi na punkt sanitarny. Chętnych do prowadzenia rannych jest czasem zbyt wielu. Ale przy wszelkich odwrotach z opatrywaniem i zabieraniem rannych jest gorzej. Trzeba przyznać, że u nas w pułku, zarówno oficer jak podoficer i szeregowiec, wszyscy mamy tę pewność, że w razie zranienia, nawet w najcięższej opresji, nie zostawi się człowieka na łasce losu. Na przykład pod Borodżanką długo



Ciężko ranni na podwoźcie — lżej ranni pieszo.

szukano brakujących rannych czy zabitych, co było szczególnie trudne ze względu na wysokie zboża.

Podwodziarzy zmieniamy co jakiś czas. Mamy jednego zabranego pod samym prawie Kijowem, który jedzie z nami i prosi, by go zatrzymać i nie odsyłać, bo powiada: „i tak czerwoni zabiorą na podwody“. Chęć pozostania u nas tłumaczy także pragnieniem zwiedzenia kawałka świata. Jakiś wyjątkowy, jak na chłopą, typ podróżnika. Na ogół chłopci się nie kwapią do wojażowania podwodziarskiego, a są tacy, którzy przez całe swoje życie nie wysuwali nosa nawet poza swoją wieś, nie wiedzą, jak się sąsiednie miejscowości nazywają, jaka jest do nich odległość itp. Ten jest jakimś unikatem. Ma bardzo dobre konie i wóz, na pewno zagarnięty przy podziale majątku.

Na podwodziarzy trzeba uważać. Do jednej z bitew szliśmy z ciężkimi karabinami maszynowymi, wiezionymi na podwodach chłopskich. Gdy w czasie marszu kolumna została niespodzanie ostrzelana przez Bolszewików ogniem karabinów maszynowych, podwodziarze omal nie wywiali drżąc o swą skórę. Zwieją — głupstwo, ale uciekliby z maszynkami znajdującymi się na ich podwodach. Wtedy dopiero byłaby historia!

Rozkaz dowództwa pułku ustala odmarsz ciężkiego tabo-ru na Stochód. Czołówka amunicyjna, prowiantowa i sanitarna w Maniewiczach. Od 14.VII tabor ciężki w Gradie.

Adiutantowi pułku nie daje spokoju brak raportów, których od Kijowa nikt nie wysłał. Była wprawdzie próba uruchomienia kancelarii w drodze, ale zawiodła. W dzisiejszym rozkazie znajduje się nowe polecenie nadesłania wszystkich raportów zaległych za czas od pobytu w Kijowie. Kto je wysłał?

Rozkaz z dnia 14.VII zabrania przeprowadzania rekwizycji w obrębie dawnych pozycji austriackich ze względu na bie-

dę ludności cywilnej, która dopiero zaczyna się zagospodarowywać.

Ponieważ na miejsce ubywających oficerów nie przybywają nowi, obsada pułku topnieje z dnia na dzień. Np. w naszej kompanii, gdy ruszaliśmy na Żytomierz, było czterech oficerów prócz dowódcy kompanii, dzisiaj już tylko ja pozostałem.

Od siedemnastego lipca stoimy w Rożyszczach. Pięćdziesięciokilomrowy marsz z Hruziatyna odwaliliśmy w ciągu jednego dnia. Nasza kompania jest tymczasem w odwodzie przy dowództwie pułku. Kwaterę mamy w dobrym domu. Na noc zasłaniamy okna, gdyż dom blisko Styru, a Bolszewicy z drugiej strony rzeki strzelają od czasu do czasu. Mamy obsadzone przedmoście.

Nic dotąd nie pisałem o gwarze pułkowej.

Ponieważ w pułku znajduje się wielu oficerów z Małopolski oraz wielu legionistów z byłej I brygady, którzy używają dawnej polowej gwary legionowej, zaprawionej dialektami różnego rodzaju, przyswoiliśmy sobie całą masę różnych powiedzonek i taką gwarą operujemy. Nie wprowadzam większości tych wyrażeń do notatek, bo nie byłyby zrozumiałe. Zannotuję jednak kilka słów na pamiątkę: a więc: „szuter“ — pieniądze, „bałakać“ — mówić, „szac“ — dobrze, pięknie, „dzia-kować“ — dać, „szlug“ — papieros, „małanka“ — kobieta, „chawira“ — dom, kwatera, „łopkać“ — jeść, „komiśniak“ i „boski“ — chleb, „cygaro“ — papieros, „skrzydełko“ — dziewczyna, „balon“ — batalion, „kima“ spanie lub wesz, „kibel“ — kubek, naczynie, „mazak“ — twarz, „podszybować“ — podpisać, „sztemp“ — wstyd, „sztempowny“ — śmieszny, „szpurt“ — rozmach, szybkość, „trep“ — z austriackiego c. i k. wojska, „katolik“ — z wojska rosyjskiego, „szmirgle“ — befsztyki smażone prymitywnie przez ordynansów, „szaber“ — źle, „fajfendekel“ i „bażant“ — ordynans, „befel“ — rozkaz itp. Jak widać, słownik jest bogaty i prawie wystarcza dla wyrażenia te-

go wszystkiego, co chcemy sobie wzajemnie powiedzieć. Wszystkie więc nasze gawędy są prowadzone językiem dla nie wta-
jemniczonych niezrozumiałym. Bo np. co znaczy? „w balonie
dziakowali mi sztempowne szmirgle, a bażanci zaamcili bos-
kiego u małanki“ (w dowództwie batalionu poczęstowali mnie
befszykiem, a ordynansi dostali chleba u chłopki).

Koło dowództwa pułku kręcą się jacyś cywile i gawędzą
z adiutantem. Ponieważ widuję stale tych samych, domyśli-
łem się, że to nasi wywiadowcy, którzy dostarczają pułkowi
informacyj o położeniu Bolszewików. Była też jedna kobieta
—widocznie także wywiadowczyni. Ciężka jest praca tych lu-
dzi. Przypomina mi się rozstrzelany wywiadowca rosyjski pod
Nową Groblą. Bywają tacy spryciarze, że pracują na dwie stro-
ny, ale „dwulicowy“ wywiadowca psa wart, bo nie może dać
materiału o pełnej wartości. Tym, którzy się stykają z do-
wództwem pułku, zarzuciłbym, że zbyt jawnie kręcą się koło
nas.

Zanosi się na to, że w Rożyszczach postoiimy dłużej. Roz-
kaz dowództwa pułku z dnia 19.VII zabrania rekwizycji w obrę-
bie miasta, rekwizycje należy skierowywać na wieś.

Dowiedziałem się w dowództwie pułku, że na Ukrainie
zdarzały się jednak wypadki ginięcia ludzi wysyłanych na
rekwizycje. W dniu 14.VI przepadł na rekwizycji jeden legio-
nista.

Noga w dalszym ciągu mi dokucza, spuchła. Kuruję ją jo-
dyną i maścią diachilową. Kuleję stale.

Nadmiar czasu wolnego zużyliśmy już na odespanie wszy-
stkich zaległości. Doprowadza się do porządku maszynki
i czyści wszystko do połysku. Uruchomiliśmy kompanijne war-
sztaty szewckie i skórą zdobyczną naprawia się trzewiki. Ppor.
Starak po przeglądzie broni przestrzeliwał maszynki, aby

sprawdzić ich gotowość bojową. Wybrało się wzgórze, położyło na nim deskę i do deski odbywa się przestrzeliwanie. Śmiesznie wygląda, jak deska pod uderzeniem pocisków winduje się do góry. Maszynki działają dobrze.

Nasze patrole przechodzą przez Styry, płynąc w bród albo też na łódkach. W dzień się Bolszewicy rzadko pokazują na przeciwległym brzegu, chociaż trafia się strzał od czasu do czasu.

Na przebiegającej u nas linii kolejowej mamy aż trzy nasze pociągi pancerne: „Zagończyk“, „Generał Listowski“ i „Strzelec kresowy“.

W kompanii zabrano się do sporządzenia zaległych raportów.

Za ostatnie dwa miesiące nie dostaliśmy wcale poborów. Komisja gospodarcza nie może nas jakoś znaleźć.

Pobieranie żywności w czasie dotychczasowego odwrotu było bardzo trudne i zawodziło. Wysyłało się nieraz trzy partie wozów i ludzi po żywność, ale mimo to nie nadchodziła. Nic dziwnego, skoro marszruta nasza wiodła szlakami tak krętymi i zwrotnymi, iż dogonienie kompanii stało się niemożliwością.

Cechą zamięnną dla odwrotu jest zła koniunktura dla wygodniczych tyłów. Wytworzył się taki stan, że częstokroć niebezpieczniej jest przebywać w tyłowym zazwyczaj wygodnym i bezpiecznym zakładzie niż w linii, a to ze względu na brak ciągłego frontu i pomieszanie oddziałów naszych i bolszewickich. Zdarzyło się, że ścigaliśmy Bolszewików w kierunku nieprawdopodobnym, bo zmierzającym w głąb kraju naszego. Ciężka także jest służba oficerów sztabów wysyłanych w takich wypadkach do oddziałów. Np. adiutant sztabowy brygady jadąc samochodem z rozkazami do 5 p. p. Leg. w okresie walk grupy „Wasylków“ został otoczony przez Bolszewików i ciężko ranny.

Kaczorek rozochocił chłopców do śpiewania. Wybrali sobie piosenkę „Poszła do obory, zobaczyła byka“.

Głupie to, ale budzi śmiech. Niech śpiewają, bo śmiech — to znakomite lekarstwo na wszelkie choroby pola i na star-gane nerwy.

Myślę, że nauczyłem się już śmiać. A tak, bo my, Polacy śmiać się nie potrafimy albo nie chcemy. W Polsce nie wypa-da się śmiać z byle czego. Musi być już jakiś wyjątkowy ka-wał, żeby śmiech uchodził za dobrą monetę i był w tzw. „do-brym tonie“. Dzieci się karci za śmiech! Mówi się: „Śmieje się jak głupi“, „palcem kiwnąć a śmieje się“. Wysztytowanie śmiechu, stawianie go na równi z głupotą jest zapewne źródłem niechęci do śmiechu otwartego i szczerzego. Może także okres niewoli, powstań i żałób narodowych wpłynął na brak przeja-wów radości życia. Dopiero tu, w warunkach polowych, przy zżyciu się z ludźmi pola, którzy przestali się krępować więza-mi „dobrego tonu“, którzy wzięli swobodę śmiechu od żołnie-rzy wychowanych bez takiego skrępowania — humor i śmiech znajdują właściwe sobie i należne miejsce.

Właśnie trzeba się śmiać z byle skrzywienia palca i cieszyć się, że ono już śmiech wywołuje. Gdyby można, szczepiłbym żoł-nierzom bakcyła humoru i śmiechu, aby tą szczepionką uodpornić ich przeciw chandrze i nastrojom potarganych nerwów. Śmiać się musi żołnierz koniecznie. Dobrze by było, gdyby się potrafił śmiać nawet w najcięższych położeniach. Niech więc śpiewa, jeżeli już nie potrafi czegoś piękniejszego i jeżeli go to śmieszy, a my mu pomożemy:

Poszła do obory,
Zobaczyła byka.....

Spokojny czas stania w Rożyszczach wykorzystuję na u-zupełnienie notatek. Postanowiłem rozszerzyć je co do pewnych zagadnień, przyszło mi bowiem do głowy, że skoro Niemcy potrafią pracować w polu nawet naukowo, to i my powinniś-my się zająć jakąś pracą. Co do Niemców, miałem sposobność stwierdzić, że pracują oni w polu w wielu dziedzinach, studiu-jąc nawet zagadnienia oderwane od wojska i wojny. Słyszałem, iż jeden z oficerów niemieckich postawił sobie za cel przy spo-sobności wojny gromadzenie materiałów o wozach używa-

nych przez ludność. I rzeczywiście, pracując wszędzie gdzie losy wojny nim pokierowały, zebrał bardzo ciekawy materiał w zapiskach i zdjęciach fotograficznych. Robili też Niemcy studia dotyczące innych dziedzin: sztuki ludowej, budownictwa ludowego; studiowali język, gwary, obyczaje i w ogóle postępowali w sposób, który trzeba pochwalić i powinno się naśladować. Badania, które w innych wypadkach wymagałyby umyślnych wypraw naukowych, łożenia na ten cel funduszków, przy sposobności wędrówek wojennych robi się bez kosztów, a więc nieoczekiwanie i za darmo. Ponadto studia takie mogą dać oficerowi jakiś bardzo różny od służby w polu cel, odprężenie nerwów po silnych wrażeniach i przeżyciach, a także, co przecież ma wielkie znaczenie, mogą odciągnąć od zwykłej w polu skłonności do picia alkoholu. A tymczasem alkohol jest w prymitywnych warunkach polowego bytowania nieodłącznym i zda się, niezastąpionym współtowarzyszem i po krzepicielem ducha.

Co do spraw wychowania w wojsku porobiłem już pewne spostrzeżenia w poprzednich notatkach.

Na ogół nie zwraca się uwagi na to, czy i jak szeregowiec ocenia dowódcę, ale naprawdę ocena ta jest i trzeba przyznać, że szeregowiec choćby prostak po swojemu urabia sobie sąd własny i bodaj nigdy się nie myli.

Wszystkie nasze powodzenia, tak pułku jak też dywizji, przypisać należy kolejno: odwadze dowódców najstarszych—dowódcy armii i dywizji, bo cechą naszych dowódców jest nie tylko odwaga w powzięciu śmiałych decyzji, ale także śmiałe wprowadzenie ich w czyn i dopilnowanie przez swą obecność ich wykonania; następnie doskonałemu zespołowi dowódców pułków i batalionów, dalej odwadze i rzutkości oficerów młodszych i podoficerów. Wszystkie przewagi i zwycięstwa w boju samym są zasługą oficerów i podoficerów. Idąc, na czele oddziałów, swym przykładem osobistym pociągają szeregowców. Za swym dowódcą, nie zaś przed nim żołnierz idzie. Oficer więc i podoficer w pułku jest tym, który odnosi zwycięstwa, nie tylko nad Bolszewikami, ale także nad charakterami i wolą żołnierza. Przykład osobisty. Otóż to! Żołnierz prowadzony dobrze, wiedziony od zwycięstwa do zwycięstwa, tak ufa przełożonemu, że idzie z nim na najgroźniejsze niebezpieczeństwo.

Wprawdzie okres odwrotu przyczynia się do obniżenia

nastrojów, bo ogromne wysiłki nie dają namacalnych powodzeń i zadowolenia żołnierskiego z tego, że odrobiona praca była konieczna i owocna, jednak żołnierz pokonuje wszystkie ciężary pola bez sarkania a gdy tylko nadarza się potrzeba i sposobność bicia Bolszewików, idzie za swym dowódcą śmiało i z wolą zwycięstwa.

Oficer zazwyczaj znosi więcej trudów niż szeregowiec, bo gdy ten już odpoczywa, oficer musi z powodu swych obowiązków chodzić jeszcze i zabiegać o różne potrzeby, ale choć męczy się fizycznie, trzyma się nerwami. Szeregowiec silniej odczuwa zmęczenie fizyczne: nie trzymają go nerwy i wola jego nie jest napięta podnieceniem nerwowym, gdyż nie ciąży na nim odpowiedzialność dowódcza. Oficer dowodzący w walce ma nerwy napięte, bo musi wyteżać swą uwagę, aby dobrze zrozumieć i zapamiętać otrzymane polecenia, musi się łamać wewnętrznie szukając decyzji dla rozwiązania zadania, ba, nawet tym, aby pójść właściwą drogą marszu. Szeregowiec w tymże czasie męczy się tylko fizycznie.

Odwaga i strach.

Jestem już tak długo w polu, że mogę ustalić współzależność między żołnierzem a objawami odwagi i strachu. Odwaga i strach, bohaterstwo i tchórzostwo?...

Wiem, że żołnierz im dłużej w polu przebywa, tym więcej się boi. Tak jest. Mimo zaprzeczeń starych wojaków stwierdziłem ten fakt nieomylnie. Wpływa na to doświadczenie na obcej lub własnej skórze wypisane, kreślące księgę prawdy i śmierci.

Młody nie obyty z polem żołnierz jest jak dziecko, które z zaufaniem po raz pierwszy wyciąga rękę do ognia, a gdy się sparzy, później już ostrożnie do ognia się zbliża. Nic dziwnego — nabiera doświadczenia, mądrzeje; tak samo młody żołnierz idący po raz pierwszy do boju bierze udział w walce i patrzy na działanie jej środków.

Na przykład zanotowałem już na tych kartkach, że się nie boję szrapnela, bo to taki pękający w górze fajerwerk nieszkodliwy, i że boję się granatów artyleryjskich. Teraz boję się szrapneli — tak jest, boję się i przyznaję się do tego otwarcie. A dla-

czego? Bo miałem sposobność przekonania się, że szrapnel może być w pewnych wypadkach groźniejszy nawet niż granat. Mówi mi tak świeżo zdobyte doświadczenie.

To stanowisko w sprawie lęku w polu potwierdza mi jeszcze jedno spostrzeżenie. Otóż żołnierze, którzy byli ranni i powrócili do linii, boją się pola więcej niż przed zranieniem. Rozmawiałem z kilkoma takimi i wszyscy przyznali mi słuszność.

A więc moje spostrzeżenie o dziecku i ogniu ma rację bytu i może posłużyć jako tło do rozważań na temat: odwaga, bohaterstwo, strach i tchórzostwo.

Ale nie jest to takie proste, można bowiem się bać, a mimo to być odważnym i można się nie bać, a zachować się po tchórzowsku.

Co znaczy bać się i skąd lęk pochodzi? Każdy zdrowy, normalnie rozwinięty osobnik, osobnik inteligentny, zdaje sobie sprawę z istoty zjawisk i ich skutków działających na korzyść lub na szkodę człowieka, np. zagrażających życiu.

Od różnych cech osobistych zależy, który osobnik jest bardziej czuły na dane działanie i jego przyczynę. Zdarzają się więc ludzie bardziej wrażliwi i mniej wrażliwi. Osobnik o bardzo bujnej wyobraźni przeżywa i widzi o wiele więcej czynników godzących w jego byt i życie, tym samym będzie ostrożniejszy — będzie się bał. Osobnik o wyobraźni ograniczonej zauważy tych czynników mniej, będzie się więc bał mniej. Człowiek bardzo mało inteligentny jest jak małe dziecko nie zdające sobie sprawy z tego, że ogień parzy: z takim samym zaufaniem ociera się o niebezpieczeństwa, jak dziecko, które podchodzi po raz pierwszy do ognia. Dziecko opala sobie skrzydełka z wiekiem — powiadamy, rozumiejąc przez to, że nabiera doświadczenia i coraz więcej w życiu rozróżnia elementów szkodliwych, coraz więcej się też w życiu strzeże i boi. Jeżeli się osobnik inteligentny sparzy, pozostanie w jego pamięci cała gama odczuć, które łatwo i zawsze mu się przypomną, gdy po raz drugi stanie wobec ognia. Osobnik mało inteligentny może po pewnym czasie zapomnieć nawet zupełnie o tym, że ogień parzy, więc może wziąć go po raz drugi do ręki, zanurzyć rękę do ukropu.

Rozważanie to nie byłoby pełne, gdyby nie dodać jeszcze jednego ważnego czynnika mającego wpływ na to, że człowiek

się boi lub nie. Są przyczyny z dziedziny świadomych, ale są inne jeszcze, z dziedziny podświadomych. Będą to odruchy wynikające z „samoobrony zwierzęcej“. Może być osobnik, który tę podświadomą cechę ma rozwiniętą silniej lub słabiej.

Widać więc, jak dalece sprawa ustalania „odważny“ i „tchórz“ się wikła, gdyż mogą zachodzić najróżnorodniejsze połączenia różnych cech charakteru, zalet czy braków osobistych, większego czy mniejszego doświadczenia życiowego, inteligencji większej lub mniejszej, uczuciowości, wrażliwości, wyobraźni itd.

Przykłady:

Żołnierz trzyma w ręku granat ręczny, o którym wie, że skoro pobudził zapalnik i odliczył 121, 122, 123, to granat musi po chwili wybuchnąć; ale nic, mimo to trzyma go dalej i granat rozrywa mu się w ręku. Czy to jest odwaga? Można by powiedzieć, że żołnierz ten jest odważny, boć wie, że rozerwanie granatu w ręku grozi mu śmiercią lub kalectwem. Skłonny jestem nazwać takiego odważnego durniem, jeśli nie był samobójcą, zaliczam go też do grupy mało inteligentnych i zupełnie wyobraźni pozbawionych osobników, bez poczucia samoobrony zwierzęcej.

Weźmiemy inny przykład. Dowódca ma tak silnie rozbudzony instynkt samoobrony zwierzęcej, że denerwuje go każdy blisko padający granat. Ale gdy otrzyma zadanie, gdy prowadzi swych ludzi opanowując siłą woli swoje odczucia i przejawy swego lęku, idzie przez ogień jakby się go nie bał i w ogóle zachowuje się tak, że obserwator patrzący nań z boku nigdy by nie powiedział, że jest to człowiek lękliwy. Jak go zakwalifikujemy: myślę, że jako bardzo odważnego.

Osobnik, który nie ma instynktu samoobrony zwierzęcej, dla którego przykre i lękliwe odczucia są obce, taki człowiek idący swobodnie i odważnie w ogień, ma prawo do miana odważnego, ale odwaga przychodzi mu łatwo, bo nie odczuwając strachu nie przeżywa procesu przełamywania w sobie uczucia lęku.

Któż więc jest tchórzem? Jest nim osobnik, który nie potrafi opanować strachu. Osobnicy tacy mogą jednak w pewnych wypadkach okazać odwagę determinacji.

Jest jeszcze czynnik, którego na ogół nie bierze się pod uwagę przy rozważaniu: odważny — tchórz. Mianowicie, je-

żeli rozpatrywać strach jako lęk przed śmiercią i niewiadomym życiem pozagrobowym oraz zważyć, że napięcie strachu zależy od przekonań religijnych, to dochodzi się do wniosku, że w zależności od religii różne będzie ustosunkowanie się człowieka do śmierci i życia pozagrobowego, a więc i do strachu. Religia może podsuwać i wpajać większe lub mniejsze przywiązanie do życia, większy lub mniejszy strach przed śmiercią, bo przekonanie o życiu pozagrobowym leży w regionach religij. Operując krańcowościami trzeba założyć, że religia i wychowanie mogą przygłuszyć instynkt samozachowawczy i doprowadzić do zubożenia w sprawach śmierci lub odwrotnie.

Materiał do tego rodzaju spostrzeżeń dają dwa narody: Japończycy i Chińczycy. Japończyków obserwuje się i poznaje dokładniej od 1905 roku, tj. od czasu gdy pokonali olbrzymą rosyjskiego. Wprawdzie mieli według zapowiedzi Rosjan leć pod nawalą mas rosyjskich, mieli być zarzuceni czapkami, ale stało się przecież odwrotnie. Wojna rosyjsko - japońska daje olbrzymią ilość przykładów poświęcenia się Japończyków w wypadkach dla naszej umysłowości niezrozumiałych. Nikt nie zaprzeczy np., że Polacy są dzielnymi żołnierzami; mówi o tym historia, mówi też o tym obecna nasza wojna. Z pogardą dla śmierci potrafimy się rzucić nawet gorzej uzbrojeni, na liczniejszego przeciwnika, potrafimy umierać i potrafimy zwyciężać. Ale w naszych zapalach do walki i w naszych ochoczych narażaniach się na śmierć tkwi zawsze jako zasadniczy pierwiastek — loteria, hazard w igraniu ze śmiercią. A więc góruje myśl o szczęśliwej dla siebie rozgrywce z losem. Sięgając do urny z białymi kulkami życia i czarnymi — śmierci, rzucając się w najbardziej hazardowe zapasy, liczymy na łaskawy los i na to, że jednak wyciągniemy kulkę białą. Tak się gruntuje nasz stosunek do śmierci i odwagi. A jak jest u Żółtych? Tam można w każdej chwili znaleźć dowolną, ba, nawet większą niż trzeba ilość żołnierzy, którzy ochoczo, nie dla hazardu ze śmiercią, ale na pewną i nieodwołalną śmierć pójdą, nie lękając się nawet cieniem możliwości utrzymania się przy życiu. Taki stosunek do życia i śmierci jest dla nas niezrozumiały i na taki nie jesteśmy przygotowani. Zapewne, mamy w swej historii wiele pięknych przykładów heroizmu, ale są to już czyny powstałe w determinacji, w chwili gdy nie ma innego wyjścia i nie czas na grę z losem o stawkę życia, bo tylko śmierć

pozostała jedyną stawką. Ten heroizm nie da się porównać z heroizmem Japończyków gotowych w każdej chwili pójść w objęcia niebytu.

Podziwiam Japończyków i ich heroizm, nie mogę także zrozumieć, dlaczego najdzielniejszy dowódca japoński z 1905 r. chciał umrzeć dobrowolnie po zwycięskim powrocie z placu bojów, zadając sobie śmierć przez popełnienie harakiri. Nie rozumiem wielu objawów stosunku do życia i śmierci u tego narodu, ale skłonny jestem złożyć je na karb religii, wychowania i tradycji.

A Chińczycy? Miałem sposobność w czasie jednej z bitew na Ukrainie obserwować następujący wypadek.

Nacieramy. Mój pluton c. k. m. idzie w linii kompanii strzeleckiej. Przed nami na wzgórzu linia tyralierska Bolszewików. Wpadamy na linię mocno przez nich obsadzoną. Uchodzą. Biegnać widzę jednak akurat na osi swej drogi siedzącego Bolszewika i mimo że wszyscy Bolszewicy zwiali — ten siedzi i bez przerwy strzela. Podbiegam tuż, tuż, przestał strzelać, odłożył karabin. Jestem przy nim i rozpoznaję: Chińczyk! Siedzi po swojemu, z boku czapka, w której leżały naboje, i pełno łusek od wystrzelanej amunicji. Siedzi spokojnie i patrzy na mnie oczyma, w których wyczytuję oczekiwanie na śmierć. Nic mu nie zrobiłem. Zabrałem mu karabin i pobiegłem dalej. Wiedziałem, że ktoś z tyłu zajmie się jeńcem. Gdy się obejrzałem za siebie, Chińczyk siedział na ziemi w dalszym ciągu. Być może, w jego zrozumieniu byłem fajtlapą, że pozostawiłem go przy życiu. On jako zwycięski przeciwnik nie ceregielowałby się ze mną. I tu się potwierdza, że mam słuszność wychodząc z założenia, że na nasz żołnierski stosunek do życia i śmierci wpływa religia i wychowanie. Nie mam wpojonej zasady „oko za oko, ząb za ząb“. Religia i etyka nauczyły mnie darować życie pokonanemu. Hasło religii naszej: miłuj bliźniego swego jak siebie samego, wszelkie inne zasady i wskazania naszej wiary i etyki są tego rodzaju, że wychowały nas na żołnierzy nie mających w sobie zapędów do mściwości i bezapelacyjnego wydawania wyroków śmierci na naszych przeciwników.

Religia więc i wychowanie urabiają w człowieku (co się później odzwierciedla w charakterze żołnierza) wartości

i cechy określające stosunek osobisty do życia i śmierci, a także stosunek do wroga w walce i do jeńca.

Miałem inny jeszcze wypadek z Chińczykiem: również w natarciu zauważyłem siedzącego Chińczyka. Ten nie strzelał i nie miał przy sobie broni. Seria, być może, z moich maszynek odcięła mu dosłownie obie nogi, gdy przed nami uciekał i zaplątał się w drutach telefonicznych leżących na ziemi. Siedział, bo wstać nie mógł; nogi zwisające na strzępach ciała i spodni oraz kałuża krwi były przykrym tłem, na którym się rozegrała w ułamkach minuty między nim a mną rozmowa mimiczna. Schwyciwszy mnie za spodnie rękoma, mamrotał coś w swoim niezrozumiałym dla mnie języku, a gdy widział, że nie pojmuję, o co mu chodzi, pokazał ręką tak dosadnie, że zrozumiałem już — błagał żeby go dobić. Wyrwałem się z rąk Chińczyka i w kilku susach dogoniłem pluton.

Zanotować muszę jeszcze jedno spostrzeżenie. Otóż, gdy się zawiązuje bitwa lub gdy ma się wchodzić do niej, nerwy wywierają jakiś wpływ na organizm ludzki. Spostrzegłem u wielu żołnierzy przed bitwą wzmożone załatwianie potrzeb naturalnych. Nerwy muszą działać w jakiś sposób na pewne czynności organizmu, a może jest to tylko jeden z przejawów samoobrony zwierzęcej organizmu, który chce się oczyścić na wypadek zranienia. Podobne objawy spotkałem u zwierząt w czasie polowań; nierzadko ubite lub ciężko rane zwierzę reagowało tak samo. Zwierzęce instynkty samoobrony u człowieka przejawiają się w ten sam sposób. Tu zapewne ma początek powiedzonko, że „ze strachu robi w portki“.

Znam żołnierza, który przed każdym działaniem dostaje takiego rozwolnienia, że przeszkadza mu to, ku jego rozpacz, w wykonaniu obowiązków służbowych. Sądzę, że jest to wypadek wyjątkowo silnego wpływu nerwów na ustrój.

Myśli o odwadze i lęku, o bohaterstwie i tchórzostwie przekonywają, że dla celów wojny najbardziej odpowiedni byłby żołnierz wychowany w wierze traktującej sprawę śmierci i życia pozagrobowego bez odczucia trwogi.

Najpożądańszy dla celów wojny rodzaj odwagi żołnierza mają ludzie, którzy nie fantazjują na temat wszelkich możliwości grożących w walce, którzy nie mają zbyt rozwiniętego instynktu samozachowawczego, którzy nie są zbyt mocno skrepo-

wani zasadami etyki. Wyda się to może paradoksem, ale przykładem odważnych żołnierzy w polu mogą być żołnierze tu-
manowaci, tzw. „ofermy“ lecące do ognia jak dziecko bez świadomości, że ogień parzy, albo też inni, sprytni żołnierze, ale tacy, którzy życie swe zwykli kłaść jako stawkę o dziewczyne, a sprawy ducha i ciała regulować nożem. Intelktualiści, ludzie o zbyt rozbudowanym życiu wewnętrznym i wysoko postawionej etyce rzadko będą odważnymi i gotowymi na wszystko żołnierzami.

Podnoszenie ducha żołnierza może w polu przybierać różne formy. Widziałem na przykład, że podchor. Galiński dla ujęcia ludzi w garść, gdy się poczęli denerwować zbyt rażącą przewagą przeciwnika, wydawał w linii komendy musztry, a następnie prowadził ogień całym swym plutonem, również na komendę. Żołnierz odruchowo począł dobrze wykonywać nakazane przez komendy poruszenia, poczuł nad sobą rękę dowódcy, zapomniał nawet o przeciwniku. Takie wykorzystanie komend uda się jednak tylko z wojskiem, które dobrze musztrę opanowało i które ma wykonanie pewnych komend tak dalece wpojone, aby siła odruchu przewyższała wpływ ujemny nastroju i paniki.

Panika w polu może nastąpić bardzo łatwo. Polegnie dowódca, który żołnierzy trzymał w karchach swej woli, i panika gotowa.

Obserwowałem ciekawy objaw paniki w czasie odwrotu. Pułk, którego nazwy nie wymienię, nie z naszej zresztą dywizji, uległ panice i wówczas z polecenia naszych dowódców, którzy przy tym wypadku byli, 2 kompanie 1. p. p. Leg., stojące właśnie w odwodzie, zostały postawione na nogi i musiały w ogniu maszerować w czwórkach i śpiewać jak na zwykłych ćwiczeniach. Obraz spokojnego maszerowania w czwórkach i śpiewu był znakomitym lekarstwem dla pułku ogarniętego paniką. Ludzie tego oddziału szybko przyszli do siebie i opamiętali się.

Chociaż w meldunkach podaje się wysokość strat i zdobyczy, wiem, że część jej się ukrywa, mając na myśli dobro oddzia-

łu i zapewnienie na czarną godzinę zapasu amunicji i broni. To samo jest z końmi, zresztą przysięgłbym, że żaden dowódca nie wie dokładnie, ile ma w tej chwili koni. Wzięci na podwody chłopci uciekają, byle pierwsze padły strzały, zostawiając konie i wozy. Kto i gdzie będzie szukał prawych właścicieli koni, pozostają więc w taborze i stan ich zwiększa się z dnia na dzień.

Głupi Jasio. Nie pisałem jeszcze o nim. Mamy takiego. Jest to jeden z naszych kucharzy kompanijnych. Wielki chłop, umysłowo niedorozwinięty i przez całą kompanię Głupim Jasiem zwany. Kiedy w najcięższych dniach interesowałem się w nocy, czy kuchnia gotuje strawę, zawsze spotykałem pracującego przy kuchni nie innego kucharza, ale Jasia. Ten człowiek, jak się okazało, był wykorzystywany przez pozostałych kucharzy i nigdy prawie nie odpoczywał. Traktowałem go zawsze nie jak głuptaka, bo na to zasługiwał. Wskutek też mojej interwencji Jasio miał teraz kolejkę pracy nocnej, bo ppor. Starak, dowiedziawszy się o wyzyskiwaniu chłopaka, kucharza - obijaczy obsztorcował. Jasio, chociaż zwany głupim, według mnie taki nie jest i nawet jeśli nie grzeszy rozumem, to jednak ma tyle cech dodatnich, że należałoby raczej podnieść jego inne zalety i w oczach kompanii wydzwignąć go trochę. Miał on ciekawy wypadek przecucia. Nie nosił karabina i obywał się bez niego przy kuchni przez cały czas. Pewnego dnia zauważyłem, że Jasio ma karabin. Zdziwiło mnie to bardzo, pytam więc, dlaczego się tak uzbroił. Jasio zaśmiał się po swojemu i zameldował, że musi mieć karabin, bo Bolszewicy mogą napaść na kuchnię. Pochwalił się też, że ma amunicję. Przysłuchujący się tej rozmowie jeden z podoficerów wyraził powątpiewanie, czy Jasio potrafi strzelać, ale tę uwagę Jasio zbył już milczeniem i nachmurzył się. Okazało się, że przecucia Jasia nie omyliły. Rzeczywiście kuchnia kompanijna w parę dni potem została napadnięta w lesie przez patrol kawaleryjski, a Jasio bronił jej dzielnie i obrotnie. Ma chłopak nosa. Takiego nosa, szczególnie jeżeli chodzi o zapamiętywanie drogi i odgadywanie kierunku, ma także wielu żołnierzy - wieśniaków. Za przykład mogą posłużyć wielokrotne wypadki znakomitej orientacji w terenie niektórych chłopców.

Jasio wywdzięczył mi się za opiekę nad nim i za ludzkie

traktowanie w sposób zupełnie materialny. Sam nie pali papierosów, ale tytoń zdobyty czy wydany mu jeszcze w Kijowie, wozi w jakimś schowku kuchni. Pewnego dnia widzę jak Jasio odszedł od kuchni i klucząc wokoło zabudowań zmierza w moją stronę. Wybrał chwilę, gdy siedziałem samotnie na kamieniu nad Styrem. Podeszedł do mnie uśmiechnięty, stanął niezgrabnie w postawie, która miała uchodzić za zasadniczą i chciał coś powiedzieć, ale mu nie szło. Położył mi na kolanach paczkę kijowskiego tytoniu i uciekł. Nie jest więc Jasio głupi ani zły, ani taki, za jakiego uchodzi. Jeżeli biorąc pod uwagę jego pewną ograniczoność zastanawiam się, ile czasu musiał się głowić nad tym, jak mi się odwdzięczyć, a także jaką musiał stoczyć walką wewnętrzną ze swym sknerstwem, bo jest sknerą, to dochodzę do przekonania, że droga myślowa dla Jasia nie była w tym wypadku zbyt prosta i wymagała od niego nie lada wysiłku.

Chłopcy w kompanii wykorzystują dobre serce Jasia i wyciągają od niego w formie pożyczek zarówno jego skarby w postaci oszczędności gotówkowej jak też skrzętnie przechowywane zapasy zdobycznych konserw, słoniny wędzonej i tytoniu. Opowiadają w kompanii, że Jasio ma dużo pieniędzy ukrytych gdzieś w kuchni.

Kpt. Pakosz, dowódca III batalionu, chory, jednak prowadził wypad na drugi brzeg Styru na miejscowość Klepaczew, gdzie stał batalion bolszewicki. Wypad się udał, zabraliśmy kilkunastu jeńców i kancelarię dowódcy batalionu. Z przychwyconych na wypadzie rozkazów widać, że Bolszewicy chcą nas zepchnąć szybko ze Styru ale czy dadzą radę? Wątpię, gdyż na naszym odcinku poprawia się stare pozycje, co każe mniemać, że mamy zamiar trzymać się nad Styrem przez czas dłuższy.

Zostałem przydzielony do I batalionu. Siedzę na pozycji przy plutonie piechoty ppor. Soi.

Bolszewicy podeszli do Styru w większej sile, podobno trzy pułki z artylerią. Po ogniu można się doliczyć około 6 dział.

Strzelają dość często, głównie po Rożyszczach. Styr jest rzeką, jakich nie lubię, płynie wolno, sennie i nie szumi jak rzeki wartkie i o szybkim prądzie. Nasz brzeg wyższy jest od bolszewickiego. Siedzimy dość blisko rzeki. Bolszewicy siedzą w głębi i na brzegu się nie pokazują. Jeżeli pada stamtąd strzał karabinowy, to od niewidocznego i zaczajonego Bolszewika.

Spadła mi na głowę kulka ze szrapnela, który wybuchł dość wysoko w powietrzu. Poczułem silne uderzenie w głowę, a kulka zatrzymała się w zagięciu odwiniętych boków furazerki. Może miałem dotąd słusność, nie bojąc się szrapneli.

Znowu mamy powód do radości i dumy. Płk Dąb - Biernecki zarządził wypad na Bolszewików po drugiej stronie Styru. Ja z ppor. Soją zostałem w obsadzie na naszej pozycji, na Styrze.

Tymczasem wypad prowadzony nocą przy sprzyjającej pogodzie, bo w deszcz, udał się znakomicie.

Pułk na wypad prowadził kpt. Kozicki. Prócz naszego pułku działa grupa płka Hozera złożona z dwóch batalionów 5 p. p. Leg., kompanii 157 p. p. i strzelców konnych. Grupę wspierały pociągi pancerne.

Bolszewicy wzięli nasz ogień czołowy za natarcie i poczęli zawzięcie prażyć w kierunku pozycji na Styrze, a tymczasem oddziały nasze po przeprawieniu się na drugi brzeg obeszły stanowiska rosyjskie i natarły od tyłu. Łup przechodzi oczekiwania, bo zabrano Bolszewikom działa wraz z zaprzęgiem.

Zaciekawiony wynikami wypadu pozostawiłem na stanowiskach podoficera, sam zaś udałem się do Rożyszcz na most, przez który nasi chłopcy przeciągali zdobyte działa — triumf nie lada. Konie rosyjskie od dział, perszerony jak od ciężkiej artylerii.

W czasie przeciągania zdobycznych dział przez most padło na nas kilka pocisków, przeważnie szrapneli bolszewickich, zapewne z tych pozostałych armat, które stały poza zasięgiem wypadu. Chłopcy z obsady odcinka wylegli, nie zważając na strzały, aby obejrzeć odkucie. Widać było jak radują się, że znowu Bolszewicy dostali łupnia.

Bolszewicy stracili 4 działa, około 20 karabinów maszynowych i około 125 jeńców. Z tego przypadło na nasz pułk 4 działa z zaprzęgiem, 7 karabinów maszynowych i 25 jeńców. Bolszewicy ponieśli duże straty w zabitych — kilkudziesięciu ludzi, my mieliśmy tylko jednego poległego i 3 rannych.

Znowu więc płk Dąb - Biernacki nie tylko rozbił Bolszewików po tamtej stronie Styru, tak że się pozbierać nie będą mogli przez dłuższy czas, ale także umocnił ducha żołnierskiego.

Nie wiem, o ile wersja ta jest słuszna, ale słyszałem, że przychwyciliśmy wiadomość o zamierzonym natarciu Bolszewików na nasze pozycje. Płk Dąb obrał więc taktykę najbardziej w takich razach korzystną, bo uprzedził natarcie bolszewickie i wziął inicjatywę w swe ręce. Zwycięstwo nasze jest dowodem, co znaczy inicjatywa i zdecydowana chęć pójścia do wroga i pobicia go.

Wypad na Styr nie obszedł się bez przykrego zgrzytu. W 5 p. p. Leg. w nocy postrzelały się wzajemnie jego oddziały, są ranni i zabici.

Zdarzenia, los czy tak zwane zbiegi okoliczności bywają niejednokrotnie w polu bardzo zastanawiające. Są one w wyniku przyczyną wiary żołnierzy w różnego rodzaju pechy. Nie zapala się papierosa w trzeciej kolejce od jednego ognia, są tacy, którzy się nigdy nie zgłaszają na ochotnika, gdyż wierzą, że przyniosłoby im to nieszczęście itp. Ale bo też zdarzają się różne „cuda“. Na przykład, w czasie ostatniego wypadku zginął nasz żołnierz w sposób wręcz dziwny. Nosił on hełm niemiecki. W jednej z dawniejszych bitew pocisk bolszewicki wyłoczył w hełmie wgłębienie. Chłopiec chwalił się swoim trafionym hełmem. Miałem sposobność go oglądać. Tenże żołnierz poległ na ostatnim wypadzie trafiony w głowę pociskiem, który przebił hełm dokładnie w miejscu zaznaczonym przez dawniejszy pocisk.

Na wypadzie w nocy bosi nasi żołnierze pokaleczyli sobie nogi o wykroty i korzenie.

Dopiero w polu pewne przedmioty nabierają szczególnej wartości i znaczenia. Takie, powiedzmy, zapalaki, których moż-

na w kraju dostać wiele i gdzie chcąc, tu u nas stają się poszukiwanym skarbem, a gdy ich nie ma, trzeba chodzić po linii i szukać ognia do papierosa. Chłopcy porobili sobie prymitywne krzesiwa przypominające czasy króla Ćwieczka. Kawałek stali, krzemień i szmata nadpalona zamiast hubki.

Ponieważ stoimy w miejscu od dwóch prawie tygodni, dogoniły nas kantyny kompanijne. Nasza jest prowadzona bardzo dobrze mimo to zapalek już nie dostałem. Pocieszam się czekoladą i papierem listowym, na którym prowadzę zapiski. Różnie to można oceniać, ale w kantynie naszej najważniejszym i najpożądalszym towarem są skrzynie z wódką przeróżnych gatunków i smaków.

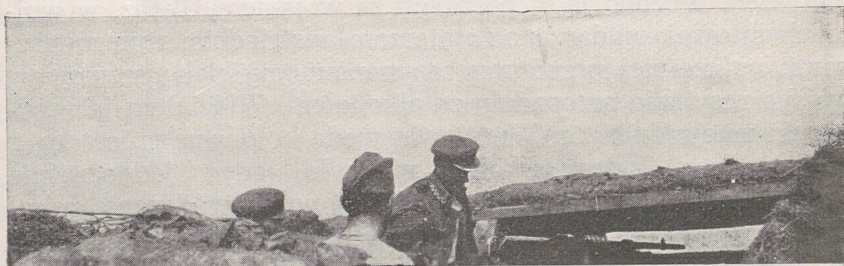
Alkohol w polu... czy tylko my go pijamy? Czytałem gdzieś, że powstańcy nasi w 1831 otrzymywali okowitę, którą wydawano jako jedną z codziennych dawek należności żołnierskich. Wożono ją w beczkach za wojskiem. Teraz, w wojnie światowej, wydawano żołnierzom austriackim rum menażkami, najczęściej przed rozpoczynaniem ciężkich szturmów; wojska rosyjskie przepadały za alkoholem. Widziałem jak czubaryki zalewały się w Warszawie wodą kolońską zmieszaną z wodą sodową. Innego alkoholu nie było, gdyż jednocześnie z ogłoszeniem mobilizacji rosyjski monopol wódczany zniszczył wszystkie zapasy znajdujące się w sklepach. Komisyjnie tłuczono butelki na ulicach i wylewano alkohol do rynsztoków i kanałów. Było to radykalne i słuszne zarządzenie, gdy chodzi o czas mobilizacji.

Alkohol w polu, szczególnie w wyczerpujących nerwy walkach pozycyjnych wojny światowej był bodaj nieodzowny dla żołnierza: dawał odprężenie nerwom starganym bezgranicznie, dawał pograżenie się na krótki choćby czas w krainie niebytu i nieświadomości, gdy sen — zwykły dla człowieka odpoczynek w nieświadomości — spędzały z powiek huragany ognia artyleryjskiego trwające tygodniami całymi. W naszych warunkach walki, gdy nie siedzimy zagrzebani w ziemi, gdy okresy bardzo silnego napięcia nerwów nie są długotrwałe, bo po bitwach następują dość długie przerwy bez styczności z Bolszewikami, gdy korzystamy

z daru swobodnego kroczenia na powierzchni ziemi, gdy kąpiemy się w słońcu — dla naszego żołnierza alkohol nie jest nieodzowny.

Ale cóż, oficerowie są przeważnie z tych co przetrwali wojnę światową w okopach, stargali sobie nerwy i często nie odczuwają już ani swobody kroczenia po powierzchni ziemi, ani radości kąpania się w słońcu.

Znamiennie wygląda nasza obrona nad Styrem. Na stanowiskach mamy bardzo dużo karabinów maszynowych, gdyż kompanie strzeleckie ustawiają swoje zdobyczne c. k. m., obsługiwane przez sprytnych ludzi wydzielonych z piechoty. Każda kompania strzelecka ma po kilka a nawet kilkanaście maszynek. Część ich wozi się również w taborach. Niejednokrotnie już miały one sposobność wykorzystania ognia maszynek dla swej obrony.



Maszynka na stanowisku.

Bezstronnie oceniając stwierdzam, że te kompanijne ciężkie karabiny maszynowe pracują o wiele wydatniej, chętniej i korzystniej od przydzielonych z kompanii c. k. m. Jest to zupełnie zrozumiałe nastawienie żołnierza, który służąc stale jednemu dowódcy i dla swojej kompanii o wiele więcej się stara niż karabinarz przydzielony na czas jednej tylko bitwy.

Największą korzyść kompaniom przynoszą ciężkie karabiny maszynowe Maxima rosyjskie, na kółkach. Te dają się łatwo i zręcznie podciągnąć za kompanią po ciężkim terenie i w najcięższych nawet opalach. Jeden żołnierz może cały c. k. m. przesuwąć z miejsca na miejsce.

Choć stoimy na miejscu, wyżywienie otrzymywane nie poprawiło się zbyt. W dalszym ciągu ten sam chleb spleśniały. Okolica tu uboga, połać ziemi nawiedzona w czasie wojny światowej przez długotrwałe walki pozycyjne. Ludność potraciła cały swój dobytek, gdyż była ewakuowana. Po powrocie nie zastali nic prócz pola porośniętego brzozą. Trzeba będzie wiele pracy włożyć w ponowne doprowadzenie gruntów do stanu uprawnego. Aż dziw jak brzoza potrafi rosnąć, zupełnie jakby ją ktoś siał, gęsta niby zboże. Gdyby tak pozostawić naturę jej własnej woli, po kilkudziesięciu latach pokryłaby się ziemia puszcza i przywróciła swój dawny wygląd. Brzoza po kilkunastu latach opanowałaby całe obszary nieprzebytą gęstwina.

W czasie więc gdy my prowadzimy walkę z Bolszewikami, przyroda wykorzystuje zaabsorbowanie się ludzi sobą i stara się przywrócić na ziemi swe panowanie. Niezrozumiały jest i nie celowy zda się nakaz natury rozmnażania wszystkiego, co żyje i ten niezwykle hojny posiew wszelakich nasion. Wszystko jest tak obmyślane, że nawet tysiączne cząstki rzuconych zarodków, gdy wejdą, jeszcze dadzą nadmiar olbrzymi, obliczony na uszczuplenie przez wszelakie przeciwności żywota. Przyroda daje życie, a zarazem tak wszystkim rządzi i kieruje, że jedno życie drugiemu za mierzwę służy. Słabszy mocniejszemu, mocniejszy silniejszemu od siebie i tak aż do człowieka.

Gdy rozmyślałam nad tym, przypomina mi się „Idylla małeńka taka, wróbel połyka robaka, wróbla kot dusi, niecnota, pies rzuci się rad na kota, psa pożre pantera, panterę lew, lwa człowiek, a tego po śmierci — robak“....

Człowiek... ludzie.. My i wy, Bolszewicy — wszyscy.. Eh! przyjdzie czas na robaki!...

Idylla małeńka taka...

Nadszedł i zmienia nas na pozycji batalion 157 p. p. Po-dziw zbiera, jakie ci żołnierze mają wspaniałe wyposażenie i umundurowanie. Pełne oporządzenie z zapasowymi nowymi butami wzorem niemieckim. My przy nich jesteście dziada-

mi bosymi i w łachmanach. Prawie połowa naszych chłopców jest boso.

Z Rożyszcz poszliśmy na południe przez Łuck w kierunku Beresteczka. Historyczna nazwa miejscowości przywodzi na pamięć dzieje stare i walki z Kozactwem.

Na naszych stanowiskach pozostało świetnie wyposażone wojsko. Nie wiem, o ile prawdziwe są wiadomości, ale podobno na drugi dzień po naszym odejściu Bolszewicy wyrzucili oddziały 157 p. p. i odkuli się na wspinających oporządzeniach. Żał mi szczególnie butów, gdy patrzę na naszych bosych ludzi. Nie lepiej było odebrać te zapasowe buty i rozdać naszym chłopcom ?

Odbyliśmy dość duży marsz, po czym poszliśmy do Malewa na przeprawę przez Styr.

Szósty pułk teraz można na oko i z daleka odróżnić w naszej dywizji, gdyż dostali duże uzupełnienie ludzi w niebieskich hallerowskich czapkach. Tak połatano „szóstkę“ poharataną pod Hornostajpołem i Bohdanami.

Drugim naszym batalionem dowodzi kpt. Wenda. Ja mam przydzielą do 7 kompanii. Dowódcą kompanii jest ppor. Sochański Józef. Ludzie w kompanii szanują go i kochają jak ojca rodzzonego.

Przeszliśmy do ofensywy za Styr. Obsadzoną przez Bolszewików rzekę sforsowaliśmy 29 lipca, a kawalerię bolszewicką odrzuciliśmy. Zaraz w pierwszych godzinach boju zostały zajęte przez I i II batalion miejscowości Perekale i Kniahinin. Kawaleria związała i odstrzeliwała się z lasu przez całą noc prawie. My z 7 kompanią siedzieliśmy najbliżej Styru, w Ochmatkowie.

Następnego dnia (30 lipca) rozpoczęło się dalsze natarcie. III batalion, który był dotychczas w odwodzie, poszedł do przodu, a my do odwodu. Na czele nacierał I batalion. W niedługim czasie doszła do nas wiadomość, że zginął od wybuchu szrapnela ppor. Strzelecki Janusz i rannych zostało kilku szerego-

wych z 1. kompanii. Znowu szrapnel. Podobno ppor. Strzelecki, który nosił zawsze hełm niemiecki, dnia tego nie włożył go na głowę, co oczywiście komentowane jest u nas jako omen, który pozbawił go życia.

Dostaliśmy się pod silny ogień artyleryjski Bolszewików. Nasz pułk artylerii polowej spisywał się dzielnie i też nie próżnował. Niejednokrotnie już podziwialiśmy oficerów 1. p. a. p. Leg. pędzących w ogniu konno i rozwijających z konia w galopie drut telefoniczny na punkt obserwacyjny. Tutaj także się znalazło pole do popisu artylerzystów. Podziwialiśmy ich ceniąc sobie bardzo pracę artylerii, szczególnie teraz, gdy Bolszewicy prowadzą tęgi ogień.

Wzmagający się ogień na linii I i III batalionu sygnalizował, że natarcie idzie ciężko. Nasze natarcia łatwo idące prowadzą bataliony najczęściej bez strzałów. Niezadługo i II batalion został rzucony. Wszedłem, jak zwykle, z ciężkimi karabinami maszynowymi, w podobnym jak tutaj terenie, w tyralierę 7 kompanii i uderzyliśmy na wieś Rudkę. Kawaleria zwała. Wyszliśmy przed wieś i zajęliśmy stanowiska. Pozostaliśmy na nich przez czas dłuższy.

2.VIII. Jestem w dalszym ciągu przy 7 kompanii, która leży na linii w pobliżu Demidówki, gdzie się znajduje nasz pierwszy batalion. Wisimy na skrzydle pułku; dopiero o jakieś 3 km od nas znajduje się 5 p. p. Leg. Mamy spokój. Beztrosko spędzam czas na pogwarce z sierż Żabskim Modestem, który nieraz się już wslawił pięknymi wyczynami bojowymi, że przypomnę choćby uderzenie na Złodziejówkę, a i przedwczo-raj w nocy brawurowo sforsował most w Wołkowyje, idąc w straży przedniej batalionu.

Przy 7 kompanii jest telefonistka Józefa Przybyszanka z Legii Kobiecej. Jako żołnierz zapisana pod nazwiskiem Józef Przybysz. Bardzo dzielna dziewczyna. Mimo iż jest telefonistką bierze udział bezpośredni w walkach. Teraz, gdy Bolszewicy nekają nas ogniem artylerii, poszła pracować do bajorka swą babską bieliznę. Jaka odważna, nie boi się! Taka jest podobno zawsze.

Nie nosi trzewików. Ma na nogach grube skarpetki weł-

niane i chodzi w nich jak w butach. Gdy patrzę na tę dziewczynę piorącą w ogniu, jedyną kobietę wśród nas, setek żołnierzy, nie mogę zrozumieć, kie licho trzyma ją „przy wojsku“. Co ją pociąga czy zmusza do łążenia z nami, do trudzenia się uciążliwymi marszami, do stania w ogniu. Czy goni za jakimś mi-
rażem, czy też tylko po prostu szuka wrażeń i przygód. Spoglądam to na nią, to na 7 kompanię. Szukam wyjaśnień i związków przyczynowych. Z zachowania się jej nie mogę wyłowić nic takiego, co by mówiło wyraźnie jak jest.

Podziwiam dziewczynę.

W rozmowie z kilkoma sitwesami ukułem kawał. Ponieważ rozeszła się pogłoska, że padło miasto Brody, bierzemy się po prostu za własne brody i mówimy: „Co, Brody padły? nieprawda — brody są w naszych rękach“! No tak, trzymamy przecież swoje brody w rękach.

Kwitnie humor, choć zadatku na niego nie ma. Ostatnie marsze po tej stronie Styru dały nam ogromną szkołę. Gliniasto - bagniste, rozpaćkane deszczem drogi są tak lepkie, że but dosłownie zostaje w mazi błota, a nierzadko wyciąga się samą nogę. Trzeba się dopiero wracać po but i wkładać go z powrotem. Najokrutniejszy marsz, okupiony męką każdego kroku, był w nocy z 31 lipca na 1 sierpnia.

Krystynopol, 11 sierpnia.

Dopiero dzisiaj podejmuję zapiski dotyczące minionych dni. Z 7 kompanią koło Demidówki staliśmy do nocy. Bolszewicy nie wymacali naszego skrzydła i wobec tego mieliśmy zupełny prawie spokój. Natomiast na III batalion, trzymający Ochmatów, Perekale i Kniahinin, nacierali w ciągu kilku godzin z całym uporem. Żołnierze III batalionu wyczerpali już posiadane zapasy amunicji i jedynie dzięki karabinom maszynowym batalion zdołał się utrzymać na zajętych w tyle stanowiskach. Jak zwykle w ciężkich położeniach, użyta została do zatknięcia dziury kompania techniczna. Bolszewicy z uporem wciąż uderzali, ale wreszcie, poniosłszy duże stra-

ty, zaprzestali natarcia. W uderzeniu na nas brały udział według zeznań jeńców trzy czy cztery pułki piechoty, dwa pułki kawalerii i trzy baterie.

Straciliśmy dwóch oficerów, którzy jako ranni, dostali się do niewoli wraz z kilkunastu rannymi ludźmi w czasie opatrywania ich w miejscowości Perekale. Los ich jest prawie przesądzony.

Przy zapadającym zmroku ściągnęliśmy się z kompanią ze stanowisk i w nocy dołączyliśmy się do pułku w Chrynikach, po czym przeszliśmy na zachodni brzeg Styru. Tak się zakończył czterodniowy wypad za Styr.

Jest to znowu przejaw naszej aktywności i chociaż nie osiągnęliśmy jakiegoś zadziwiającego i strojnego w kwiaty powodzenia, ale przecież poszliśmy na Bolszewików forsując rzekę i cztery dni inicjatywa była w naszych rękach, a to znaczy bardzo wiele.

Straty pułku wyniosły: zabitych — 1 oficer i 32 szeregowych; rannych — 6 oficerów i 182 szeregowych.

Po powrocie za Styr z 7 kompanią obsadzałem odcinek Peremyl — Gumniszczce. Tylko dzięki posiadanym przez 7 kompanię maszynkom kompanijnym można było obsadzać odcinek przydzielony na kompanię, a wynoszący przeszło 5 km.

Bolszewicy podchodzili do rzeki, a nawet w jednym miejscu przeszli na nasz brzeg. Zostali przez III batalion wyrzuceni z powrotem. W dniu 5.VIII opuściliśmy Styr. Z odmarszem było jakieś nieporozumienie, gdyż dwukrotnie opuszczaliśmy stanowiska nad rzeką, a na podstawie rozkazów odwoławczych znowu wracaliśmy nad nią. Nie było z tym poza nadrobieniem marszu żadnych kłopotów, gdyż Bolszewicy rzeki za nami nie przeszli.

Cofamy się i cofamy. Z dniem każdym zmniejszają się dziedziny polskich rubieży, napływają zastraszające wieści z kraju, że Bolszewicy coraz bardziej się zbliżają do Warszawy...

Męczący i koszmarny jest dzień dzisiejszy. Czy po tylu

dniach chwały, po zdobyciu Wilna, po odsieczy lwowskiej, po działaniach na Łotwie, po ostatnich naszych powodzeniach na Ukrainie — po tylu zwycięstwach oręża naszego, czy jest możliwe, by się od nas odwróciło szczęście żołnierskie, by wojsko bolszewickie wzięło nad nami górę, zmoгло nas, by Bolszewicy weszli do Warszawy, by powtórzyły się dni klęsk polskich i rzeź Pragi?...

A więc na nic się zdał nasz trud żołnierski minionych dni i miesięcy? Na marne ma pójść trwanie w ogniu, głódzie, w czerwonce, w marszach nieprawdopodobnie ciężkich?...

A jednak... cofamy się, odchodzimy coraz bardziej i bardziej w głąb kraju. Dobrze, że mieliśmy w rękach swoich ziemi zajętej sporo, bo walki odwrotowe mają głębię do rozgrywania i do tracenia. Gdybyśmy nie byli daleko na północy i daleko na Ukrainie, oddziały bolszewickie, przygotowane i uwolnione od działań wewnętrznych frontów rosyjskich Kołczaka i Denikina tak samo spadłyby na Polskę, ale wówczas wżerałyby się bezpośrednio w kraj. Kto wie, już może padłaby Warszawa, i inne miasta. Cofamy się oddając ziemię, ale czy my, żołnierze 1. dywizji piechoty Legionów, odczuwamy odwrót jako „przegraną”. Ilekroć odchodzimy w tył, nie robimy tego pod bezpośrednim naciskiem i naporem Bolszewików. Nie wyrzucają nas, nie spychają, nie pędzą. Do tyłu odsyła nas wola dowódców, którzy muszą się stosować do położenia ogólnego, do sąsiednich jednostek; odchodzimy, bo inne oddziały nie potrafiły dać takiego samego oporu jak my, może nie miały takiego, jak my szczęścia, takiego rozmachu, takiej wiary. Przecież każda prawie walka nasza z Bolszewikami zaczyna się od kilku strzałów na przedzie, a później odgłosy tych strzałów postępują na boki coraz bardziej i szerzej, aż wreszcie tworzy się wachlarz dookoła, a czasem nawet krąg zamknięty jak w Równem. Biliśmy się, ale byliśmy sami, oderwani, wysunięci w przód, bez sąsiadów, którzy by się równie zdołali wysunąć, stanąć twardo przy nas, podać mocne dłonie i zapewnić bezpieczeństwo skrzydłom. A czyż nie czytałem w rozkazach, że jakaś wielka jednostka opuściła swe pozycje, nie czując się na siłach ich broni. Nie czując się na siłach... Albo inna miała uderzyć razem z nami, ale nie zdobyła się na taki piekielny marsz jak my i nie zdążyła na czas do zamierzonego działania, pozostawiając tym samym skrzydła nasze wiszące i bezbronne.

Mimo wszystko, mimo odwrót, czujemy się mocni i zwycięscy. Nie uciekamy, bo nasz odwrót jest wstęgą pięknych działań i zwycięstw. Czyż uciekając zdobywa się działą, karabiny maszynowe i jeńców? Czy uciekając bierze się zdobycz jakąkolwiek? A my ją bierzemy. Nie, odwrót ten nie jest odwrotem przegranym ani dla nas, dowódców, ani dla szeregowych. Raczej budzi w nas rozgoryczenie i niechęć do tych innych oddziałów, które ustępują, które nie zdołały wykrzesać z siebie uporu i chęci wytrwania do ostateczności.

Myślę tak, idąc ze swym plutonem. To nic, że utykam na nogę. Dziękuję szczerze losowi, że nie gdzie indziej, lecz w 1. Legionowej dywizji dał mi możliwość służenia w polu i brania udziału w tylu już nie do wiary, zda się, cudach pracy wojennej.

Myśli o odwrocie są stałymi towarzyszami naszego życia. Ma je oficer — ma żołnierz. Ma je także Kaczorek i na swój sposób mędrkuje i bawi. Rozśmieszył właśnie pluton, bo opowiada, że jak w odwrocie dojdzie do swej chałupy, to sam legnie w stodole odpoczywać, a całą swą familię na posterunki powystawia i na patrole powysyła. Taki już jest Kaczorek i nie go nie zmoże, ani ciężkie marsze, ani odwrót, ani wszy. Wszyscy jesteśmy tacy.

Mój ordynans Władek zaczyna się potrosze wyrabiać na dobrego „fajfendekla“. Doszedł już do takiej wprawy, że potrafi przyrzadzić jedzenie w najgorszych warunkach. Uzbierał sobie komplet naczyń, porobił zapasy mąki, tłuszczów, herbaty, cukru itp. Mięso zdobywa w sposób zupełnie prosty, oczywiście tak, żebym nie widział. Machnie lagą w stado kur czy gęsi, włoży ofiarę na wóz i jeszcze w czasie marszu oskubie i wyopatroszy. Potrafi w szczerym polu ugotować rosół z makaronem, kurę czy innego zwierzaka podsmażyć i dorobić do tego jeszcze kompot z owoców. Makaron wałkuje butelką na desce. W czasie naszych krótkich odpoczynków nie tylko upitrasi, ale jeszcze obudzi ppor. Staraka oraz mnie i zmusi do jedzenia.

Pisząc o żywieniu trzeba dodać, że mimo braku żywności należy z urzędu kompania jada znakomicie. W dniach spokojniejszych co najmniej raz, czasem dwa a nawet i trzy razy

dzinnie ludzie dostają zupeł z dużą ilością mięsa, bo mięsa nie brak. Przy takim wyżywieniu mimo dużych wysiłków pyski u chłopców zaokrąglały jak za najlepszych czasów.

Czerwonka mija. My z ppor. Starakiem po blinach zgubiliśmy ją zupełnie. Ale wszy, psiekrwie, są jeszcze! Uwolnić się od nich będzie można dopiero po zupełnej zmianie całego umundurowania i bielizny, gdyż bestie siedzą zapewne nie tylko w bieliznie, ale i w mundurze.

Dalszy marsz odbywałem ciągle z II batalionem, chociaż właściwie zadanie moje przy nim było już skończone, nie miałem bowiem nawet pojęcia, gdzie się dołączyć do 4 kompanii c. k. m. Kuśtykałem na swej nie wyleczonej jeszcze nodze, gdy podjechał do mnie dowódca II batalionu kpt. Wenda, zsiadł z konia i polecił mi chociaż część drogi jechać na swoim rumaku. Bardzo mię wzruszyła ta propozycja, ale wiedziałem, że kpt. Wenda sam ma poharatane nogi jeszcze z Dźwińska, gdzie był ciężko ranny, więc mimo nalegań i prośb konia nie przyjąłem. Gorzej mi teraz maszerować, gdyż nie mam swej wysłużonej laski z Kijowa, jeno nieporęczny kij z jałowca. Lagę oddałem ranemu w nogę na wypadzie za Styr ppor. Romańczukowi z I batalionu, bo źle mu się szło na punkt opatrunkowy.

Przekonałem się, że nie wszystkie taczanki kawalerii bolszewickiej są zrobione jako typowe. Jak siodła zastąpili poduszkami podwiązanymi sznurkami, tak samo taczanki zastępują po prostu bryczkami, umocowując na nich ciężkie karabiny maszynowe i zaprzagając w trzy lub cztery konie.

Taką „taczankę“ widziałem. Trafiła pod ogień naszych maszynek. Padły przy niej wszystkie konie, co ją unieruchomiło.

Ppor. Chmura, gdy nie znajduje dla siebie w czasie walki odpowiedniej roli jako karabiniarz, prosi dowódców kompa-

nii strzeleckich o wypożyczenie jednej lub dwóch sekcji i z nimi wyczynia różne indywidualne działania. Nieraz już słyszałem, jak prosił kolegów z kompanij piechoty: „Słuchaj... daj mi ze dwie sekcje...” A dowódcy niezbyt chętnie dają Chmurce ludzi, gdyż wiedzą, że jest „wariat” i będzie chciał kilkoma ludźmi cały świat zawojować. Chłopcy także niechętnie się wybierają z ppor. Chmurą, chyba że trafi się jaki zabijaka nie sobie z niebezpieczeństwa nie robiący. Pod Horodnicą wgryzł się w linie bolszewickie i związał je dwiema sekcjami jakby przynajmniej miał kompanię. Kiedy już mowa o „Chmurce”, to trzeba dodać, że zdradza on szczególne zamiłowanie do przekraczania rzek. Stąd też nazywamy ppor. Chmurę — „Chmurka za rzeczkę”.

Człowiek o tak zupełnym braku poczucia samoobrony instynktownej jest rzadkością. Każda prawie bitwa jest dla ppor. Chmury sposobnością do wykorzystania swych wartości. A bynajmniej nie robi nic na pokaz.

Gdy mowa o wyczynach na pokaz, pamięć przywodzi mi zasłyszaną w Szkole czy też w jakiejś rozmowie opinię na temat chwały żołnierskiej jednej z armii walczących w czasie wojny po stronie koalicji. Otóż żołnierze tego kraju jakoby niechętnie nacierają w nocy, bo... nie będzie widać, kto się odznaczył!!!

7 sierpnia pozostawałem nadal przy II batalionie. Staliśmy we wsi Skobiełki, na którą Bolszewicy w godzinach rannych rozpoczęli natarcie. Artyleria nasza prażyła Bolszewików dość mocno, jednak nie robiło to na nich wrażenia. Tyraliera ich poczęła się zbliżać do wsi. Kompanie II batalionu powstrzymały natarcie, a ciężkie karabiny maszynowe przygwoździły Bolszewików ogniem.

Z położenia, w którym Bolszewicy ponownie przeszli do głosu i uporczywie nacierali chcąc wziąć w swe ręce inicjatywę, znowu wyprowadził dywizję na czyste wody i do pamiętnego dla nas zwycięstwa płk Dąb - Biernacki. Odcinek zajmo-

wany dotychczas przez nasz batalion objęła kompania techniczna z plutonem 4 kompanii c. k. m., zaś I i II batalion, reszta naszej kompanii i bateria 1. p. a. p. Leg. marszem nocnym udały się, aby zwinąć linię nieprzyjacielską w kierunku przez Jeziorce i Kołpytów, po czym wspomagać grupę ppłka Popowicza, działającą tak jak my, ale na Świniuchy.

W brzasku dnia podeszliśmy pod Kołpytów. W pierwszej linii znalazły się dwie kompanie I batalionu, a wkrótce lewe ich skrzydło przedłużyła 7 kompania. Maszynki prowadziłem w tyralierze 7 kompanii piechoty. Artyleria nasza miała w tej bitwie sposobność do nowych popisów. Działa zajęchały w galopie w naszą linię tyralierską, odprzodkowały i z otwartych stanowisk waliły w Bolszewików znajdujących się w Kołpytowie.

Wieś blisko. Ogień z maszynek prażył. Zauważyłem, że z jednej z chałup wybiegła jakaś baba z tłumokiem na plecach i za chwilę padła, jak się później okazało, ugodzona śmiertelnie.

Bolszewicy zaczęli uciekać wzdłuż drogi prowadzącej pod górę na Świniuchy. Ogień c. k. m. i artylerii trzebił ich tam niemiłosiernie. Do Kołpytowa wpadły kompanie I batalionu. Zdobyte we wsi działa, walące dotychczas w nas, zostały natychmiast odwrócone, skierowane na Bolszewików i obsłużone. Nie wiem, czy przez artylerzystów czy też przez kogoś z piechoty, co potrafił strzelać z armat. Rozmach natarcia i działa bolszewickie strzelające ogniem bezpośrednim do swych dotychczasowych panów wywołały znakomity nastrój u żołnierzy.

Przebiegliśmy wieś i poczęliśmy się piąć pod górę drogą na Świniuchy, której przed chwilą uciekały w panice oddziały bolszewickie. Droga zasłana pozrywanymi częściami oporządzenia: woreczkami z jedzeniem, kaszą, solą itp. Bolszewicy pozbyli się całego balastu potrzebnego do zwykłego bytowania żołnierskiego, ale zbędnego, gdy chodzi o ostatnią rozgrywkę ze śmiercią o życie. Ujrzałem czerep głowy rozwalony pociskiem armatnim; przez oderwanie całego wierzchu czaszki był otwarty mózg, żywy i pulsujący. Leżało wielu Bolszewików poległych, wielu ciężko rannych.

Po wyjściu ze wsi zatrzymaliśmy się dla uporządkowania

kompanii. Karabiny postawiłem na stanowiskach dla wszelkiej pewności naładowane. Zameldowano mi nadjeżdżającą z boku kawalerię. Mogła to być ta sama kawaleria, która napadła rano w czasie natarcia na Kołpytów na I batalion. Podałem celownik, ale z rozpoczęciem ognia się wstrzymałem. Nie miałem pewności, czy jest to kawaleria bolszewicka, więc strzelać nie chciałem. Zawsze jeszcze będzie czas rozpocząć ogień. Nawinął mi się pod rękę jakiś goniec konny czy artylerzysta, który się przy nas zatrzymał na koniu i gapił beczynn timer. Wysłałem go w kierunku kawalerii i poleciłem rozpoznać, co za wojsko. Teren sprzyjał, gdyż było dużo zasłon, krzewów, drzew. Mój wywiadowca odjechał na paręset metrów,... później nagle przychylił się do konia i w galopie wrócił do nas. Zameldował, że Bolszewicy. Z piechoty nalegano na mnie, by z maszynki dać szkołę bolszewickiej kawalerii. Ale przecucie kazało mi czekać, póki sam nie rozpoznam dokładnie. Nie zawiodłem się. Gdy „kawaleria“ zbliżyła się do nas, ujrzałem jadącego z kilkunastu konnymi mjr. Kozickiego. Byłbym mu sprawił ładną niespodziankę z okazji otrzymanego awansu majorowskiego — nie ma co!

Zastrzeżenie co do kawalerii miałem w tym wypadku także dlatego, że ostatnio współdziałały z nami oddziały kawalerii innych pułków, a nie tylko 3 p. uł. Wysłałem konnego na rozpoznanie, bo właśnie podwinął mi się pod rękę. Co mu się stało, dlaczego uciekał podsunąwszy się do konnych tak blisko, iż mógł przecież wyraźnie widzieć — nie wiem. Szukałem później tego człowieka, ale nie mogłem go odnaleźć, bo po powrocie z rozpoznania oddalił się od nas, a na dokładniejsze poszukiwania nie było czasu. Dowódca pułku wysłał nas do dalszego natarcia na Świniuchy. Bolszewicy w Świniuchach czekali na uderzenie nasze od strony Kołpytowa, a więc od czoła, gdy tymczasem z boku niespodzianie wpadła na nich grupa ppłka Popowicza. Grupa ta również się odkuła zabierając działa, karabiny maszynowe i jeńców. A więc dopisało nam powodzenie; żołnierz 1. dywizji piechoty Leg. ma znowu radość zwycięstwa; wziął działa, karabiny maszynowe i jeńców, rozgromił najlepsze oddziały bolszewickie, a za taką uchodzi rozbita tu zupełnie 72 wyborowa brygada strzelców sowieckich. Ogółem straciła ona 8 dział, 10 c. k. m. i około 300 jeńców.

Po wyjaśnieniu się położenia, zatrzymaliśmy się w polu.

Chłopcy, weseli, zaczęli się śmiać, pokrzykiwać, gwarzyć i okazywać na różne sposoby swą żołnierską radość.

Tuż po zatrzymaniu się naszym nadjechał płk Dąb - Biernacki. Byłem świadkiem jak począł wydawać zarządzenia do dalszego działania. Wyjaśniał naszemu dowódcy pułku swe zamierzenia i na rozłożonej mapie wskazywał drogi, którymi chce rzucić 1. dywizję piechoty Leg. do dalszego natarcia. Objaśniał, że będzie to działanie na szerszą skalę, gdyż na jego żądanie 3 dywizja piechoty Leg. natrze jednocześnie na Włodzimierz Wołyński. Pułkownik Dąb, jak zwykle w chwilach decyzji stanowczy, bezwzględny i ostry. Ledwie chwycił jedną zdobycz, mierzył już ku drugiej. Niecierpliwy, bo miota się i gotuje do nowego skoku na wroga. Widzi już nowe powodzenia nasze, widzi porażkę Bolszewików, gdyż nie zna co to przeszkody, bo nie czuje co zmęczenie. Zmęczenie... a tak! Nasz dowódca wysłuchiwał rozkazów i objaśnień pułkownika i zameldował prośbę o krótki choćby odpoczynek dla ludzi, gdyż są strasznie pomachani, co się niezbyt płk. Dębowi podobało. I tak oto stanęły na przeciw siebie dwie potrzeby, dwie myśli. Jedna, która chciała bez zwłoki siedmiomilowymi butami marszu rzucić wojsko już w tej chwili dalej, natychmiast przeciw naprzód, wbijać się taranem w piersi brygad i dywizji wroga — i druga, ta bliższa żołnierzowi i jego ludzkim potrzebom, myśl dowódcy pułku, który równie mocno pragnie pchać się naprzód, ale chciałby dać oddziałom chociaż jaki taki odpoczynek.

Natychmiast ruszyliśmy do dalszego marszu.

.

Nie uszliśmy daleko poza Świniuchy. Zatrzymano nas. Zawróciliśmy z drogi i po paru przemarszach doszliśmy do Krystynopola. Oczekujemy tu na załadowanie i mamy być przerzuceni koleją na inny front. Działanie nasze na Ukrainie zakończyło się zwycięstwem pod Świniuchami. Możemy spokojnie odejść stąd i powiedzieć Bolszewikom filuternie: do zobaczenia na innym froncie.

— — — — —

Wszy, które przy pomocy Władka wytępiłem prawie w Rożyszczach, znowu się rozmnożyły niepokojąco. Zmieniam

bieliznę, ale prana jest ona po wiejsku, bez gotowania i mydła, więc nie pomaga to wcale. Raczej odwrotnie, do czystej bielizny nałazi tałatajstwa coraz więcej i więcej. Włożenie koszuli do mrowiska też nie na wiele się zdało.

Chłopi spośród ludności miejscowej, którzy byli żołnierzami na wojnie europejskiej, są otrzaskani w ogniu i niezbyt się lękają walki, umieją się też zabezpieczyć przed ogniem. Wypadek z kobietą w Świniuchach był jedyny. Wszędzie prawie, gdzie walki nasze zaciągnęły się na dłużej, np. w Rożyszczach, widziałem budowane przez chłopów ziemianki zabezpieczające przed ogniem artylerii. Są to nory w ziemi, najczęściej pod zwalami nawiezonego z lasów i leżącego w dużych balach drzewa, a więc prymitywne, ale bezpieczne schrony. Gdy się poczyną ogień artylerii chłopi czym prędzej włączają do nich. Ziemia jest także stróżem dobytku, który ludność dołuje w niej jak kartofle. Kufry naładowane dobytkiem, co lepsza odzież i pościel chowana jest w jamach wymoszczonych słomą, zasypanych następnie i „zamaskowanych“. Tak samo kryją po wsiach broń i amunicję zagarniętą z pobojuwisk. O istnieniu schowków tego rodzaju przekonałem się, gdy w czasie jednej z bitew pocisk otworzył taką jamę w sadzie przy domu, gdyż trafił akurat w miejsce schowka.



Do pułku przybyli reporterzy gazet warszawskich.

Do pułku przybyli reporterzy gazet warszawskich „Robotnika” i „Świata”. Uzbroili się w karabiny. Gdy zobaczyli kobietę zabita w Kołpytowie, pytali naszego kapelana: „i cóż będzie?” Kapelanek na to: „No cóż — zabita”.

Dostaliśmy uzupełnienie ekwipunku, który ppor. Starak bardzo skrupulatnie na kompanię podzielił. Umundurowanie różnych typów. Trzewiki niektóre górskie, austriackie „bergsztajgery”. Dobrze i to. Widać, że intendentura wyskrobała z magazynów co się tylko dało. Prawie każdemu chłopcu dostało się coś z podziału.

A „fasować” żołnierz lubi, oj lubi.

Nareszcie puściliśmy podwodziarza zabranego pod Kijowem, tego podróżnika, który prosił o pozostawienie przy kompanii, by mógł zwiedzić kawałek świata. I zwiedził. Nachodził się z nami bardzo dużo, wiele widział, wiele zapamiętał. Prosił o wystawienie przepustki, aby Bolszewicy uwierzyli, że był zabrany na podwodę. Napisałem przepustkę zatytułowaną „do towarzyszy komisarzy ludowych” i stwierdzającą, że taki to i taki wieśniak był przez nas zabrany na podwodę.

Spotkaliśmy się z kantyną kompanijną. Ppor. Starak, zadowolony, że ruszamy się z naszego frontu na inny, zafundował całej kompanii po kieliszku wódki i zakąskę. Siadło bractwo pod drzewem i zadowolone z poczęstunku śpiewało aż miło. Przyjemny i ciekawy był to obrazek, gdyśmy razem z kompanią siedzieli i śpiewali. Ciekaw jestem, czy tam u nich, gdzie ponoć ma panować równość, towarzysze „komandiry” żyją tak doskonale z żołnierzem jak my, „pańskie” wojsko. Myślę, że nie. Popędza się tam żołdatów jak za byłej pamięci cara - batuszki.

IV

UDERZENIE ZNAD WIEPRZA

THE
JOURNAL
OF
THE
ROYAL
ANTHROPOLOGICAL
INSTITUTE

VOL. 40
PART 1
1910

CONTENTS
PAGES
The
JOURNAL
OF
THE
ROYAL
ANTHROPOLOGICAL
INSTITUTE
PAGES
The
JOURNAL
OF
THE
ROYAL
ANTHROPOLOGICAL
INSTITUTE
PAGES

THE
JOURNAL
OF
THE
ROYAL
ANTHROPOLOGICAL
INSTITUTE
PAGES
THE
JOURNAL
OF
THE
ROYAL
ANTHROPOLOGICAL
INSTITUTE
PAGES
THE
JOURNAL
OF
THE
ROYAL
ANTHROPOLOGICAL
INSTITUTE
PAGES

Jesień 1920.

Łaadowanie w Krystynopolu do transportu kolejowego było kłopotliwe, gdyż mimo ciągłego zmniejszania taborów narosły one znowu od zdobyczy. Aby się więc pomieścić w wyznaczonych wagonach i na platformach, trzeba było wozy porozbierać i poskładać na lory, bo w ten sposób więcej się łaadowało, a wartościowszy materiał i amunicję pownosić do wagonów.

Jechaliśmy przez Lwów, ale tak, że nie wiedzieliśmy o tym, bo transport przeszedł nocą nie zatrzymując się, bądź przespaliśmy tę chwilę.

W czasie przewozu trzeba bardzo uważać na ludzi, bo mają skłonność do siedzenia na stopniach wagonów, a o wypadek nie trudno. Widziałem już głowę urwaną nieostrożnemu żołnierzowi w transporcie przy przejeździe mostu.

Wyładowaliśmy się w Trawnikach, gdzie bataliony ładują się do samochodów dla odbycia nimi dalszej drogi. Tabory poszły marszem pieszym.

Rozkaz dowództwa pułku poleca przedstawić wnioski nominacyjne sierżantów bez cenzusu do awansu na podporuczników za wybitne odznaczenie się w boju.

Rozkaz napisany jest na podstawie zarządzenia Sztabu Generalnego. Brzmi on następująco:

„Żołnierze! Dekretem z dnia 3.VIII br. nadaje Naczelny Wódz aż do odwołania Dowódcom frontów prawo warunkowego awansowania — do czasu zatwierdzenia przez Naczelnego Wodza — podchorążych i podoficerów podporucznikami, za dokonanie wyjątkowych czynów na polu bitwy.

Powyższy dekret umożliwia każdemu dzielnemu szeregowemu, co do którego nie ma żadnych zastrzeżeń natury moralnej, osiągnięcie szlif oficerskich.

Żołnierze! spodziewam się, że takie uznanie waleczności przez Naczelnego Wodza będzie bodźcem dla okazania cnót żołnierskich przez Was — dla chwały Ojczyzny — a zguby dla naszych wrogów“.

Rozumiem cel rozkazu, ale u nas w pułku będzie on nie tyle zachętą, ile raczej nagrodą za dokonane już czyny orężne. Mamy wielu podoficerów dzielnych, którzy pełnią funkcję dowódców plutonów, wywiązując się z tych zadań znakomicie, są to: podchor. Galiński Michał, sierż Żabski Modest, sierż. Noworyta Piotr, sierż. Dziennik Feliks i inni.

Ostatni z wymienionych jest Poznaniakiem i choć Poznaniacy niezbyt się przychylnie odnoszą do naszej dywizji, a w ogóle ludzi z innych zaborów nazywają uszczypliwie „Galicyjokami z Kongresowy“ — takich Poznaniaków jak sierż. Dziennik cenimy i lubimy.

Rozkaz pułkowy poleca tworzyć przy batalionach jezdne oddziały wywiadowcze po 20 ludzi na batalion, przy użyciu środków ze zdobyczy.

Część kompanii z ppor. Starakiem odjechała wcześniej. Dostałem się do ostatnich już wozów kolumny samochodowej. Samochód, w którym jechałem, posuwał się w pewnej odległości za cysterną z benzyną, co miało się później na nas odbić. Chłopcy są bardzo zadowoleni, że dba się o ich nogi, wozi kołają i samochodami.

Myślę, że gdybyśmy rozporządzali w Kijowie większą ilością samochodów i przerzucali nimi oddziały, to na przykład w wypadku konieczności ratowania 6 p. p. Leg., jak się to zdarzyło pod Bohdanami, byłibyśmy weszli do walki o wiele wcze-

śniej i 6 p. p. Leg. nie byłby narażony na tak uciążliwe i osamotnione boje, a i nasze zadanie byłoby łatwiejsze do wykonania oraz obeszłoby się bez tak ogromnego wysiłku. Ze względu na tamtejsze drogi, samochody musiałyby być przystosowane do złych dróg i mieć większą moc silników.

W samochodach przemknęliśmy przez Lublin. Lubliniacy witali nas owacyjnie, a ponieważ nie zatrzymywaliśmy się, wrzucano do jadących samochodów papierosy i owoce. Owoce, bo jest już przecież jesień i owocobranie. Te namacalne objawy serdeczności mieszkańców Lublina bardzo dodatnio wpłynęły na nastrój chłopów.

Za Lublinem, gdy się zaczęło już zmierzchać, samochody przed nami stanęły i stały dość długo. Sądziłem początkowo, że jest to odpoczynek kolumny, ale gdy postój się przedłużał, poszedłem sprawdzić przyczynę i okazało się, że jadący przed nami samochód - cysterna załamał mostek w takim miejscu, gdzie nie można było nawet marzyć o objeździe. Zatarasował ponadto całą szosę. Sprawa zaczynała być denerwująca z różnych względów: mogliśmy się spóźnić z przyjazdem do pułku, poza tym pułk jest już na miejscu i odpoczywa, gdy my się tłuczemy po nocy. Zaproponowałem, aby ściągnąć ludzi z samochodów i uwolnić mostek od cysterny; rzeczywiście przy wspólnych wysiłkach wytaszczyliśmy cysternę, ale zmarudziło się kilka godzin. Pomknęliśmy dalej. W czasie jazdy nocnej zdarzył się śmieszny i zarazem przykry wypadek: oto zając, biedaczyna, wpadłszy w smugę reflektora samochodowego nie mógł z niej uciec i póty się ścigał z samochodami, póki nie padł ze zmęczenia.

Dojechaliśmy do celu, tj. do Lubartowa, gdy pułk już stał na zbiórce, tj. o godz. 4 rano dn. 16.VIII.

Nie odpoczywając ani chwili, dołączyliśmy do kompanii. Od ppor. Staraka dowiedziałem się o wydanych rozkazach i o położeniu.

Wyszliśmy ze składu 3 armii i jesteśmy w 2 armii gen. Śmigłego - Rydza.

Idziemy całą dywizją, a więc do działań na szerszą skalę. Na czołe dywizji — 5 p. p. Leg.

Miał on 17.VIII przed sobą słabego i wycofującego się przeciwnika. Łatwo i głęboko włączymy w teren do niedawna trzy-

many przez Bolszewików. Zrobiliśmy przeszło 50 km. Nareszcie idziemy naprzód! Na całego!

18 sierpnia.

Pułk nasz przeszedł do straży przedniej dywizji. W ciągu dnia odwaliliśmy znowu około 50 km. Spotkaliśmy się z grupą jazdy mjr. Jaworskiego. Staliśmy w Łysowie.

Pułkiem dowodzi teraz w zastępstwie kpt. Wenda, gdyż ppłk Kruszewski chory, a mjr Kozicki odszedł na dowódcę 6 p. p. Leg.

19 sierpnia.

Olbrzymie powodzenie! Trzy kompanie II batalionu, które kpt. Wenda kazał wysłać na podwodach do Drohiczyna nad Bugiem, dały ogromnego łupnia Bolszewikom! Dzięki temu, że Bolszewicy nie spodziewali się zupełnie natarcia (nie ubezpieczyli nawet mostu!) kompaniom udało się wpaść na drugi brzeg Bugu do Drohiczyna. Znowu się odznaczył sierż. Zabski. Granatem rzuconym przez okno do chałupy zaharatał dowódcę sowieckiej 8 dywizji strzelców i jego szefa sztabu. II batalion zdobył działa, różnego rodzaju broń i sprzęt oraz amunicję. Do niewoli wpadło około 400 jeńców. Wielu rozproszyło się po okolicy. Bolszewicy pozostawili kilkudziesięciu zabitych.

Kapelan, który poszedł do Drohiczyna z kompaniami II batalionu, został wysłany do pułku na zdobycznym samochodzie (z kierowcą Bolszewikiem!), aby zameldować o wzięciu miasta. Tymże samochodem przyjechał dowódca pułku do Drohiczyna. A więc samochód bolszewicki bardzo się nam przyśłużył jako środek łączności, ale całe szczęście, że udało się przychwycić Bolszewika szofera, bo kto by wóz poprowadził.

Niezwykłą zdobyczą w Drohiczynie jest batalion złożony z Żydów z Królestwa, którzy się zgłosili ochotniczo do służby wojskowej u Bolszewików. Siedzieli przy drodze, ściśnięci w gromadę, o twarzach napiętnowanych lękiem. Wszyscy jeszcze w cywilnych ubraniach, bo ich Bolszewicy nie zdążyli umundu-

rować, wielu w żydowskich charakterystycznych czapkach. To-warzysze ochotnicy!

Kapelanek, który napotkał jeńców, wydobyl aparat fotograficzny i poczał się przygotowywać do wykonania zdjęcia. Przerażeni ochotnicy czerwonej armii sądząc, że gotuje się na nich jakieś śmiercionośne narzędzie, poczęli przeraźliwie wrzeszczeć, podjęli nawet na znak poddania się ręce do góry i krzy-czeli „Niech żyje Józef Piłsudski!“. A przed paru godzinami trzeba było nacierać na nich, bo nie chcieli się początkowo pod-dać.

Wracający a obrabowani przez Bolszewików z koni i wo-zów nasi wieśniacy pluja na widok żydowskiego batalionu. Gdyby nie eskorta pohulaliby sobie i odbili swoje udręki na ochotnikach do Sowietów.

W Drohiczynie odznaczył się podchor. Galiński, który wpadł-szy na czoło ruszającego taboru bolszewickiego ustrzelił z pi-stoletu konie przy pierwszym wozie, przez co zatarasował dro-gę i uniemożliwił taborowi ucieczkę. W ten sposób II batalion odkuł się zagarniając ogromny tabor i wielką ilość podwód. Galuś znalazł się jednak w opałach, gdyż obskoczyło go kilku Bolszewików i chcieli go zaharatać, ale szczęśliwie nadbiegli chłopcy z jego plutonu i całe wydarzenie skończyło się po-myślnie.

Straty batalionu w Drohiczynie były bardzo małe: zabi-tych 3 szeregowych, rannych 12.

Dobre wieści przysły również od jazdy majora Jaworskie-go, która wzięła opodal Drohiczyna na innej przeprawie na Bu-gu sztab dywizji bolszewickiej i armaty oraz bardzo wielu jeń-ców. W takich działaniach jazda jest w swoim żywiole. Poniosła jednak duże straty.

24 sierpnia.

Mam wielkie zaległości w notatkach. Otóż w Drohiczynie część podwód polskich odebranych Bolszewikom II batalion zwolnił, ale reszta została użyta jako środek przewozowy dla oddziałów. Powodzenie II batalionu uzyskane dzięki szybkie-mu dotarciu do Bugu na podwodach zostało zaraz jako doświad-

czenie wykorzystane. Najpierw ruszył na podwodach III batalion, następnie I batalion, a za nim nasza kompania.

Marsz odbywa się w bajecznym nastroju. Spotykamy po drodze wiele sprzętu, amunicji i różnego dobytku porzuconego przez uciekających w popłochu Bolszewików. To się nazywa robić odwrót! Ale muszą mieć pietra!

Bolszewicy ciągnęli zapewne ze sobą jakieś bardzo ciężkie działa, gdyż po drodze spotyka się porzucone pociski - olbrzymy. Przy drodze w wielu miejscach całe sterty rosyjskich granatów ręcznych, leżą tak, jakby w tym miejscu wyrzucono całą zawartość wozu, poza tym nieprawdopodobne ilości wszelkiego sprzętu i materiału. Oby tylko ktoś zorganizował zbieranie tego wszystkiego, gdyż inaczej ludność miejscowa, zawsze łasa na przedmioty wojskowe, pozbiera broń, sprzęt oraz materiał i będzie z tego strata dla wojska, a u ludności dużo wypadków, gdy zaczną rozbierać pociski.

Nastrój ludności polskiej znakomity. Przy przechodzeniu przez wsie wynoszą mleko i częstują żołnierzy. Opowiadają o Bolszewikach, że rabowali, że byli niemożliwie obdarci i chodzili nawet w przyodziewku kobiecym, w damskich kapeluszach?! Na ustach wszystkich Bolszewików było jedno: „Ar-



Jeńcy bolszewicki pod strażą uzbrojonej ludności cywilnej w Drohiczynie.

szawa“, „Arszawa“ lub „Na Arszawu!“ Byli pewni siebie i twierdzili, że nic ich nie zatrzyma i że wejdą do stolicy.

Po zachowaniu się ludności nie widać wcale, aby przyjmowała chętnie zwolenników równego podziału dóbr. Naród kpi z nich i organizuje się do wyłapywania rozproszonych bolszewickich oddziałów. W wielu wypadkach chwyta za broń, staje w naszych szeregach, by bić Bolszewika, zemścić się za jego gospodarkę. Wyłapują rozproszonych Bolszewików i pilnują nam jeńców.

W dworach Bolszewicy młócili zboże na własną rękę i żywali na swoje potrzeby, poczęli się też dzielić z naszym ludem wiejskim jego dobytkiem, rekwirując zboże. To również przyczyna, że lud wita nas jako oswobodzicieli i wybawców oraz, że nawet nie myślał się podporządkować hasłu „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się“.

Trzeci batalion maszerujący przed nami odkuł się na taborze i artylerii bolszewickiej. Zabrał 9 dział, kilka maszynek i przeszło 150 wozów, ładowanych przeważnie amunicją artyleryjską.

I batalion, z którym idziemy, w nocy już zetknął się z taborami bolszewickimi i przychwycił kilkanaście koni, wozów i jeńców.

Z tego wszystkiego widać, że jesteśmy na głębokich tyłach bolszewickich, że spełniamy taką samą rolę jak armia konna Budiennego na Ukrainie, tylko że w szerszym zakresie, bo w ciągu niespełna 5 dni zrobiliśmy już z górą 170 km i niszczyliśmy nie tylko tyły bolszewickie, ale także głowy bolszewickich armii — ich „komandirów“ i szefów sztabu.

Na II batalion idący w straży tylnej napadła w nocy kolumna rosyjska uciekająca na wschód. Wpadła ona na kompanię ppor. Chmury. Znowu nastąpił epizod walki na bagnety, bo też w nocy tylko bagnet i granat ma coś do gadania. Bolszewicy wyszli z tej walki słabsi o 200 ludzi, bo tylu wzięliśmy jeńców, stracili masę podwód z żywnością i amunicją.

III batalion, idący w straży przedniej, zajął Bielsk. Znowu mamy 4 działa, kilkanaście karabinów maszynowych i przeszło stu jeńców.

Jeżeli wszystkim innym oddziałom tak samo się powodzi w tym działaniu jak nam, to doprawdy spotka Bolszewików odwet nie byle jaki za dotychczasowe nad nami przewagi. Bolszewicy byli zbyt pewni „Arszawy“. Rozmach naszego posuwania się przypomina mi zagon samochodami na Żytomierz.

Walimy naprzód jak taran. Nic się przed nami nie ostoï. Mamy już przeszło 200 km drogi za sobą. Dojdziemy do Wilna!

W Bielsku znaleźliśmy tysiące egzemplarzy odbitek fotograficznych Trockiego, Owsiejenki i innych dygnitarzy. Pod podobiznami umieszczono w języku polskim następujące napisy:

A. Mroza

LEW DAWIDOWICZ TROCKI

PRZEWODNICZĄCY REWOLUCYJNEJ RADY
WOJENNEJ REPUBLIKI, KOMISÁRZ LUDOWY
DO SPRAW WOJSKOWYCH I MORSKICH

ANTONOW-OWSIEJENKO

WŁODZIMIERZ
ALEKSANDROWICZ
SZEŁ. ZARZ. POLIT.
REW. RADY. WOJ. REP.

Bolszewicy przygotowali te odbitki dla zapoznania Polaków z nową „władzą“, ale nie zdążyli ulotek rozdać. Agitacja bolszewicka nie próżnowała więc i gotowała się do „uświadamiania“ mas.

Tabory nasze przybierają niesamowity wygląd. Wielu jeńców bolszewickich jedzie w nich w papachach — to nasi woźnice. Nie możemy pozwolić sobie na zbytek obsadzenia ogromnych taborów swoimi ludźmi. Chyba połowa liczebnego stanu bojowego poszłaby na to. Jeńcy służą nam bardzo chętnie, są nawet radzi ze zmiany losu, uśmiechają się i pracują zawzięcie. Kto wie, może i oni się cieszą z wyzwolenia spod knuta równego podziału dóbr. Oby tylko nie zdarzyło się jakieś nieszczeście, bo tabory nasze wyglądają jak bolszewickie. Łatwo o omyłkę i harataninę.

Dowódca 1. kompanii c. k. m. zdobył gdzieś czarną burkę kozacką i papachę. W tym stroju jeździ. Wygląda jak jeździec kaukaski.

Kpt. Mariański, dowódca I batalionu, zgolił brodę na wzór rybaków bretońskich, ale nie wszyscy oficerowie mieli czas zastosować się do przyrzeczenia i pogolić brody, które przecież miało się hodować tylko do końca odwrotu. Dzisiaj można już śmiało je zgolić — odwrót skończony. „Brody“ i tak będą nasze.

Ciekawa jest czasem psychika żołnierza. Gdy mijamy sady owocowe, trzeba się uganiać za ludźmi, nie chcąc dozwolić, aby grabili owoce. Ppor. Starak dla zaspokojenia owocowych pragnień kompanii nabył na jednym z krótkich postojów kosz śliwek. Niech jedzą i używają! I cóż się okazało? Śliwki grabione smakowały, kupione zaś nie! Jakby z musu jedli chłopcy te kupione śliwki. Pół kosza pozostało przed odmarszem. Trzeba je było ładować na wóz.

W drodze spotykamy wielu podwodziarzy Polaków, których Bolszewicy przegonili, odbierając im wozy i konie. Płaczą wobec tego i złorzeczą. Ale, że jesteśmy bogaci w podwozy zdobyte, więc rozdajemy je pokrzywdzonym wieśniakom. Do-

stają konie wprawdzie inne, ale w każdym razie konia za konia, łeb za łeb. Nieopisana jest radość i wdzięczność tych ludzi, którzy już posępnie przeboleli stratę, aż tu niespodzianie odzyskują rabunek „towarzyszów“. Taki podział dóbr bardzo im się podoba.

Co dzielniejsi żołnierze kompanii, którzy mieszkają w mijanych okolicach, dostają również od ppor. Staraka konie wybiedzone i nie nadające się do marszu. Zgłosiło się kilku z prośbą o puszczenie do domu na godzinę czy dwie. Dostali przepustki i konie. Wszyscy wrócili na czas.

Jest wiele u nas dowodów przejawów karności w stosunku do oficera i dowódcy, mającej podłoże nie w surowym prawie i przepisie, lecz w sercu i wdzięczności za dobre słowo i opiekę.

Z Bielska ruszyliśmy na Białystok. III batalion zdobył dla pułku przeprawę na Narwi. Jedna z kompanij przedarła się po podpalonym przez Bolszewików moście i w ten sposób uzyskaliśmy wyjście za rzekę. Ogień ugaszono.



Podwodami na Białystok.

Przybył do nas płk Knoll - Kownacki, który teraz dowodzi brygadą.

Na podstawie rozkazu wydanego przez kpt. Wendę w Trawnikach został utworzony oddział konny w pułku. Zwiadowcy — piechurzy z kompanii strzeleckich. Nie wszyscy potrafią dobrze jeździć konno, jednak jest ochota i zapał do kawalerii pułkowej, więc braki równoważą się najważniejszym czynnikiem — dobrą wolą. Uzbrojenie niejednolite: powyciągano z różnych zakamarków w taborach szable zdobyte na Budienym i siodła. Niektórzy nasi „kawalerzyści“ mają jeszcze długie karabiny, co dziwacznie wygląda, gdyż oko się przyzwyczaiło widzieć kawalerzystów z krótkimi karabinkami, poręczniejszymi i nie wystającymi tak ponad głowy jeźdźców. W każdym razie „we własnym zakresie“ utworzyliśmy swoją kawalerię. Przydałaby się także własna artyleria, bo sprzętu do utworzenia jej zebrałoby się sporo, ale do tej specjalności brak u nas wyszkolonych ludzi.

Przydałaby się również umiejętność dania strzału z armaty, bo sposobności natychmiastowego wykorzystania dział zdobytych i obrócenia ich na Bolszewików trafiają się często. Także umiejętność zapuszczenia silnika w samochodzie pancernym lub zwykłym i kierowania nim w wielu już wypadkach przyniosłaby znaczne korzyści. Cóż, kiedy i tego nie potrafimy. Prócz tego gdybyśmy znali pracę silnika, nie mogliby nas oszukiwać szoferzy, którzy lubią „kiwać“. Stanie sobie taki pan kierowca i melduje, że nie ruszy, bo silnik „nawalił“. Zależy się więc od specjalisty, który dowolnie może człowieka „nabijać w butelkę“. Umiejętność strzelania z działa i prowadzenia samochodu bardziej by mi się przydała niż wiele innych uwzględnianych w Szkole Podchorążych. Oto przypomina mi się, jak jeden z oficerów egzaminował kadetów ze znajomości historii, a działało się to po zakończeniu kursu szkolnego, a więc tuż przed odejściem w pole. Pytanie było następujące „Kadet powie, jaka postać stoi przy Stefanie Batorym po lewej jego stronie na obrazie Matejki Batory pod Pskowem“. Historia — prawda, że jest rzetelnym mentorem dla człowieka, a historia wojskowości dla żołnierza — to fundament wiedzy, ale były chyba odpowiednie sprawdziany kwalifikacji młodych oficerów.

Utworzenie oddziałów kawalerii przy batalionach dyktu-

ją potrzeby pola. Zdarzyło się, że po walce zaszła konieczność natychmiastowego pościgu dla całkowitego wykorzystania powodzenia. Wówczas wszyscy oficerowie znajdujący się w tym miejscu i mający konie a także gońcy konni ruszyli do improwizowanej szarży i pościgu. „Szarża“ okazała się bardzo skuteczna i dała doświadczenie, że pułk nie może się w takich wypadkach oglądać za kawalerią i że musi mieć choćby niewielki oddziałek kawalerii własnej, by użyć go natychmiast, jak tylko zajdzie potrzeba. Tak więc powstał nasi pułkowi „ułani“.

W polu ujawniają się sposoby i środki walki, z którymi nie miało się przedtem do czynienia. Np. taczanki. Wydawane są więc doraźne instrukcje wojenne na podstawie doświadczeń zebranych w polu i tym sposobem uzupełnia się luki w naszej wiedzy wojskowej.

Byliśmy przemęczeni do nieprzytomności, gdy w dalszym pościgu dążyliśmy do Białegostoku. Marsz ten przypomniat mi marsz odwrotowy spod Równego. Takie samo zmęczenie, tak samo pozostawali w drodze ludzie bezwolni, wyczerpani, tylko że tutaj można się było nie obawiać o ich los.

Noga znowu mi dokucza. Począłem kuleć więcej niż dotąd. Właściwie nie wiem, co jest z moją nogą. Nie zgłaszałem się dotąd do lekarza w czasie odwrotu, ani z nogą, ani z czerwonką, nie zgłoszę się tym bardziej teraz, w dniach wyjątkowych powodzeń.

W nocy z bocznej drogi przyłączył się do nas tabor bolszewicki i jechał tak z nami nie zdając sobie sprawy, że jedzie w niewoli, jak my nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Bolszewicy dobrowolnie się włączyli do naszej kolumny i oddali w nasze ręce. Dopiero o świcie sprawa się wyjaśniła i było wiele śmiechu. Zresztą nic się nie zmieniło, bo woźnice przy taborze zostali ci sami.

Tak podeszliśmy pod Białystok.

Walka rozgorzała. Już są pierwsi ranni. Gdy mijamy ich, jeden podnosi się z ziemi, obnaża przestrzelone ramię, pokazuje chłopcom i woła: „A pomagajcie ich tam, chłopaki, odbijta psimkrwiom te rane, co mi zadali, psia ich mać sobacza!“

Chłopcy na wezwanie rannego odpowiedzieli rubasznymi słowami twardej żołnierskiej mowy i obiecali dać „skurczybykom“ tęgiego łupnia.

Poszliśmy dalej mijając rannego, którego tymczasem począł opatrywać sanitariusz.

.....

Kapelanek miał na wstępie bitwy przygodę, która go pasuje na pułkowego Zagłobę. Tamten „zdobywał“ chorągwie na wrogu, kapelanek w ten sam sposób maszynki. Gdy po spędzeniu Bolszewików rankiem zatrzymaliśmy się przed Białymstokiem, kapelan stanął sobie przy moście i czekał na sposobność fotografowania. Tymczasem rozwidniło się i coś się okazuje: kapelan ma tuż koło nóg bolszewicki karabin maszynowy, porzucony przez nich, a przez nas dotąd nie zauważony. Nie ma co, kapelan zdobył maszynkę! Będzie teraz o swej zdobyczy opowiadał w całym pułku.

.....



Ks. kapelan Fr. Tyczkowski – nasz Kapelanek bada przez „szkła“ sytuację.

Naciera I batalion. Naszej kompanii nie ruszono, gdyż od czasu gdy idziemy w dużej kolumnie całym pułkiem, rzadko nadarza się potrzeba użycia tego odwodu dowódcy pułku, a kompanie mają tyle karabinów maszynowych, że o przydział dodatkowych się nie ubiegają.

Na Białystok szły prócz 1. p. p. Leg. dwie czy trzy kompanie 5 p. p. Leg. Całością dowodził płk Knoll - Kownacki.



Pierwsze strzały z maszynek tuż przed rozwinięciem pułku do walki o Białystok.

I batalion pod dowództwem kpt. Mariańskiego, który prowadząc batalion do walki bierze na głowę hełm niemiecki a do ręki karabin piechoty z bagnetem i wali w pierwszej linii, w ciężkim boju otworzył drogę do Białegostoku i wszedł do miasta. Doszło do starć na bagnety. Tuż za batalionem posuwała się nasza kompania, gdyż II batalion, który dotychczas maszerował przed nami, zszedł z drogi na obejście Białegostoku. Przez cały czas znajdowaliśmy się w silnym ogniu karabinowym. Jak zwykle masa ognia nie dosięga celu, lecz przenosi i większość pocisków szoruje dalej, stwarzając dla oddziałów posuwających się w tyle niezbyt przyjemną symfonię świstów. Jest to symfonia o tyle denerwująca, że żołnierz bezpośrednio w walce nie uczestniczący więcej uwagi zwraca na świst pocisków niż ten, który idzie w pierwszej linii. Osobiście czuję się lepiej w pierwszej linii, a najbardziej nie lubię chodzenia w tym dziwacznym ogniu, na który nie można zareagować. Bo do kogo walić? Tak samo nie lubię pokonywania przestrzeni w ogniu, gdy trzeba doścignąć pierwszą linię i wejść w nią z maszynkami.



Maszynki śpieszą na linię przez zniszczony most.

Białystok zdobyty. Posuwając się za I batalionem, natknąłem się na ciało ppor. Soi, tego, z którym przez kilka dni stałem w Rożyszczach, w obronie Styru. Przykro jest ujrzeć poległego kolegę. Nie tak dawno darzyliśmy się wzajemnie skarbami „sitwy“, a teraz leży oto ppor. Soja na drodze, którą dążył do Białegostoku, na drodze do zaszczytów żołnierskich, do śmierci.

Przykre rozmyślenia przerwał mi rozkaz udania się biegiem do miasta. Z maszynkami przebiegliśmy ładnych parę kilometrów, bo Białystok jest miastem dużym i rozwleczonym. Ulice puste, niemożliwie — jak zwykle przy Bolszewikach — zaśmiecone i cuchnące. Wszędzie ślady postojów taborów, wszędzie niemożliwy brud i zaduch. Miasto wymarłe, z pozabijanymi deskami lub pozamykanymi sklepami i bramami.

Dobiegliśmy tak do magistratu nie mając nic po drodze do roboty. Tuśmy się zatrzymali. Położenie się wyjaśniło. Do-
stałem zadanie osłony dowództwa brygady, które się pomieści-
ło razem z dowództwem pułku w gmachu magistratu.

Na ulicy zastałem wóz bolszewicki napełniony... workami
tytoniu. Odkucie niezwykle!

Chłopcy zaraz dostali tytoniu, a adiutant pułku wycyga-
nił od ppor. Staraka cały worek tego specjału.

Zająłem się ubezpieczeniem dowództwa brygady i pułku,
choć sprawy tej nie brałem zbyt poważnie; łatwe stosunko-
wo zajęcie miasta i wianie Bolszewików przed nami, a także
obsada pułku przed miastem kazały przypuszczać, że zadanie
moje będzie polegało właściwie na wcale wygodnym odpoczyn-
ku. Ustawiłem jednak oba swe karabiny: jeden na rogu ulicy
tuż przy magistracie, drugi dałem na dalsze stanowisko przy
dziale artylerii ustawionym na małym placu.

Wolny czas poświęciłem na obejrzenie miasta. Na do-
mach wiszą ogłoszenia w języku polskim, naszpikowane hasła-
mi bolszewickimi. Urzędował tu przecież „rząd“, przygotowany
przez Bolszewików dla Polski i gotowy do objęcia władzy, gdy
tylko padnie Warszawa. W skład „rządu“ wchodziło 11 doboro-
wych zwolenników równego podziału dóbr, w tej liczbie 4 czy
5 żydów. Wystarczy zanotowanie takich nazwisk jak Dzierżyń-
ski i Kon. Jedyny Marchlewski przynajmniej z twarzy wyglą-
da na uczciwego człowieka, ale reszta — typy spod ciemnej
gwiazdy. I kto wie, gdyby nie zwrot wojenny, gdyby nie ofen-
sywa nasza, to może byłby w Warszawie i „rządziłby“ Polską
ten „rząd“.

Białystok obrali komuniści za tymczasową „stolicę“ Pol-
ski, głównie ze względu na liczny tu żywioł robotniczy, które-
go by w innych zajętych miastach w tak dużej gromadzie nie
znaleźli. Ale robotnik nasz — nie mówię o wyjątkach, o wy-
wrotowcach, czy też o „działaczach“ lubiących wyławiać żer
dla siebie łatwy przy pomocy mącenia czystej wody — ani też
chłop polski nie poszli na lep hasel komunistycznych. Najlep-
sze tego dowody w Drohiczyźnie i tutaj w Białymstoku, gdzie
liczni robotnicy polscy wzięli do rąk karabiny i poszli z woj-
skim trzepać Bolszewików. Odruch ten jest najwymowniej-
szym dowodem prawdy niczym nie zbitej.

Pułk w opałach. Na miasto poczynają nacierać Bolszewicy, a po ogniu widać, że ma się do czynienia z licznym i uporczywym przeciwnikiem. 8 kompania ściągnięta do odwodu przez przewidującego dowódcę pułku przydała się, bo ledwie doszła do magistratu, poprowadził ją kpt. Wenda na najbardziej zagrożony posterunek, pod Bażantarnię.

Przez kilka godzin trwało uporczywe i coraz krwawsze zmaganie się, coraz silniejszy ogień artylerii i karabinów maszynowych. Byłem w środku miasta, ale się po strzałach orientowałem, że na linii jest ciężko. Odczuwałem wahania się boju, każde starcie na bliską odległość, każde niemal poruszenie. Wreszcie zostały użyte ostatnie odwody — stojące w pobliżu magistratu kompanie 5. p. p. Leg., po które zresztą z rozkazu dowódcy brygady sam chodziłem.

Ogień około godziny 16 wzmógł się jeszcze bardziej, stał się nerwowy; dawały się słyszeć od czasu do czasu salwy — znak potrzeby ujęcia w garść ludzi komendami, kierowania ogniem oddziału, a może... znak braku amunicji i konieczności jej oszczędzania. Brak amunicji... Odgłosy walki nie wróżyły nic dobrego.

Poczułem, że przychodzi kolej na nas. Poszedłem do karabina. Od ppor. Staraka dostałem osłonę piechoty, złożoną z kilku ludzi z obcych pułków, przeważnie odbitych w Białymstoku jeńców, pod dowództwem oficera z kompanii technicznej. Ustawiłem ich na przeciwległym rogu. Kazałem załadować maszynkę.

Ogień zaczął wyraźnie zbliżać się w naszą stronę. Tabory, biedki, wóz ze zdobytym tytoniem zawróciły w tył i odjechały szybko tą samą drogą, którą rano tu przyjechały. Tabory zawsze jadą zbyt daleko w przód tam, gdzie nie trzeba, a potem wyrrywają robiąc niepotrzebny ruch, zamęt i siejąc panikę. Uciekają, więc groza jakaś je pędzi, groza której nie ma, ale przecież musi coś być, skoro się galopem wieje.

Ogień przed nami ucichł złowrogo. Dlaczego?

Za moim karabinem maszynowym zebrało się kilku oficerów. Dowódca 1. p. a. p., oficerowie z brygady a także ppor. Starak, który wszystkie karabiny porozdzielał i nie miał nic innego do roboty.

Naraz w sąsiedniej przecznicy, gdzie stał drugi mój karabin maszynowy, odezwały się strzały i grzmotnął wyolbrzymio-

ny przez ciasnotę domów huk działa! A więc Bolszewicy są tuż, tuż. I... tak jest, w końcu ulicy, na którą była nastawiona moja maszynka, ukazało się kilka postaci, a tuż za nimi wylała się masa, dosłownie tłum Bolszewików, zbity w tłoczącej się gromadzie i pchający się niecierpliwie i szybko.

Kaczorek popatrzył przez celownik, czeka na rozkaz ogniowy, ale z daniem ognia nie szło jakoś. Byłem bez lornetki, bo przed Białymstokiem straciłem ją, a patrzący przez „szklą“ dowódca 1. p. a. p. krzyknął: „to nasi — nie strzelać!“

Zawahałem się: strzelać, czy nie? Przecież widzę, że to Bolszewicy, a zresztą skądże tylu „naszych“ tu się wzięło? Tyłu nie było w całej obronie tej części miasta.

Nachyliłem się nad Kaczorkiem i mruknąłem mu do ucha: „Kaczorek! walcie!“

Uparta, równa, taka jakaś dostojna, a zarazem klekocząca jak głos swarliwej baby seria Hotchkissa przerwała rozmyślania, wahania i niepewność: strzelać, czy nie?

Tłum pakujący się ulicą zakołysał się i przywarł do ścian... — Walcie, Ignac, walcie!

Na opuszczonej przez tłum Bolszewików jezdni wyrosła jak by spod ziemi taczanka i plunęła na nas serią jazgoczącego Maxima.

Ignac dał jeszcze jedną serię. Konie przy taczance padły. Maxim także nie próżnował i kropił do nas.

Na sąsiedniej ulicy piekło. Ogień mojej maszynki i działa doszedł do szczytu możliwości. W ogóle w tej części miasta rwetes, trzask strzałów i łomot maszynek tworzył denerwujące tło do walki mego karabina.

Naraz... Kaczorek się poderwał i zwałił na c. k. m.! Padając w przód walnął rękami w sterczący z donośnika magazynek i zgiął go... Padł na maszynkę...

Padł od kuli, co to na patrol wyszła i w samo jego chłopskie, szlachetne serce trafiła...

Nie wiem, czy mi się przywidziało, ale przysięgłbym, że Ignac w ostatnim tchnieniu wyszeptał:

— D o s t a ł e m... a l e... t o... n i c...

Długo trwa opisywanie takich przeżyć, wiele trzeba zużyć słów, ołówka i papieru, by je utrwalić, ale naprawdę dzie-

ły się one w ułamkach czasu jak błysk oka, jak ruch ręki, jak apel śmierci. Krótki jest apel śmierci na wojnie.

Podjęliśmy Kaczorka i szybko odłożyli na bok za ścianę domu. Jego miejsce przy maszynce zajął inny chłopak.

.

Jednocześnie zostają ranni dwaj oficerowie z brygady. Jeden z nich, ranny w nogę, skacze jak postrzelony ptak. Bolszewicy, którzy się po seriach z naszej maszynki rozproszyli, pchają się znowu ławą całą szerokością ulicy, napierani od tyłu przez napływające masy chcących się za wszelką cenę przeдрzeć przez miasto Bolszewików.

Pierwsze szeregi dały salwę w naszą stronę. Widzę jak osłaniający mnie a stojący na przeciwległym rogu ulicy piechurzy strzelają Panu Bogu w okna, karabiny wycelowane gdzieś w górę. Pogłupieli, czy co? Oficerowie, którzy stali za moją maszynką, zaopiekowali się rannymi i szybko wycofali się pieszo. Ich konie wierzchowe stojące za ścianą domów po pierwszych strzałach bolszewickich zerwały się i uciekły.

Przy karabinie nowy celowniczy. Każe na gwałt strzelać, ale... karabin nie strzela!... Zacięcie!!!... Teraz właśnie, gdy każda chwila przybliża do nas Bolszewików — karabin się zaciął!...

Trzeszczą strzały bolszewickie, odezwało się znowu nasze działo — wali aż się ziemia trzęsie i dudni. Szyby z okien lecą... A więc i tamtą ulicą tak samo się silnie pchają!

Zacięcie!... Wiem, co jest: to magazynek zagięty przy upadku Kaczorka unieruchomił się w donośniku, ani go przesunąć, ani wyjąć!

W huku strzałów nie mogę się porozumieć głosem z oficerem stojącym na przeciwległym rogu ulicy. Rękoma pokazuję, a ochrypłym głosem wrzeszczę, żeby prowadził możliwie silny ogień! Ja tymczasem rozbiorę maszynkę i usunę zacięcie. Zabieramy się do roboty, wydajemy donośnik... i naraz cholera jasna! nie zrozumiał!! Sądził, że rozbieram karabin, by wywiać już z tego piekielnego stanowiska, zabrał ludzi, jedyny mój ratunek w tej chwili — osłonę piechoty i ten jej nędzny, ale jakże teraz potrzebny i zbawienny ogień... Pobiegnął już ulicą. W tej samej chwili pada koło nas granat ręczny, a z paru okien pobliskich domów strzały z karabinów...

Położenie beznadziejne. Zostałem z rozebranyym Hotchkissem wobec masy Bolszewików bezbronny, bo c. k. m. w tej chwili jest tylko masą żelaziwa, ciężarem i kulą u nogi. Z okien padają granaty i strzały, to komuniści — cywile wysuwają się z nor teraz, gdy widzą nadchodzących tłumnie Bolszewików!

Cóż robić!

Rzucić c. k. m., kazać obsłudze zdjąć karabinki i strzelać jeszcze czas jakiś?...

Nie! Brać karabin! Jazda, biegiem za mną! Już wiem, co zrobię. Tu się wycofam, za najbliższym rogiem poprzecznej ulicy zajmę nowe stanowisko, usunie się zacięcie i może się jakoś utrzymam... Hotchkissa nie zostawię...

Biegniemy ulicą Warszawską. Długo jakoś nie ma przecznicy... Czekam, że w każdej chwili odezwie się za mną ogień Bolszewików, którzy musieli już dojść do naszego opuszczonego stanowiskach. Czuję ten ogień w plecach — jak szpilki wbija się w ciało... Już, już powinien być!... Prowadzę ludzi przy samym murze, przy ścianie domów. Biegniemy, ognia z tyłu jeszcze nie ma...

Mariański!?, biegnie nam naprzeciw, z rewolwerem w ręku, krzyczy coś... Skąd się tu wziął? Dlaczego biegnie w tę stronę? Pewnie nie wie, że miasto już opanowane przez Bolszewików, że są tuż za mną, że otworzą ogień...

Róg ulicy. Każę zająć stanowiska. Sam biegnę dalej do kaptana, a na jego krzyk: co robię? odpowiadam pokazując ręką karabin, że zajmuję stanowisko, krzyczę, że Bolszewicy są za mną, że w tej chwili rozpoczną na pewno ogień...

Łomot serii maszynki spoza mnie wstrząsnął względną w tej chwili ciszą ulicy, a jednocześnie dojrzałem błysk strzału z sąsiedniego okna... W rozbiegu zrobiłem jeszcze parę kroków ku miejscu gdzie stał Mariański... Gdzie stał... bo leży oto na ziemi zboczony krwią płynącą z piersi i głowy... Nachyliam się... Nie żyje! Przez chwilę patrzę na gasnące oczy.. Nie żyje...

Karabin! karabin!... Zawracam kilka kroków do maszynki. Jestem oszołomiony i przybity śmiercią Mariańskiego... Dochodzę do maszynki, spoglądam w przecznicę, przy której zająłem nowe stanowisko — a ta jak i, poprzednia pełna biegnących Bolszewików. A karabin zacięty!

Bolszewicy kilkadziesiąt zaledwie kroków od nas. Gdzie

się ruszyć? Gdzie iść? Co robić? Tam maszynka siepie wzdłuż ulicy, tu tłum Bolszewików!

Ludzie trzymają się blisko mnie, tuż, tuż, jakby chcieli przylgnąć do mnie, przylepić się, stać się ze mną jednym ciałem. Jesteśmy otoczeni...

Kilkoma silnymi uderzeniami bark wyłamujemy furtkę pierwszej z brzegu bramy, wpadamy w zamknięte, obramowane murami podwórze. Tylko z jednej strony niższy domek drewniany, parterowy... Podwórze zaskoczyło wrażeniem pułapki, do której sami dobrowolnie weszliśmy. Na ulicy jeszcze, zda się, można było walczyć, bić się, czy uciekać. Tu jesteśmy zamknięci w potrzasku ciasnego podwórka. I staje się... ktoś krzyknął: „poddajemy się!”. Chłopcy jakby na komendę zaczynają zrywać z siebie pasy i ładownice... Sięgam po rewolwer i każę natychmiast włożyć wszystko z powrotem... Rzucam kilka przekleństw. W tej chwili jestem straszniejszy dla chłopców niż Bolszewicy. Oni dochodzą dopiero, a ja już jestem przy nich...

— Wyratuję was! — krzyczę.

Z nieprawdopodobną dla mnie zręcznością wskakuję na drewniany domek... biorę właściwy karabin maszynowy. Za chwilę i moi ludzie są ze mną na dachu. Stamtąd jednym spojrzeniem oceniłem przychylne dla nas położenie: duży plac przy kościele przylegający tuż do domku, na któryśmy się wdrapali, a dalej ulica zakręca. Krzywizna uchroni mnie od ognia Bolszewików. Dostrzegłem też podwodę bez woźnicy stojącą za zakrętem.

Zdecydowałem się na dalszą drogę, w podwodzie upatrzyłem sobie biedkę dla wiezienia naszego karabina.

Skaczę z dachu i... zawisam w powietrzu! Zaczepiłem się o deskę w szczycie domu za pasek od bagnetu. Ręce obie mam zajęte Hotchkissem, przez chwilę nie mogę dać sobie rady, ale pasek urywa się... spadam na ziemię. Za mną skaczą moi chłopcy. Dopiero teraz zauważam, że biegną ze mną inni jeszcze żołnierze z piechoty i artylerii, którzy dołączyli się do mnie po drodze, a może siedzieli na podwórzu, na które wpadliśmy.

Nie myśląc już nad niczym wykonywam plan obejścia kościoła i wydostania się poza zakręt ulicy.

Ludzie ciężko dyszą. Ja także mam dychawicę od biegu i ciężaru Hotchkissa. Ale dobiegamy do podwoły, składamy c.

k. m. i skrzynki. Na podwodzie leży szabla rosyjska w srebrnej pochwie bogato inkrustowana. Z braku bata każę szablą poganiać konia, który okazuje się tak wycieńczony, że ledwie przebiera nogami. Chłopcy uwolnieni od ciężaru podstawy i skrzyniek amunicyjnych biegną truchcikiem po obu chodnikach.

Po paru minutach zwolniłem tempo, poszliśmy zwykłym krokiem.

Pół godziny bodaj szliśmy przez miasto, opustoszałe teraz i jakby wymarłe. Ledwie błysnie w jakim oknie twarz błada i przerażona. Idąc długo przez puste ulice bezpańskiego miasta, teraz dopiero zdałem sobie sprawę z ciężkiego i beznadziejnego naszego położenia, w jakim znajdował się nasz lichy oddziałek.

Dobrnęliśmy do krańca miasta, gdzie napotkaliśmy nasze oddziały. Dowódca brygady płk Knoll - Kownacki zapytał mnie o sytuację w mieście. Zameldowałem co i jak. Kazał mi wówczas zająć stanowisko w kierunku na Białystok i podporządkował mi jeszcze dwa karabiny maszynowe.

Rozstawiłem karabiny na stanowiskach przed miastem. Oklapnąłem, poczułem ogromne wyczerpanie nerwowe i fizyczne. Zobojętniały słuchałem, jak sitwesi opowiadali, że byłem już uważany za przepadłego. Odkułem się niechcący. Mam piękną szablę kaukaską, tę znalezioną na wozie.

Kazałem doprowadzić nasz karabin maszynowy do porządku. Straciliśmy kilkanaście minut spokojnej pracy na usunięcie zacięcia.

Kaczorek nawet w chwili śmierci przysłużył się nam dobrze. Wprawdzie padając zagiął magazynek Hotchkissa i spowodował zacięcie, ale gdyby nie zacięcie, strzelalibyśmy dalej na poprzednim stanowisku i wpadli w ręce drugiej grupy Bolszewików, która się przedzierała sąsiednią równoległą ulicą, przez nikogo nie bronioną. Ci Bolszewicy wpadli by na nas z tyłu lub z boku.

Przez miasto przewalała się teraz ta część armii bolszewickiej, która uciekając spod Warszawy otwierała sobie drogę przez Białystok, aby uchylić się przed pościgiem.

Nad miastem w stronie dworca kolejowego zakotłowały się dymy pożaru. Ziemia wstrząsnęła się od silnych deto-

nacji. Ogień trawi magazyn lub pociąg z amunicją. Płatki prochu i drobnych a lżejszych części materiałów aż tu dolatywały i spadały na nas. Odległość do nas od dworca wynosiła parę kilometrów.

Ponuro wygląda miasto w kłębach dymu, ponuro...

Od sitwesów się dowiedziałem o ich przeżyciach w walce o Białystok. Były wypadki, że masy Bolszewików poddawały się chwilowo jakiejś naszej kompanii czy plutonowi, ale zobaczywszy, że się oddali w niewolę małej garstce Polaków, opuszczali podniesione do góry na znak poddania się ręce i podejmowali znowu broń itd. Dopiero salwa z karabinów, ogień z maszynek albo strzał armatni przywoływał ich do porządku.

Jeńców, tych wziętych rano przy zajmowaniu miasta i podczas przedzierania się Bolszewików, jest strasznie dużo — tyśiące, całe kolumny!

Wykonałem polecenie ppłka Knolla - Kownackiego i pilnowałem maszynkami skraju Białegostoku.

Ppor. Chmura pierwszy ze swą 6 kompanią i „pożyczonymi“ ludźmi poszedł ponownie do miasta. Miał nawet zdobyczny samochód ciężarowy z maszynką, który wykorzystał jako pancerny. Za jakiś czas i myśmy ruszyli.

Ciała zabitych zostały odnalezione. Pierwszą moją myślą po powrocie w okolicę magistratu było wysłanie patroli do domów, z których strzelano. Chciałem się przekonać, czy strzały i widok luf wysuwających się z okien nie były czasami obrazami halucynacji przemęczonej i rozgorączkowanej głowy. Nie. W paru domach znaleziono karabiny i wystrzelone łuski na oknach. Mieszkańcy - Żydzi poznikali i nikogo nie dało się przyłapać.

Magistrat dosłownie zawałony zdobytymi karabinami maszynowymi.

Z ppor. Starakiem rozkwaterowaliśmy się na sali posiedzeń tego gmachu. Dostałem tęgi łyk wódki na wzmocnienie. Chłopcy przynieśli z mieszkań, z których strzelano, kilka pierzyn powleczonech świeżymi pokrowcami. Nie rozbierając się zasnąłem. Kwaterę i pościel miałem tak wyjątkową, że przez chwilę zdawało mi się, iż nie wyszedłem cały i zdrow z ulicy Warszawskiej i że przeniosłem się na tamten inny, lepszy świat.

Rajski odpoczynek na pierzynach nie trwał długo. Rankiem następnego dnia ruszyliśmy dalej.

W boju o Białystok 1. p. p. Leg. zniszczył prawie zupełnie 16 armię sowiecką. Straty jej w samych zabitych i rannych przekroczyły cyfrę 600. Pułk nasz wziął około 8.000 jeńców i wielu komisarzy. Zdobył olbrzymia: 1 samolot, 22 działa, 124 karabiny maszynowe, trzy pociągi z materiałem wojennym i sprzętem.

Dla porównania z tym zestawieniem trzeba podkreślić, że stan pułku wynosił niewiele ponad 1.500 bagnetów, że cały pułk był rozrzucony wokół miasta bardzo rozległego i nikomu z nas nie znanego, że stanął wobec konieczności stoczenia walki z przeciwnikiem kilkakrotnie silniejszym i chcącym się za wszelką cenę wyrwać z potrzasku.

Zwycięstwo zostało okupione ciężkimi dla nas stratami. Chociaż nie są one w żadnym stosunku do owoców zwycięstwa, jednak odczuliśmy je bardzo mocno. Zginęło 2 oficerów, 18 szeregowych. Ranni: 5 oficerów i przeszło 150 szeregowych.

Śmierć Mariańskiego nasuwa ciężkie refleksje. Znowu Ananke! Okazuje się, że kpt. Mariański na dzień przed śmiercią, bodaj w Boćkach, tak powiedział: „Wszystko to głupstwo, ale w razie czego macie się zaopiekować moją córką.“ Czy wiedział, że zginie?

Pamiętny bój w Białymstoku odbył się w dniu 22 sierpnia 1920 r. Datę tę zapamiętam.

W takich bitwach jak w Białymstoku, w dużych i rozwleczonych miastach, o zwycięstwie stanowią poszczególni dowódcy i poszczególne grupy walczące. Od ich uporu w walce zależy wynik bitwy, bo dowodzić wszystkimi grupami w takich warunkach, jakie się wytworzyły w mieście, nie było można.

Wreszcie Bolszewicy dostali od nas należytą odprawę za nasz odwrót. Gdybyśmy byli tu całą dywizją, 16 armia bolszewicka w całości wpadłaby w nasze ręce. Słaby liczebnie nasz pułk wziął takie masy jeńców, że mogliby nas oni rzeczywiście zarzucić czapkami, ale nie zarzucili. Osiem tysięcy chłopów.

.

W Białymstoku obserwowałem śmieszny wypadek odruchu opartego na działaniu samoobrony instyktownej u żołnierza. Trzeba było przebiec ulicę gęsto ostrzeliwaną przez Bol-

szewików. Jeden z podoficerów tuż przed skokiem podniósł kołnierz od płaszcza do góry, jak to się czynić zwykło dla osłonięcia się przed wiatrem lub deszczem. Odruch świadczy wymownie, jak działa instynkt samozachowawczy. Podoficer jest dzielnym chłopcem, ale kołnierzem będziemy go na pewno długo prześladowali.

Mój drugi karabin, ten przy dziale, znalazł się także w ciężkich opałach. Masy Bolszewików pracę w ulicy kilkakrotnie uderzały i poddawały się, ale nie miał ich kto zabierać do niewoli, bo obsadą było tylko działo i maszynka. Obsługi te musiały wreszcie ustąpić przed niezwykłą przewagą, w chwili gdy przejechała po nich kawaleria bolszewicka rzucona do ostatecznego uderzenia przez Bolszewików dla podniesienia ducha ich zdemoralizowanej piechocie.

Jedna z kompanij I batalionu, otoczona na przedmieściu Białegostoku, aby nie stracić Hotchkissów i móc swobodniej uchodzić wśród zabudowań, potopiła maszynki w studniach. Gdy wróciliśmy do miasta, karabiny maszynowe wyciągnięto z wody. Inaczej porzucone maszynki zabraliby Bolszewicy.

.

Na pogrzebie Kaczorka nie byliśmy. Został pochowany już po naszym wyruszeniu z Białegostoku następnego dnia we wspólnej bratniej mogile z innymi żołnierzami poległymi w mieście.

Posmutniliśmy w plutonie. Brak nam teraz Ignaca, wesołka i dobrego sitwesa.

Nie strzelaliśmy ci, Ignac, salwy honorowej z karabinów, lecz choć mowy o tym głośnej nie ma, postanowiliśmy oddać za ciebie salwę, ale nie w górę i nie w powietrze...

Czy zapisałem już, że Kaczorek był porąbany po śmierci szablami przez kawalerię, która przejechała, gdy odeszliśmy ze stanowiska. Nie? Był porąbany.

Ruszyliśmy do dalszego pościgu.

— — — — —

Rankiem 24 sierpnia osiągnęliśmy Knyszyn. Według rozkazu mieliśmy o godz. 9 maszerować dalej. Gdyśmy się roz-

łożyli na odpoczynek, nadjechała kantyna kompanijna dobrze zaopatrzona i z dwoma skrzyniami „żelaznej porcji“ alkoholu. Adiutant pułku i jeszcze paru sitwesów wmeldowało się do nas na poczęstunek. W różowych nastrojach zabraliśmy się do śniadania. Poszły w ruch starym zwyczajem nie kieliszki „głębsze służbowe“, ale szklanki, bo zresztą kieliszków nie było w chałupie. Po dwóch kolejkach... wzięło nas od razu. Sierżant kantyniarz, który nas gościł i pił z nami, zważył się pod stół. I mnie szumiało w głowie, bo wódka wlana w dużej ilości do pustego żołądka poczęła natychmiast działać. Nie skończyłem więc śniadania, gdyż opanowała mnie jedyna myśl i troska: wymarsz o godz. 9. Godzina 9 poczęła mnie tak prześladować, że opuściłem towarzystwo śniadaniowe i wybiegłem z chałupy. Kazałem wziąć ze wsi trzy podwozy, zebrałem kompanię i wprowadziłem ją na miejsce do kolumny, a gdy już wszystko było gotowe, wysłałem łącznika do kwatery z zawiadomieniem, że zaraz ruszamy. Na podwozy załadowałem biesiadników.

Nie powinno się pić alkoholu rano i tuż przed odmarszem, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że po zmęczeniu i na czczo może tak silnie podziałać. W zwykłych warunkach każdy z uczestników śniadania wypiłby znacznie więcej bez przykrych skutków. Przyznaję, że i ja, gdy kolumna ruszyła, przysiadłem się na parę godzin na podwodę. Był to drugi wypadek, że opuściłem na krótki czas maszerujących chłopców.

Bez przeszkód dotarliśmy tego dnia do Osowca. Domy, kazamaty i forty w Osowcu zniszczone.

26 sierpnia. Jesteśmy w Grajewie. To już chyba końcówka naszego marszu, bo docieramy do granicy.

Wczorajszy wymarsz nocny z Osowca się nie udał. Musieliśmy po kilku godzinach zawrócić. Noc była okrutnie ciemna, padał obrzydliwy deszcz. Miałem na sobie prócz płaszcza zdobyczną pelerynę gumową, ale i to nie pomogło. Dostaliśmy się na jakieś haniebane drogi. Artyleria połamała dyszle. Straż przednia zmyliła drogę, a ze względu na ciemną noc nie było innej rady — trzeba było zawrócić.

Ja mam przynajmniej spokój ze śledzeniem właściwej drogi w marszach. Zdawałoby się, coś prostszego, jak masze-

rować, ale nieraz już widziałem dowódców głowiacących się na rozdrożach, któredy iść: mapa mapą, a droga drogą, szczególnie w lasach i w nocy zabłądzić można łatwo. W takich wypadkach, szczególnie przy marszach nocnych, nie ma co liczyć na „nos“, dobrą znajomość mapy, orientację w terenie itd. Trzeba brać przewodników, bo to najpewniejsze.

Rola przewodnika nie zawsze jest bezpieczna, niezbyt też chętnie się jej ludzie podejmują. Czasem trzeba brać gwałtem i pilnować, aby przewodnik w drodze nie uciekł. Chłopi mają także skłonność do chwalenia się znajomością drogi nawet w wypadkach, gdy jej nie znają albo znają o tyle, że przebyli ją raz w życiu przed x laty lub nie wiedzą, że drogę można znać, a nie trafić w nocy. Wychodzi wtedy z tego najgorsza rzecz, jeżeli dowódca, posługując się przewodnikiem nie sprawdza go przy pomocy mapy (jeżeli ją posiada!). Czasem się zdarza, że przewodnik chętnie się zgłasza i oddaje dużą pomoc. Powinno się w takich wypadkach sownie go nagrodzić, gdyż trzeba pozostawić dobre wspomnienie o wojsku i o dowódcach, którzy przewodnika wykorzystywali.

Przewodnik prowadzący szpicę jest najbardziej narażony, bo chcąc nie chcąc wystawia się na pierwsze a niespodziewane strzały. Lubi wtedy uciec, co udaje mu się tym łatwiej, że zajęci nieprzyjacielem mniej na przewodnika zwracamy uwagi.

Stoimy w Grajewie. Część pułku obsadza rzekę Wisłę. Wedle rozkazu mamy poważne zadanie zniszczenia oddziałów 4 armii sowieckiej, która w swym odwrocie powinna się cofać na nas, bo jesteśmy na jej tyłach. Armia ta, w sile 4 dywizji piechoty i dwóch dywizji jazdy, przechodziła 23 bm. przez Chorzelsko na północ od Przasnysza. Jeżeli władają się tu na nas i będą się upierali przejść jak w Białymstoku, będziemy mieli sposobność do porządnej roboty, ale i do „odkucia“ się.

Od chwili ruszenia z Lubartowa dopiero dzisiaj naprawdę odpoczywamy. W ciągu pierwszych 6 dni przeszliśmy łącznie 270 km, śpiąc w tym czasie wszystkiego niewiele ponad 10 godzin. Oczywiście, że przebytych kilometrów byłoby znacznie więcej, gdyby nie walki, jak np. bój w Białymstoku, który zajął nam całą dobę. Marsze i tak były olbrzymie i jedynie dzięki

ki podwodom można im było sprostać. Działania od Wieprza do Grajewa na pewno będą zaliczone do wyjątkowych wyczynów pierwszej dywizji.

Poruszając sprawę zmęczenia nie można pominąć pracy adiutanta pułku. Jest ona naprawdę uciążliwa, bo gdy oficerowie w kompaniach po ukończeniu marszu mają jaki taki odpoczynek, adiutant musi pracować i na czas rozesłać rozkazy przed ruszeniem do następnego działania, zając się łącznością i różnymi sprawami życia pułku.

Nie zapisałem jeszcze zabawnego *qui pro quo*, jakie się zdarzyło w czasie ostatnich działań od Wieprza. Otóż ludzie znowu nie dostali od dłuższego czasu chleba. Pewnego dnia, gdy mieliśmy przekraczać tor kolejowy, zawiadomiono oddziały, że będzie wydawanie. Rzeczywiście na torze stało kilka wagonów i idące przed nami kompanie pobierały z niego jakieś paczki. Chłopcy ostrzyli sobie zęby na sucharki amerykańskie w puszkach, bo je bardzo lubią. Tymczasem się okazało, że była to czołówka amunicyjna i że rozdzielano w ten sposób amunicję.

I batalion zdobył w taborach rosyjskich damskie nowe długie buty jakiejś komunistki, która urzędowała z wojskiem bolszewickim w Polsce. Buty nosi teraz adiutant I batalionu mający najmniejszą nogę w pułku.

Bolszewików jakoś nie widać.

27 sierpnia.

W nocy słyszeć było dalekie strzały z karabinów maszynowych w kierunku granicy. Dostaliśmy wiadomość, że Bolszewicy, na których czekamy, przeszli do Niemiec, gdzie zostali rozbrojeni. Żeby ich tylko nie przepuścili przez swoje terytorium nie rozbrajając.

29 sierpnia.

Od wczoraj jesteśmy w Augustowie. Co za powitanie zgromadziła nam ludność tutejsza! Opisać tego nie sposób, trzeba to było widzieć. Cieszono się nie tylko nami, ale każdym głu-

pim wozem nawet, każdą kuchnię. Były kwiaty i rakiety. Stoi tu jedna kompania Litwinów. Na podstawie polecenia kpt. Wendy Litwini mają opuścić Augustów.

A no przecież stoją razem obok siebie oba wojska, polskie i litewskie. Oficerowie litewscy znają oczywiście polski język, ale z rozkazu swych władz porozumiewają się w języku rosyjskim. Wojsko litewskie dobrze umundurowane. Nic dziwnego, Litwini nie prowadzą tak wyczerpującej materialnie wojny jak my. Wolność z nieba im spadła.

Marsz do Augustowa wyniósł prawie 45 km. Przyszliśmy tutaj późnym wieczorem.

Najlepszym dowodem, jak nas tu ludność traktuje, to kwatery. Mieszkańcy sami się zajęli nami i pozabierali do siebie do domów. Strasznie mili ludzie, lubimy takich.

Z ppor. Starakiem jesteśmy na pierwszej od wielu miesięcy ludzkiej kwaterze. Na szczęście mieliśmy w wozie bagażowym, bo zmajstrowaliśmy taki czterokonny wóz, bieliznę i lepsze mundury. No i przecież, nareszcie, jestem czysty, ogolony i sam temu nie wierzę — pozbyłem się jak ręką uciął wszy!

Na kwaterze u pani doktorowej, która się nami opiekuje, jak kimś z rodziny, powodzi się nam znakomicie. Mąż na wojnie, więc nasza gosposia wie, co znaczy żołnierka i cygańskie życie. Spanie mamy eleganckie, od jakiego się już zupełnie odwykło. Przyznaję, że jest za miękko i za dobrze. Mimo zmęczenia nie można usnąć. Przyzwyczał się już człowiek mieć słomę pod głową, a w najlepszym razie kawałek jakiej „miękkiej“ deski. Odzwyczailiśmy się także od stołowego nakrycia. Była szopka dzisiaj, gdy zaproszeni na obiad jedliśmy pieczone kurczęta. Przy pani doktorowej ani rusz nie szło nam jedzenie, widelce i noże plątały się tak, jakbyśmy ich nigdy w życiu w rękach nie trzymali, ale gdy tylko nasza gościnną gosposia wyszła z pokoju, obaj schwyciliśmy kurczęta w palce i w ciągu paru minut na talerzach pozostały kosteczki.

Zwycięski marsz naszej dywizji od Wieprza do granicy odrodził nas na ciele i duszy, ale dopiero tu, w Augustowie, gdyśmy zmyli z siebie cały brud i wszy odwrotu, znajdujemy czas do zastanawiania się nad naszą ostatnią robotą wojenną. Bolszewicy dostali lanie wtedy, gdy się zdawało, że już wszystko stracone, że padnie Warszawa. Nasz udział w tym decydu-

jącym zmaganiu jest olbrzymi. Dziadek pchnął 1. dywizję Legionów do najbardziej ryzykownego zadania.

Napisałem „słoneczny“ list do domu. Uzupełniam swoje notatki polowe.

Wiele się robi na wojnie sprytem i hałasem. Wrzask „hura“! podnosi żołnierza na duchu. Bolszewicy także lubią krzyczeć, wiele też robią hałasu. Okrzyk „hurrrraaa!“ potrzebny jest, bo jednoczy we wspólnym celu jakiegoś działania, a rozproszonym żołnierzom, czującym się samotrzeć niepewnie, dodaje odwagi i siły woli do parcia naprzód.

Innego znowu znaczenia jest podstęp, polegający na bardzo głośnym komenderowaniu wieloma jednostkami, których wcale nie ma. Na przykład naciera się. Dowódca plutonu czy kompanii chce dodać ducha swym ludziom, a pietra Bolszewikom i stworzyć pozór, że dowodzi co najmniej batalionem, krzyczy więc: „pierwsza kompania na lewo!... druga kompania na prawo!... Trzecia kompania szybciej strzelać!... Czwarta kompania w tyraliery!!!!“ Tak samo w obronie. Pomaga! Zwodzi Bolszewików bardzo często.

Śmieszne nawet drobiazgi, jakieś harcerskie sztuczki i „indiańskie“ podstępne chytrostki z Karola Maya w pewnych wypadkach mogą mieć zastosowanie. Znajomość języka rosyjskiego przy podchodzeniu np. do czat ma bardzo duże znaczenie. Na pytanie „Kto idiot?!“ — rzucenie odpowiedzi w „istino“ ruskim „jazykie“: „swoj!“ może dać choćby chwilowy zysk na czasie, zwieść czujkę, a nawet tym podstępem można dojść pod samą czujkę i zaharatać cichaczem.

Podziwiam, jak i kiedy nadążą nasi chłopcy odkuwać się w czasie działań. Ledwie ruszy natarcie, a za chwilę ten i ów jest już przebrany w długie buty bolszewickie, w płaszcz itp. Jedni rzucają swoje płaszcze, wprawdzie podarte i zamieniają na bolszewickie, inni znowu wymieniają pasy, manierki, chlebaki i różne drobiazgi. Nie mówię już o zegarkach, lornetkach, gotówce itp. Odbywa się to wszystko w natarciu, w szybkim ruchu naprzód.

Byłem świadkiem takiego wypadku. Przebiegamy w linii tyralierskiej na miejsce dawnej linii Bolszewików. Leży „komandir“. Taki może mieć gotówkę! Natychmiast podbiegł jakiś „Jasio“ z kompanii strzeleckiej i dalej że ściągać z poległego lernetkę, pistolet i grzebać po kieszeniach. W toku tego pada trafiony kulą bolszewicką. Podbiega drugi, by odebrać zdobycz — to samo. Nie było szczęśliwego „odkucia“ w tym miejscu. Co się działo dalej, nie widziałem, bo pobiegłem naprzód.

Najgorsi, jeśli chodzi już o rabunek, są taborcy: ci mają czas, więc przetrząsają teren walk z premedytacją. Nierzadko łupią Bogu ducha winnych mieszkańców lub wykorzystują ich nieobecność i penetrują mieszkania.

Zdumiałem się raz, gdy na rozkaz ppor. Staraka przeprowadzono rewizję w taborach i na wózkach cekaemowych. Czegośmy tam nie znaleźli! Nie brak też było pamiątek w postaci pocisków rozłupanych w jakiś oryginalny sposób i łusek artyleryjskich. To znowu wynik manii zbierania wszelkiego rodzaju sprzętu i rzeczy, nawet na nic się żołnierzowi nie zdających. Część gratów wyrzucono, część rozdaliśmy cywilom, a resztę oddało się do ogólnego użytku kompanii. I pomyśleć: wózki przeciążone, doprzęga się dodatkowe konie, a taki taborzysta zamazany setkami kilometrów wozi niepotrzebne graty. Niektóre rzeczy taszczyli aż spod Kijowa. Inna sprawa, że cukier zdobyczny jedzie przy kompanii.

Liczne marsze, osłabienie, a także przykłady jazdy do dział na podwodach są przyczyną, że coraz częściej słabsi szeregowi starają się o podwody (nawet na własną rękę) i jadą nimi na zmianę. Dowódcy plutonów, nawet podoficerowie, uprzykrzyli już sobie nadmiar marszów i starają się na wszystkie strony o konie wierzchowe.

Kiedy już mowa o taborze to muszę zapisać, że zdarzył się w dniach odwrotu śmieszny wypadek na temat odciążania taborów. Ponieważ przemęczeni ludzie zbyt chętnie lgnęli do wozów, wyszło polecenie zabraniające jeżdżenia na wozach. Zarządzenie to jednak mimo gwałtów i krzyków nie skutkowało. Wobec tego w jednym z batalionów oficer P. polecił sierżantowi D., aby bez litości spędzał ludzi z wozów, a gdy mówienie nie pomoże, żeby walił kijem i już. Za parę dni po bardzo uciążliwym marszu jest postój. Sumienny podoficer tak w mar-

szu jak i na postoju uważa, aby na wozach nikt nie siedział. I trzeba trafić, że zobaczył leżącego na wozie owiniętego w płaszcz „łazika“; woła, krzyczy, zgania — ten nic się nie odzywa, łupnął więc zdrowo kijem..... Można sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy poznał w podrywającym się na wozie oficera P., który zmęczony marszem położył się na wóz, nie chcąc się kłaść na ziemi, a przecież zakazu spania na stojących wozach nie dawał.

Augustów, 30 sierpnia. Litwini odeszli.

Dowiadujemy się po trosze, dlaczego witano nas tu jak zbawców. Otóż Litwini urzędowali na Suwalszczyźnie jak w obcym podbitym kraju.

Jacyż są wreszcie ci Litwini? Przyjaciele czy nieprzyjaciele? Oficerowie rozmawiali gładko i przymilnie, ale...

Od paru dni stoimy na odpoczynku we wsi Janów. Jest to znowu odpoczynek dobrze wykorzystany. Zaraz ppor. Starak uruchomił warsztaty szewckie. Skórą zdobytą na Ukrainie podbija się chłopcom buty.

Powrócił ze szpitala ppłk. Kruszewski i objął dowództwo pułku. Przybyło kilku oficerów oraz marszówka.

W dniu 4 września ukazał się rozkaz dowództwa pułku, który zapowiada dekorację orderami virtuti militari w dniu 5 bm.

Kuleję w dalszym ciągu. Przyłapałem się na tym już parokrotnie, że kuleję nawet wówczas, gdy noga nie boli. Widocznie przyzwyczaiłem się już do pewnych ruchów i odrabiam je mechanicznie.

Dekoracja odbyła się 5 września. Wysokie odznaczenia orderem virtuti militari otrzymało tylko kilku oficerów z kpt. Wendą na czele oraz kilku podoficerów.

9 września. Po kilku dniach marszów, odpoczynków i braku styczności z Bolszewikami mieliśmy znowu harataninę. Wypad na Kuźnicę.

Na wypad ruszyliśmy z Sidry o godzinie 22. Niezadługo, a więc wśród ciemnej nocy straż przednia natknęła się na Bolszewików i natarła na nich. Bolszewicy rozpoczęli ogień z karabinów maszynowych kierując go na nas, ale jak to najczęściej bywa, strzelali zbyt wysoko. Szedłem w środku kolumny głównej tuż przed artylerią. Konie pod wpływem strzałów wystraszyły się, poczęły przysiadac na zadach i drzeć. Kilku ludzi poukrywało się za tarczami stalowymi dział przed ogniem maszynki bolszewickiej, grzejącej z prawej strony. Ogień jej było widać bardzo wyraźnie. Gdyby ten ciężki karabin maszynowy był lepiej przygotowany do ognia nocnego, bądź gdyby w ogóle stał na wprost drogi a nie z boku, mógłby zadać nam duże straty.

Nasza artyleria odprzodkowała i dała kilkanaście strzałów. Skutek był radykalny. Bolszewicy ocenili naszą siłę po armatach i uciekli rozumiejąc, że mają do czynienia z przeciwnikiem, który z artylerią chadza, a więc co najmniej z batalionem. Strzały ułatwiły nam ruch naprzód, jednak ogniem artylerii zdradziliśmy nie tylko wypad, ale również do pewnego stopnia nasze siły, bo pokazaliśmy, że mamy artylerię.

Moje pesymistyczne przewidywania się nie sprawdziły, gdyż przeciwnik siedzący w okolicy Kuźnicy był bardzo liczny i pewny siebie, strzałów naszych się nie uląkł i czekał aż go pobijemy.

Cały pułk popisał się na wypadzie. Dowódcy przejawili jak zawsze wiele przedsiębiorczości w wykonaniu rozkazów ppłka Kruszewskiego, który na odprawie w Kowalach wyłożył swój plan działania. Na Kuźnicę poszły dwa uderzenia: od północy ppor. Burczaka z III batalionem i obejście od wschodu kpt. Wendy: II batalion z dwiema kompaniami I batalionu.

Zbyt długie byłoby opisywanie przebiegu całego wypadu. Przetrwaliśmy kilka ciężkich chwil, gdyż Bolszewicy w zwartych masach rzucali się do przeciwuderzeń. Zdarzyło się kilka niecodziennych epizodów. A więc natknęliśmy się na bolszewicki pociąg pancerny, do którego trudno była się dobrać ogniem artylerii, ponieważ się znajdował w wykopie toru; ani on nam, ani my jemu nie mogliśmy nic zrobić. Wywiął na Grodno i po odjechaniu na odległość paru kilometrów rozpoczął nękać nas ogniem z dział. Niezwyczajnie odbyło się wzięcie do niewoli dowódcy oddziałów bolszewickich. W pew-

nej chwili z małego lasku opodal drogi — jakieś 100 do 200 m — wyjechał jeździec w czerwonej czapce. Od razu widać było, że musi to być jakiś ważny „komandir“. Ledwie został zauważony, chłopcy poczęli strzelać do niego, tak jak stali w kolumnie marszowej. Strzelało kilkudziesięciu ludzi, jeździec począł gnać w naszą stronę. Ponieważ zmierzał ku nam, ogień przerywano. Dojechał, zeskoczył z konia. Nie tknął go ani jeden pocisk.

Widać z tego, że chaotyczny ogień kilkudziesięciu ludzi prowadzony z postawy stojącej nawet na tak bliską odległość może się okazać mało lub wcale nieskuteczny. Łut szczęścia więcej waży od funta rozumu — stare to przysłowie sprawdziło się. „Komandir“ został przy życiu. Ponieważ nie było czasu na ciągnięcie jeńca ze sobą, wzięli go pod opiekę zwiadowcy konni.

Wyniki wypadu przeszły najśmielsze oczekiwania: przeszło 1300 jeńców, 2 działa, 25 maszynek, specjalne jakieś wozy dostosowane do c. k. m. i tabory. Pośród jeńców wielu „komandirów“, prócz tego kilkudziesięciu Bolszewików padło, rannych przeszło 100. Zabrała ich pancierka „Poznańczyk“ współdziałająca z nami.

Straty pułku: 1 oficer i 9 szeregowych rannych.

Gdy wracaliśmy z wypadu zmęczeni, ale szczęśliwi radością, jaką wzbudza udana i zwycięska bitwa, prowadziliśmy jeńców przewyższających nas liczbą. Niektórzy szli ze swą bronią, gdyż nie było innego sposobu jej zabrania. Zamki z karabinów wyjęliśmy.

Wiele się mówi o bezwzględności żołnierza na wojnie. Pewno, że się zdarzają żołnierze bezwzględni; na przykład czerwoni kawalerzyści, którzy już nieraz wycinali bezbronnych naszych żołnierzy albo dobijali rannych (Sucha Wola!), ale nasz żołnierz bezwzględności w swej naturze nie ma. Właśnie w czasie marszu z Kuźnicy obserwowałem, że nasi chłopcy częstowali jeńców papierosami i gwarzyli z nimi po przyjacielsku. Naszych ludzi w takich wypadkach cechuje pewnego rodzaju wspaniałomyślność, wynikająca z poczucia własnej wartości i wyższości żołnierskiej. Przewaga ta jest tak wielka, że nie zachodzi potrzeba wzmacniania jej okrucieństwem. Jest to wyższość pewności siebie.

Rozłaząca się i rozciągająca w marszu nasza kolumna wy-

glądała dziwacznie. Nasi ludzie i Bolszewicy zupełnie się z sobą pomieszali. Ktoś nie świadomy położenia i przyglądający się nam z boku nie mógłby się zorientować, co to za wojsko maszeruje: my z Bolszewikami ręka w rękę.

Polska delegacja pokojowa układa się już od dłuższego czasu z Bolszewikami o zawarcie pokoju. Poszła do Bolszewików w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Bolszewicy przeciągali obrady, gdyż się spodziewali zająć Warszawę — tam by dyktowali swoje warunki. A teraz... nam się nie śpieszy.

10 — 12 września.

Odpoczywamy. Dużo się śpi. Leczę nogi po wszystkich odbytych dotąd marszach. Ostatni, na Kuźnicę, liczył dobrych 40 kilometrów.

W wiadomościach z kraju słyszę dużo o ochotnikach. Oficerowie, którzy przyjechali z marszówką, opowiadają, że Warszawa przed naszą ofensywą zabrała się gorączkowo do ratowania położenia. Na chodnikach wypisywano: „Idź na front, łaziku!” Wielu ochotników zgłosiło się do wojska. Zawsze jesteśmy tacy: dopiero gdy jest źle, rozkładamy słomiany ogień. W polu widziałem ochotników w szeregach jazdy mjra Jaworskiego. Noszą wstążeczki o barwach narodowych. My napływu ochotników nie odczuwamy. Jak na Ukrainie tak i w uderzeniu od Wieprza po Grajewo nasz przemęczony i obdarty żołnierz bierze na siebie ciężar walki, a naszej dywizji przypada chyba ten najcięższy i najbardziej hazardowny. Być może w innych oddziałach biją się ochotnicy — u nas nie. Potworzono pułki ochotnicze 101, 201, 105, 205 itd. Jakież oddziały ochotnicze były się pod Warszawą i mocno krwawiły. Ciężko musiało być świeżym i nie obytym z polem oddziałom ochotniczym oraz ich dowódcom. Ochotnik jest świetnym żołnierzem, ale gdy go się zmiesza ze starym wojskiem.

Mówi się dużo o śmierci ks. Skorupki.

Poznałem śmierć w polu i już wiem, że nie przychodzi ona z rozwianymi chorągwiami pułków ani też w melodii Ma-

zurka Dąbrowskiego. Zjawia się nagle zimna i bezwzględna; staje przy żołnierzu, gdy się ten potyka w natarciu o bruzdy roli, albo gdy gwiżdże piosenkę: „Saperzy mi robią trumnę, ale ja im guzik umrę“. — Ot, przyjdzie, ukłuje żądłem kuli, rozszarpie granatem nawet wtedy, gdy się je obiad i trzyma w ręku nie karabinek, ale łyżkę i menażkę.

Taką śmierć żołnierz rozumie, bo taką widuje, taką zna i z taką jest za pan brat.

Gdy mu wypadnie umierać, zaklnie, może poprosi sitwesa o papierosa i z nim, z tym papierosem zaciśniętym w zębach odda swe ostatnie tchnienie. Twardy jest żywot żołnierza i śmierć twarda; bez poezji, bez mazgajenia się.

Igraszka lat dziecięcych w tak zwane wojsko tu, w polu, jest dla dużych dzieci - żołnierzy także igraszką, taką na serio, gdzie już nie guza oberwać można, ale skończyć się na amen.

Chęć walki, to chęć pobicia i dziecinnej uciechy ze swej przewagi nad tym innym żołnierzem, który dorównać nie może, który jest bity. Jest tu miejsce na odwagę a nawet na bohaterstwo. My tu co dnia prawie patrzymy na bohaterstwa szczerze, prawdziwe i nie zalatujące ckliwością podziwu od dalekich tyłów.

Jeżeli już wynosić na piedestały i stawiać pomniki, to tym tu w polu twardym żołnierzom: Mariańskim, Kaczorkom, a choćby żywym żołnierzom: Żabskim, Galińskim i innym.

Nam trzeba tymczasem nie pomników, lecz butów i dobrego żarcia, dobrych karabinów i dużej ilości amunicji, wiele armat i wszystkiego tego, co wzmacnia technicznie. Siłę ducha mamy olbrzymią, taka jest przynajmniej w naszej 1. dywizji. Mocny duchem jest nasz żołnierz, bo moc czerpie od swego bezpośredniego przełożonego i dowódcy - oficera i podoficera. W naszym uporze walki żołnierz sam odczytuje, że sprawa o wielką rzecz się toczy, o coś bardzo ważnego, jeżeli się tyle ponosi w polu wysiłków, tyle krwi za cenę tej walki się przelewa.

Nieraz zadaję sobie pytanie, czy wszyscy nasi chłopcy wiedzą co znaczy Wolność, Ojczyzna, Polska...

W kraju są jakieś komitety, które podobno postawiły sobie za cel opiekę nad żołnierzem. Robią jakoweś paczki dla chłopców, wysyłają na front. Każda ponoć Polka bierze na siebie obowiązki wojennej matki chrzestnej i darzy dobrym sercem i podarkami swego przybranego syna - żołnierza. Daleka musi być droga z serca kraju, z Warszawy do nas, że te paczki jakoś w żaden sposób nie mogą dotrzeć do pola. Jak zwykle w takich wypadkach, dobre chęci rozmiągają się z drogą rzeczywistości.

Podarkami i paczkami tuczą się „waleczne“ tyły.

Prowadzimy rokowania pokojowe, a tymczasem w rozkazie dowództwa pułku wyczytałem, że zostali powołani pod broń b. żołnierze 1890 — 1894, którzy służyli w wojskach zaborczych lub formacjach polskich.

10 września w rozkazie dowództwa pułku ukazał się punkt polecający podać w najkrótszym czasie wykaz strat żołnierzy pochodzących z Pomorza. Ludność tamtejsza, przywykła do niemieckich porządków i regularnego działania aparatu wojskowego, jest niezadowolona, że nie zawiadamiamy jej natychmiast o ranieniu lub śmierci ich bliskich, krytykuje więc naszą machinę państwową.

Pewnie, że są przeoczenia, że nie zdołaliśmy jeszcze, jako młode wojsko, przyswoić sobie dobrych w tym względzie obyczajów niemieckich, ale nie od razu Kraków zbudowano. Przecież były miesiące całe, że nie można było sporządzić raportu dziennego kompanii! Nasze działania nie są tak systematyczne jak niemieckie, ale za to mają w sobie coś z wichru, coś z szaleństwa. Zwycięzamy, ale nie mamy czasu na papierkowe roboty. Zresztą trudno się wdawać w jakiegokolwiek porównania wojny europejskiej z naszą. Tamta była wojną borsuków, niesamowitym zmaganiem się techniki, żelaza i długotrwałą próbą wytrzymałości nerwów. Nasza jest błyskotliwym pędem ducha człowieczego, pełna lotności i rozmachu. Gdy się patrzy na nasze boje, mimo woli przenoszę się myślą do epoki napoleońskiej i jej wojen. Nasza jest pod wielu względami podobna, jedynie różnica w możliwościach broni nowoczesnej i ówczesnej wpływa na wytworzenie się pewnych odchyłeń. Podobieństwo

jest jednak ogromne w zwycięstwach nogami i w lotności oraz szybkości działań.

Dowództwo pułku wydało polecenie odesłania wyczerpanych marszami koni do Knyszyna.

Wyżywienie w kompanii bardzo dobre. Bywa tak, że jeden wieprz jest w kotle, jeden zabity w wozie żywnościowym, a trzeciego już się do zabicia przygotowuje. Z wieprzami nie jest tak dobrze jak z wołowiną, bywają chore. Wieprz ma czasem na wątrobie wrzody pełne materii. Nie znamy się na tym, czy chory zwierzak jest szkodliwy dla zdrowia, ale nie dajemy „krupnego“ do kotła i mięso zakopujemy. Cywile wyciągają mięso z ziemi i jedzą. Trafiało się to szczególnie na Ukrainie.

Gdyby nie szacherki z łuskami, mielibyśmy trudności z otrzymaniem amunicji, jest bowiem rozkaz srogi, który poleca zbieranie wystrzelonych łusek. Ma się dostawać ilość amunicji odpowiadającą ilości zdanych łusek. Wszyscy mają jednak swoje zapasy amunicji zdobyczej, więc niezbyt wiele robią sobie z przepisu, który powstał może w najlepszej wierze, ale za bułanym biurkiem. Chciałbym, aby ów ktoś, kto takie polecenie wymyślił, był w linii w czasie rozgorzałej bitwy, np. w takim Białymstoku, i zbierał łuski. Oczywiście, inna rzecz marnotrawienie materiału wojskowego, inna oszczędność, a jeszcze inna zbieranie łusek i zdobyczy. Zapewne, w walkach pozycyjnych można było dokładnie łuski wybierać i odesłać, a na ich miejsce pobrać nowe, ale w takich walkach jak nasze... Raczej trzeba by zorganizować dobrze etapy i pracę tyłów, wybierać ten wszystek sprzęt, który spotykaliśmy od Drohiczyna aż do granicy porzucony przez uciekających Bolszewików, odebrać ludności cywilnej pochowane zapasy amunicji i broni, a znajdzie się materiału wojennego i łusek moc olbrzymia.

Pisząc o amunicji przypominałem sobie ciekawy i według mnie bardzo właściwy sposób strzelania spod pachy. Celuje

w nim podchor. Galiński. Trzymając karabinek pod pachą w jakimś zamieszaniu walki, gdy znajdzie się Galuś wobec kilku na raz przeciwników, potrafi ich sprzątnąć, ani się obejrzą. Wartość strzału spod pachy leży w tym, że przeciwnik oczekuje strzału wycelowanego z karabina, w znanej sobie postawie strzeleckiej, tymczasem zaś zostaje zastrzelony niespodzianie. Przewaga po stronie Galusia jest jeszcze dlatego, że mając karabin pod pachą i nie celując może przez cały czas obserwować, co robią Bolszewicy, wzrokiem trzymać ich w szachu, podczas gdy przy złożeniu się z karabina zająłby się jednym tylko przeciwnikiem, a pozostali robiliby, co zechcą. Umiejętność strzelania spod pachy można sobie przyswoić i mieć zupełną pewność trafienia, ale tylko na krótsze odległości.

Dostałem list z domu. Wysyłają mi kilka tysięcy sztuk papierosów dla żołnierzy. Będzie używanie.

13 września. Brałem udział w wypadzie na Staworowo. Wypad udany. Bolszewicy nie mają szczęścia do naszego pułku, znowu stracili ponad 300 jeńców, kilku „komandirów“, 10 maszynek i tabor. Nasze straty: 4 szeregowych rannych.

Gdy porównuję liczbę ludzi i sprzętu biorących bezpośredni udział w walce, zdumiewa mnie dysproporcja między małymi stosunkowo ich ilościami znajdującymi się w bezpośredniej styczności z Bolszewikami, a resztą, która w kolumnie lub w odwodach oczekuje na wprowadzenie do walki. Inna sprawa, że zdarzają się wypadki, kiedy wszystko, co żyje, wchodzi w linię, nawet kompania techniczna i taborcy, ale takie walki należą do wyjątkowych.

Chociaż harujemy do krwawego potu, nasza robota wojenna jeszcze nie skończona. Bolszewicy siedzą na Niemnie, a Niemien to rzeka ciężka do sforsowania. Odbiliśmy duży szmat kraju, rokowania pokojowe się toczą, ale poszłyby one prędzej, gdyby wleźć Bolszewikom głębiej za skórę, a co najmniej odebrać co nasze.

V

WALKI NAD NIEMNEM

WILLIAM R. HENNINGSEN

14 września.

W rozkazie dziennym ukazały się awanse podoficerskie. Widać, że mamy czas, jeśli się zajmujemy nawet awansami.

Na samym wstępie otrzymanego dzisiaj rozkazu bojowego dowództwa pułku, jest takie zdanie: „Nieprzyjacielskie stanowisko wojsk litewskich oraz współdziałanie Litwinów z wojskami sowieckimi zmuszają dowództwo 2 armii do takiego przegrupowania swoich dywizji, które by dostatecznie chroniło północne skrzydło przed wszelkimi niespodziankami“. Dalej jest mowa, że przechodzimy (1. dywizja piechoty Leg.) wobec tego w obszar koncentracyjny Dąbrowa - Lipsk. Rozkaz daje duże do myślenia na temat Litwinów.

25 września. Stoimy na odpoczynku w Rudni. Korzystam z wolnego czasu, by zanotować przeżycia ostatnich dni.

Pobiliśmy Litwinów, odwaliliśmy sakramencki marsz i teraz odpoczywamy. A wszystko to jest ledwie przygrywką do mających dopiero nastąpić nowych zmagających z Bolszewikami. Ponieważ z zajęciem Grodna idzie ciężko, 1. dywizja piechoty Leg. uderzy od tyłu, podobnie jak to się działo od Wieprza do Grajewa. Ale do rzeczy.

22 sierpnia grupa pułku, złożona z II i III batalionów naszej kompanii i artylerii, przeszła przez Zelwę opanowaną przed nami przez 5 p. p. Leg. i uderzyła przez Berżniki na Sejny. Krótko węgłowato — Litwini rozbici w puch. Śmieszni byli, gdy nam klarowali, że „gdybyście uderzyli na nas od czoła, to zobaczylibyście, czy łatwo nas pobić“. Tymczasem 1. dy-

wizja piechoty Leg. przeprowadziła uderzenie inne, nie takie czołowe, jakie się Litwinom śniło, i obeszło się bez „gdybyście“.

Bitwa wygrana, ale nastrój kiepski, szkaradny. Straciliśmy dwóch najlepszych dowódców kompanii. Ppor. Sochańskiego, u którego tyle dni przebywałem w czasie odwrotu, oraz ppor. Wasiutyńskiego.

Pierwsi to nasi oficerowie, którzy polegli z ciężkich ran w polu, bo dotychczas bywali albo zabici z miejsca albo ranni.

Ppor. Wasiutyński został trafiony w głowę, ppor. Sochański ranny ciężko w brzuch... Rana w brzuch to najczęściej śmierć. Umarł więc po kilku godzinach, świadom, że nie ma już dla niego ratunku.

Litwini bili się „przepisowo“, gdy się cofali, odbiegali kilkadziesiąt kroków w tył, zwrot do nas, klękniij, jeden-dwa strzały i tak dalej. Strzelają dobrze, bo w czasie gdy maszerujemy i bijemy się, oni się przecież tylko ćwiczą.

Zdobycz nasza wyniosła: kilku oficerów, przeszło 120 jeńców i karabiny ręczne Mausera niemieckie. Cała dywizja ma około 1.000 jeńców i dużo dział. Podobno rozbiliśmy artylerię litewską i ich oddziały tak, że nie będą się mogli pozbierać.

Wiadoma to rzecz, że agitatorami przeciw Polsce są na Litwie nauczyciele i księża. Byłem w dwóch izbach z ciekawości, właśnie u nauczyciela i księdza. Obaj uciekli przed wojskiem naszym. W mieszkaniach na ścianach pocztówki i napisy antypolskie.

W pewnej wsi zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Ponieważ po wielogodzinnym siedzeniu na powietrzu chętnie by się odpoczęło w izbie, wybrałem nowy dom i wszedłem do środka. Chata wystawiona w 1919 roku, zupełnie nowa i... kur-na. Wewnątrz taka chata jest czarna od dymu, szczególnie sufit i ściany do połowy. Jedynie przy samej ziemi utrzymało się świeże białe drzewo. Gdyby mi ktoś opowiadał, nie uwierzyłbym, aby w XX wieku stawiało się nowiutkie domy jako kurne chaty. W czasie gdy się w izbie pali, stać nie można, gdyż dym na wysokości twarzy jest bardzo gęsty. Siedząc można już jako tako wytrzymać, ale z biedą.

Litwini w działaniu na Sejny dostali szkołę. To za konszachty z Bolszewikami.

Po bitwie wróciliśmy do Berżnik.

23 września o 3 rano rozpoczął się nasz nowy marsz. Zaliczyć go mogę jedynie do rodzaju marszów na Złodziejówkę, Równe i Białystok. Choć szliśmy ubezpieczeni strażą przednią, konnymi zwiadowcami przed pułkiem i jednym batalionem straży tylnej, czuliśmy, że nic nam nie grozi. Skoro Litwini dostali szkołę, będą siedzieli jak mysz pod miotłą.

Pułek się zachowuje w marszu tak jakby szedł na ćwiczenia: wszystkie kompanie śpiewają i jedna drugiej chce wydrzeć palmę pierwszeństwa. Śpiew dobrze wojsku zrobił, bo zapomniało trochę o zmęczeniu marszowym.

Gdybyśmy maszerowali w nocy z 24 na 25 znowu się kompanie rozśpiewały. Szedłem za kompanią, którą prowadził oficer kawalarz taki, który potrafi utrzymać w ręku ludzi, a zarazem robić wesoły nastrój w kompanii. Na przykład w czasie nocnego marszu wydał całej kompanii papierosy, wszyscy palili na rozkaz i śpiewając podnosili na komendę ręce do góry z palącymi się papierosami. W nocy bardzo to pięknie wyglądało, a chłopcy wpadli w znakomity nastrój. Widać, jak niewiele trzeba, aby rozweselić wojsko. Ten pomysł z papierosami to, zda się, drobiazg, ale zjednoczył kompanię w zgodnej zabawie, w woli śmiania i „trzymania fasonu“.

Droga była niemożliwie ciężka. Przeszkadzały nam jakieś taborzyska, w ogóle było kiepsko, ale humorem krzesanym na zamówienie wszystko to dało się pokonać.

Do Rudni, w której teraz stoimy, w pierwszej chwili przyszło jakieś 50% ludzi i 20% wozów i kuchen. Reszta rozciągnięta na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Nic dziwnego: od Berżnik do Rudni jest przeszło 100 km, a w Sejnach też się nie siedziało. Prawdę powiedziano, że nogami wojnę się wygrywa.

Gdy to piszę, jest godzina 6, a jeszcze brak bardzo dużej ilości ludzi i koni. W Rudni zastaliśmy naszą kawalerię.

28 września zajęliśmy Lidę. Już w Białymstoku powiedziałem sobie, że lepiej się powiesić niż nacierać na duże

miasto. Tutaj potwierdziła się słuszność mojej niechęci do walki o miasta.

Ludzie nasi zbierali się w Rudni do południa, wozy nie wszystkie nadeszły. Jeszcze tego samego dnia ruszyliśmy dalej. Przeszliśmy do Naczy, gdzie zakwaterowaliśmy. Litwini, którzy stali w Naczy przed nami, wywiali. Weszła tam nasza kawaleria zabierając baterię armat.

W nocy z 26 na 27 września — alarm. Natychmiast stanęliśmy na zbiórkę. Szybkim marszem nocnym posuwaliśmy się drogą na Kowgordy. Przed pułkiem pojechał pułkowy szwadron zwiadowców konnych. Jeszcze przed Sejnami został utworzony szwadron przy pułku ze zwiadowców batalionowych.

Marsz nocny daje „szkołę“ głównie dlatego, że wskutek złej widoczności uderza się niespodziewanie o wystające, małe nawet nierówności lub się noga zapada we wklęsnięcia, co powoduje wstrząsy i męczy. Z nogami jest tak, jakby miały podświadome wyczucie zetknięcia się z równą ziemią. Droga była bardzo ciężka. Wielekroć uderzałem się o jej nierówności lub zapadałem. Odezwała się kontuzja spod Równego. Znowu ku-
leję.

.

Pułk wchodził w walkę.

Nasz szwadron zwiadowców konnych przejechał przez Kowgordy, ale nie zastał tam spodziewanych Bolszewików. Szli oni dopiero na Kowgordy z miejscowości Pełanka. W Pełance znowu na Bolszewików natarł szwadron 3 p. uł., ale znalazł się wobec przewagi dwóch batalionów czy nawet pułku bolszewickiego, poniósł dość duże straty i począł się wycofywać, gdy na szczęście kompania naszego I batalionu natarła właśnie na Bolszewików i wśród zabudowań zadała im poważne straty. Padło ich przeszło czterdziestu zabitych i rannych, a z górą 200 dostało się do niewoli. Reszta pułku bolszewickiego wywiała.

Zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Tu nadszedł rozkaz płka Dęba - Biernackiego do marszu na Lidę. Rozkaz przewidywał dokładnie, gdzie która brygada ma nacierać, jak obsadzić Lidę, a także licząc się z możliwością walki w mieście, polecenie przydzielania poszczególnym oddziałom pojedynczych

dział dla unieszkodliwienia nieprzyjacielskich maszynek. Natychmiast ruszyliśmy. W marszu do Żyrmun szła przed nami III brygada 1. dywizji piechoty Leg. i 4 brygada jazdy.

W Żyrmunach nocą z 27 na 28 września pułk nasz przeszedł do straży przedniej I brygady. Nasza kompania za II batalionem, I batalion w straży tylnej pułku.

W drodze został zniszczony odcinek toru kolejowego Wilno - Lida oraz połączenie telefoniczne i telegraficzne, aby utrudnić Bolszewikom łączność i możliwość działania pancernkami.

Ppłk Kruszewski skierował II batalion, za którym szliśmy, traktem na Lidę. Od tej chwili rozpoczęło się zwykłe piekielko i chaos bitewny. Gościńcem ludzkim jechały olbrzymie tabory bolszewickie i artyleria, które się dostały w nasz ogień z maszynek. Taborem owładnął szal ucieczki. Z dość dużej odległości widać było kurzawę i rwetes nieopisany. Jednocześnie rozpoczęła ogień artyleria znajdująca się przy batalionie, strzelając do ukazującej się kawalerii bolszewickiej.

Ruszyliśmy na Lidę, niezbyt już odległą. Wyjaśniła się sprawa oszalałego taboru bolszewickiego. Jechały w nim działa ciężkie i lekkie, a między innymi olbrzymie działo, jakiego jeszcze nie miałem sposobności oglądać. Działo to chciano zapewne zawrócić, wtedy zatarasowało ono w poprzek drogę. Zwaliła się nań chmara wozów wojskowych i podwód rosyjskich; konie łamały nogi, a na zbitą masę parły z tyłu dalsze i dalsze wozy. Bolszewicy odcięli postronki koni zaprzęgowych i uciekli. Wiele koni i kilku ludzi leżało przy dziale skłębionych w tej zgotowanej sobie niechcący pułapce śmierci. Nad nią, jak tabliczka nagrobkowa, wybijał się napis na stalowej tarczy olbrzymiego działa: „Śmiert’ burżujam“. Oto jak dewiza działa spełniła swoje zadanie.

Dokoła grupy z działem i napisem stały lub też leżały poprzewracane wozy z wszelakim dobytkiem. Wiele przedmiotów zdołaliśmy zabrać nie zatrzymując prawie marszu. Między innymi dobrze zaopatrzoną aptekę.

Weszliśmy do Lidy.

Naszą kompanię zatrzymano w mieście, II batalion poszedł dalej.

Ulegliśmy zwykłemu w takich wypadkach odprężeniu nerwów i świadomości, że zasadniczy cel — zajęcie Lidy — jest już osiągnięty.

Tymczasem niezdługo usłyszeliśmy silny ogień karabinowy i karabinów maszynowych. Po strzałach zorientowałem się, że w Lidzie powtarza się ta sama historia co w Białymstoku, tj. że przez miasto chcą się przedrzeć Bolszewicy cofający się z linii Niemna. Byłem jednak spokojny, gdyż opanowaliśmy Lidę całą dywizją, podczas gdy w Białymstoku ledwie jednym pułkiem i paroma kompaniami 5. p. p. Leg.

Ogień się na końcu miasta wzmógł. Nadjechali konno z linii nasi dowódcy kompanii i meldowali o rozpaczliwym położeniu przed miastem. Okazuje się, że oddziały polskich brygad nie weszły jeszcze na przewidziane odcinki, a olbrzymie masy Bolszewików zwały się tymczasem na nasze kompanie II batalionu i na 6 p. p. Leg.

Oficerowie ci nie zdali jeszcze relacji, gdy ulicą idącą od skraju miasta poczęli dobiegać do nas wycofujący się żołnierze 6 p. p. Leg. Ogień się przybliżył. Strzały rozgorzały w mieście. Zaczęło się zwykłe wołanie, tak częste, w każdej prawie bitwie słyszane, a zwłaszcza w chwilach, gdy jest źle: „maszynki na linię!“. Z linii dochodził odgłos gwałtownego ognia działowego. Wszczął się chaos i zamieszanie. Jakiś podoficer z 6 p. p. Leg., który nadbiegł z cofającymi się „szóstakami“, krzyknął: „ratujcie, kto w Boga wierzy!“ Działo się to wszystko jednocześnie.

Ppor. Starak pchnął mnie z plutonem na drogę, którą nasi się cofali. Zabrałem pluton i pobiegłem. Dołączyło się do mnie kilkunastu piechociarzy „szóstaków“, którzy widząc ruch naprzód, zawrócili. Biegliśmy ulicą nie napotykając Bolszewików. Przebiegłem tak duży kawał miasta. Ulicą szorowały pociski. Ktoś gdzieś strzelał, ale Bolszewików widać nie było. W pewnej chwili dołączył się do mnie jakiś cywil i ze łzami w oczach, biegnąc przy mnie, krzyczał, że Bolszewicy mordowali tu przed chwilą naszych żołnierzy, rozbijając rannym głowy kamieniami i cegłami podjętymi z ulicy. Rzeczywiście polegli mieli poharatane głowy. Biegnąc dalej nie natknąłem się wcale na tych Bolszewików, przed którymi dopiero co ustępowali „szóstacy“, natomiast wchodziłem w coraz silniejszy ogień.

Za skrajem miasta wbiegłem w linię 7 kompanii i tam pozostałem. Skraj miasta został utrzymany.

.

Odpieraliśmy później jeszcze kilka uderzeń bolszewickich. Z lasu będącego przed nami wyłaniały się ustawicznie tyralierzy bolszewickie. Zdawał się on być napchany Bolszewikami. Ogień nasz trzymał ich w szachu.

Noc całą przetrwaliśmy na linii. Bolszewicy nacierali w nocy na koszary, w prawo od nas, my mieliśmy względny spokój. Dowiedziałem się, że poległ adiutant II batalionu ppor. Szarski Bohdan.

— — — — —

Dzisiaj, gdy to piszę, już jest „po wszystkim“, jak się u nas gadać zwykło. Mamy olbrzymią zdobycz na otarcie łez: prawie dwa tysiące jeńców, w tym wielu „komandirów“, kilkanaście dział, przeszło 2000 wozów zdobytych z różnymi zapasami i jeszcze jeden dzień ciężko wypracowanego zwycięstwa. „Szóstka“ poniosła pod Lidą duże straty, ale ma także duże „odkucie“: poddała się jej cała 21 dywizja sowiecka — kilka tysięcy chłopów. Mołojcy wyróżnili swych „komandirów“ i poddali się.

Jak w Białymstoku 16 armię tak tutaj 3 armię bolszewicką wykończyliśmy na amen. Znakomicie obmyślane było przejście przez Litwę oraz uderzenie na tyły Bolszewików chcących się mocno trzymać Niemna.

Zwycięstwo zwycięstwem, ale walki w miastach nie lubię. Samo utrzymanie ludzi w ryzach, aby się nie rozłazili za „odkuciem“, na co wielu jest łasych, obrzydza walkę w dużych miejscowościach. Są i inne względy, jak trudna łączność, brak obrazu walki i tego, co się naprawdę dzieje u sąsiadów; denerwuje to i źle wpływa na psychikę dowódcy.

— — — — —

29 września.

Dziadek w Lidzie!

Mimo dróg niepewnych, wśród rozbitych ale włóczących się masowo Bolszewików Dziadek przyjechał do Lidy! Rozma-

wiał z naszymi chłopcami w mieście! Ja nie widziałem Naczelnego Wodza, gdyż stałem na skraju miasta z maszynkami na stanowiskach. Dziadek powiedział, że nogi nasze czekają duże jeszcze wysiłki.

Niech żyje Dziadek!



Naczelny Wódz w Lidzie.

Nadleciał samolot bolszewicki i strzelał do nas z góry. Przykre uczucie budzi znalezienie się w takim ogniu. Ponieważ leciał stosunkowo nisko, strzały pukały jak ekrazytówki. Rozpoczęliśmy ogień z maszynek, ale bezskutecznie.

1 października w Nowogródku.

Przy wymarszu z Lidy chłopcy w kompaniach krzyczeli do przejeżdżającego ppłk Kruszewskiego: „my chcemy na Wilno“!

„Ale Dziadek każe nam iść na Nowogródek“ — odpowiada ppłk Kruszewski.

Poszliśmy więc na Nowogródek.

Po obiedzie 29 września poczęliśmy naciągać nogi dla wykonania zapowiedzianego przez Dziadka dalszego wysiłku. Pułk się skierował do Bieniewicz. Stamtąd doszliśmy do mostu na Niemnie. Most się okazał zniszczony. Słupy - pale spalone, a na nich ledwie trzymające się dwuteówki żelazne. Ponieważ pale pod poszczególnymi przęsłami poopałały się na różnych poziomach, żelazne belki tworzyły zygzakowatą linię. Po belkach przepchało się na drugi brzeg dość dużo ludzi. Karabiny maszynowe przeprawiało dwóch Jasiów: jeden posuwał się na przędzie, siedząc na szynie, drugi zaś pchał za nim c. k. m. W czasie przepychania maszynek zdarzył się wypadek, gdyż jeden z chłopców, pchający karabin, przez nieuwagę nacisnął na spust i zastrzelił kolegę.

Oddziały, które się przeprawiły, ruszyły dalej. Nadjechał płk Dąb - Biernacki i polecił naszemu dowódcy kompanii technicznej zbudować jak najszybciej most na istniejącej resztkę dawnego. Dowódca komp. technicznej począł się wymawiać od tej roboty, bo rzeczywiście każdy inżynier wzruszyłby ramionami na propozycję budowania mostu na żelaznym szkielecie ledwie trzymającym się na spalonych podporach. Dostał jednak kategoryczny rozkaz i obietnicę urlopu.

Zabrano się energicznie do roboty. Most stanął. Przeszła po nim nie tylko piechota, ale przejechała także artyleria! Urlop murowany. Wychodzi stąd nauka, że na wojnie nie wolno nigdy powiedzieć, że coś się nie da zrobić, bo na wojnie rzeczy nieprawdopodobne i zdawałoby się, sprzeczne z wszelkim zdrowym rozsądkiem i logiką są właśnie możliwe i wykonalne. Tak dzięki stanowczej woli płka Dęba - Biernackiego stanął na Niemnie most, jakiego wprowadzie oko ludzkie jeszcze nie widziało, ale stanął i dobrze służył.

Ruszyliśmy w dalszą drogę na Nowogródek i po krótkiej walce zajęliśmy miasto. Były tu jakieś oddziały bolszewickie, podobno pułk, ale wywiały przed II batalionem. Wzięto kil-

kudziesięciu jeńców. Nowogródek jest ślicznie położony. W tej chwili, jak zawsze po Bolszewikach, przeraźliwie brudny. W kościach mamy znowu spory marsz.

Dostajemy mąkę zamiast chleba. Piecze go się na własną rękę, wysyłając naprzód po przypuszczalnej drodze marszu lub pozostawiając podoficera gospodarczego. Z wypieku we własnym zakresie chleb wychodzi zupełnie możliwy.

Jeżeli w notatkach moich gdziekolwiek się znajdują wzmianki o złym wyżywieniu, to dotyczą one głównie chleba. Pozostałe artykuły potrafiłszy od samego prawie Kijowa zdobyć sobie psim swędem. Nie zabrakło nigdy bydła. Były dni, że nasza kompania zjadała dziennie więcej niż dwa wieprze. Mięsa było po prostu w bród. Przypomni mi się teraz, gdy piszę o mięsie, byk — olbrzym zdobyty przez I batalion na Ukrainie i prowadzony przy taborze. Był to olbrzymi rozplodowiec rasowy zabrany przez chłopów z jakiegoś dworu, a następnie zarekwirowany przez I batalion. Nie wiem, co się z tym bykiem stało, ale ponieważ nie był zjedzony w najgorszych dniach, doszedł zapewne do kraju i przyda się jako stadnik.

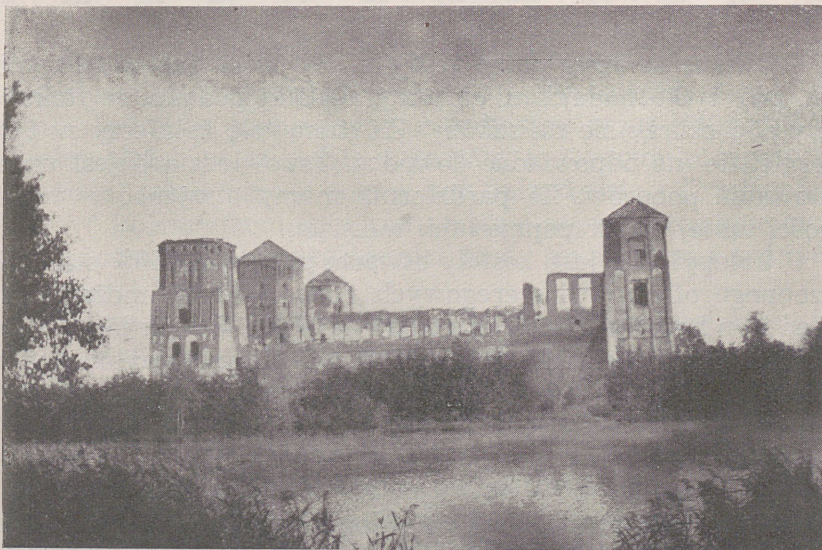
Aby otrzymać żywność z intendentury, wysyłało się niejednokrotnie aż trzech kolejnych furierów i żaden z nich nie nadążył za kompanią. Trudno zdążyć za pułkiem, który marszami swymi bije kawalerię i ma taki wariacki „szpurt“. Wyżywienie mimo to, biorąc ogólnie, bardzo dobre. Chłopcy popaśli się nawet. Dbano o żywność dla ludzi była i jest w pułku zawsze na pierwszym miejscu zaraz za bronią i amunicją. Narzekania nasze na brak żywności dotyczą raczej porcji pobieranych.

W porównaniu z nami Bolszewicy są o wiele gorzej odżywiani. Wystarczy przejrzeć woreczki noszone przez Bolszewików, zawierające po trochu kaszy, soli i słoniny — prowiant suchy, kradziony po chałupach i gotowany przygodnie. Już to Kacapi nie nauczą się nigdy sprawnej organizacji. Za czasów wojny europejskiej dostarczali sucharów tam, gdzie trzeba było pocisków artyleryjskich, a pocisków gdzie był głód. A jeżeli dostarczali wreszcie pociski, to innego kalibru.

Z kompanią postępujemy za pułkiem, który ruszył już w dalszą drogę.

W ciągu ostatniej nocy wzięły pierwsze przymrozki, na trawach szron. Ponieważ jak zwykle nie szukam i nie wybieram sobie wygodnego miejsca na spoczynek, ostatniej nocy ległem po prostu pod wozem. Obudziłem się z zmarzniętą na amen lewą połową ciała. Przez dłuższy czas nie mogłem poruszać ani ręką ani nogą.

Pułk miał ciężką harataninę pod Koreliczami. Trzeba było forsować przejście przez rzekę Serwecz i bagnistą jej dolinę. Forsowanie to okupił pułk krwawymi stratami. Poległo prawie 20 szeregowych, ranni zostali czterej oficerowie i 40 szeregowych. Bolszewicy czuli się pewnie na terenowo silnych stanowiskach. Wykorzystali i rozszerzyli istniejące tu okopy. Nacieraliśmy więc na stanowiska zorganizowane przez Bolszewików o wiele lepiej niż kiedykolwiek dotychczas. Wprawdzie pułk ma zdobycz, kilka maszynek i ze dwie kompanie jeńców, ale w stosunku do strat jest to dla nas za mało.



Ruiny zamku w Mirze.

Zatrzymaliśmy się w Mirze. „Mir“ po rosyjsku znaczy pokój. A o pokoju rozmawia się jakoś coraz częściej.

W Mirze jest stary zamek murowany, nawet dobrze zachowany. Brak sił i ochoty na to, aby go zwiedzić.

6 października.

Odpoczywamy. Była bitwa o Stołpce. Bitew było już tyle, że nie chce się opisywać przebiegu wypadków. Właściwie robi się zawsze prawie to samo: człowiek mąszkuje, denerwuje się, zapala, poci, strzela i tak w kółko, Macieju. Jeżeli jest mało strat a duże powodzenie — duża radość; dużo strat a mało zdobyczy — nastrój robi się choleryczny i myśli się wtedy o „mirze“. W Stołpcach wyjątkowo nie mieliśmy strat, Bolszewicy zaś duże. Ciekawa rzecz, że zawsze ponosi większe straty ten przeciwnik, który się broni, denerwuje i wieje, mimo że przecież nacierający musi doń podejść w ogniu. Tylko w bitwie o Korelicze było inaczej, ale tam, jak powiada podchorąży Galiński, była „pazycja“. Ma on rację.

Rozkaz dzienny pułku jest dla nas jakby gazetą i chętnie go, gdy tylko nadejdzie, czytamy. Dzisiaj podano, że ludność cywilna skarży się na szkody. Za samowolę żołnierzy w tym względzie ma odpowiadać dowódca. Zapowiedziane jest unormowanie poborów. Za październik mamy otrzymać w wysokości takiej jak w poprzednim miesiącu.

Urlopy! Tak jest, zostały otwarte urlopy dla 10% stanu liczebnego oficerów i szeregowych pułku, ale nie może uciepieć stan bojowy, co rozkaz podkreśla. Ppor. Starak jak w dym poszedł o urlop do adiutanta pułku, gdyż dawno już nie był w domu.

Ppor. Starak pojechał na urlop. Dochrapałem się wreszcie w ten sposób dowodzenia kompanią.

Sprawy gospodarcze idą w kompanii jak w zegarku. Mię-

sa mamy dużo. Widzę, że objęcie obowiązków dowódcy kompanii zmienia od razu zakres zainteresowań. Sprawy, które obchodziły mnie dotychczas pobocznie, dzisiaj wymagają już moich własnych zabiegów mimo, że ostatnio przez kilka miesięcy byłem zastępcą dowódcy kompanii.

13 października mieliśmy walkę pod Rakowem. Bolszewicy trzymali się mocno. Zdobyliśmy kilka maszynek i sporo jeńców. Sporo, to znaczy około pół kompanii bolszewickiej. Doszliśmy do Radaszkowicz. Marna miejscina okropnie zażydzona.

Dostałem na wyżywienie do kompanii kilkudziesięciu jeńców. Dowiedziałem się od nich, czemu nie chciałem wierzyć, że 18 października o godz. 12 w nocy nastąpi zawieszenie broni. Jeńcy byli zabrani przed paru dniami, a więc Bolszewicy mają jakieś rozkazy w tej sprawie. Kupiło się dla nich barana. Było wiele śmiechu, gdyż baran miał duże jądra, którymi poczęła się ciskać cała kompania.

Bolszewicy naciskani przez nas na wszystkich frontach zdecydowali się, jak widać, na pokój. Tymczasem mamy rozejm, ale kto by tam wierzył w podpisane przez Bolszewików papiery. Jeżeli im to będzie dogadzało, to owszem, rozejmu dotrzymają, jeżeli nie — zerwą bez uprzedzenia. Trudno jest wierzyć Bolszewikom, gdy kierują nimi popędy niepohamowanego prostactwa i bezwzględności, kiedy się nie liczą z żadnymi względami ludzkimi.

Gdy mowa o bezwzględności w charakterze żołnierza, to my jej nie mamy. Jeżeli już nie brać nawet pod uwagę bezwzględności bolszewickiej, to znam przecież inną — niemiecką, tę z wojny europejskiej i z wojen dawniejszych. Pewną jest rzeczą, że nie tylko bitwa i jej przebieg oraz środki, jakimi się ją prowadzi, mają duży wpływ na nastrój w kraju, w którym się wojuje. Poza wszystkim, czym się przeważa, można wstrząsnąć przeciwnikiem i jego krajem innymi jeszcze sposobami. Takim jest na przykład spalenie przez Niemców Kalisza w 1914

roku, takim jest ich zachowanie w Belgii. Nie tyle chodziło Niemcom w danych wypadkach o zniszczenie kraju czy miasta (choć i te rzeczy mogły być brane pod uwagę przy niszczeniu przemysłu), nie wchodziły w grę korzyści taktyczne lub strategiczne, ale jednym z głównych celów było zastraszenie.

Kalisz, na przykład, został spalony i zburzony celowo i głównie po to, by nastraszyć, przerazić, by fama niesła przez cały kraj wieść, że Niemcy są bezwzględni i straszni, że nie myślą żartować, że bać się ich trzeba. Cel ten został osiągnięty. Imię dowódcy niemieckiego, który spalił Kalisz, było na ustach całej Polski.

W naszym natomiast charakterze narodowym brak jest cech mściwości i bezwzględności, a tymczasem w stosunkach z Bolszewikami miękkie rysy charakteru nie ostoją się. Gdy się ma do czynienia z przemocą niskich instynktów, które Bolszewicy chętnie dla swych potrzeb rozbudzają, nie ostoi się im w walce inteligencka miękkość charakteru ani przeciwstawienia charytatywne. Bezwzględności trzeba przeciwstawiać bezwzględność w wyższym jeszcze stopniu.

Ostatnim żołnierzem poległym w pułku przed rozejmem był plut. Lang Eugeniusz. Poległ w dniu 13.X.1920 r.



«Spij żołnierzu w ciemnym grobie...»

Śmieszny kawał. Do kompanii w Wołożynie nadszedł fonogram z dowództwa pułku polecający batalionom i 4 kompanii c. k. m. zgłosić się po podarki dla żołnierzy. Myślę sobie, ha, nareszcie podarki dotarły do pola z głębokich tyłów. Siadłem na wóz i pojechałem. Dostałem cztery paczuszki, które by się na dobrą sprawę zmieściły w kieszeni.

Stara Wilejka, 30 września.

Z Wołożyna do Wilejki maszerowałem z kompanią samodzielnie. Wojna się skończyła, więc lepiej i szybciej się maszeruje w małej kolumnie kompanijnej.

Rozkazy pułkowe zaczynają się sypać jak z rogu obfitości. Przed wyjazdem na urlopy trzeba szczepić cholere i mieć zaświadczenie dla okazywania w drodze.

Wobec przypuszczalnego zakończenia wojny i trudności wyżywienia koni mają być ich ilości zmniejszone następująco: kompanie piechoty po 14 koni pociągowych i po 2 wierzch.

„ c. k. m. „	28	„	„	2	„
sztab batalionu	20	„	„	9	„

Nadliczbowe konie mają być odesłane do referatu taborowego.

Ppor. Starak na urlopie; nie chciałbym postąpić z końmi nie po jego myśli. Przeprowadziłem wywiad, jak robią inne oddziały. Okazuje się, że nikt nie oddaje wszystkich nadliczbowych koni. Zostawia się na wszelki wypadek na zapas po kilka a nawet kilkanaście sztuk. Zrobiłem tak samo.

Nieszczęsny cukier zabrany przez ppor. Chmurę za Żytomierzem dowłókł się za nami, przetrwał wszystkie opresje, jakie przeżywaliśmy w czasie wyprawy na Kijów, odwrotu oraz jesiennej ofensywy i leży teraz w magazynie kompanijnym. Wprawdzie w workach pozostało nie więcej niż połowa zawartości, wprawdzie cukier od kurzu i deszczu ściemniał, zrobił się brązowy, ale jest, jest kilka worków!

Gdy tak patrzę na cukier ongiś pięknie biały i myślę, że stał się teraz godny pożałowania, przez analogię widzę nasze

twarze, jak ten cukier szerniałe, pocięte grymasami śmiechu i ciężkich wzruszeń. Cukru w każdym worku ubyłoby po połowie, a nas nie ubyłoby? I my byliśmy kiedyś jak on biali, pełni słodyczy i radości, a dziś jak ten cukier jesteśmy przyprószeni kurzawą przeżyć i swoistą dla wojska i wojny ordynarnością. Ale to wszystko się nie liczy.

Ani to, ani noga, która od czasów Równego jeszcze do dzisiaj daje mi „szkołę“.

Jestem, żyję... Na swój sposób i w miarę możliwości zaczynam wracać do zwykłego bytowania, pracować, troszczyć się o kompanię, a w wolnych chwilach rysować, pisać i korespondować z czterema aż powojennymi matkami chrzestnymi.

Szerzyć się poczynają świerzby i liszaje wśród koni. Oj, niedobrze! Konie zostawić, to zostawić, ale z paszą także coraz gorzej. Po siano jeździ się bardzo daleko. Kupuję wszystko na kwity: siano, owies; kartofle dla ludzi, w ogóle gospodarka kompanijna zabiera dużo czasu, ale jest to praca dająca dużo zadowolenia, bo przypomina życie folwarku w majątku.

2 listopada.

W myśl dekretu Naszelnego Wodza nr 2231 z dnia 3.VIII, 20 zostali za waleczność mianowani podporucznikami następujący szeregowi 1. p. p. Leg., podchor. Galiński Michał, st. sierż. Pakuła Michał, st. sierż. Żabski Modest, sierżanci Ślęzak Stefan, Fleszar Antoni i kilku innych.

Nominacja jest warunkowa do czasu zatwierdzenia przez Warszawę.

Moje wszystkie dotychczasowe uwagi na temat wychowania żołnierza muszę uzupełnić jeszcze, bo doświadczenie podsunęło mi nowe spostrzeżenia.

W porównaniu z tym co się w Szkole na temat wychowania robiło i mówiło widzę, że sprawy wychowania żołnierza

i panowania nad nim swym dowódczym wpływem są w zasadzie bardzo proste i zupełnie niepotrzebnie robi się z wychowania jakąś szklaną górę, na którą dopiero ma się wdrapywać przełożony poszukujący drogi do tego wielkiego celu, jakim jest w istocie wychowanie. Kompania jest zbiorowiskiem ludzi jak każde inne. Jej dowódca ma nią władać nie dlatego, że jest starszy jako żołnierz i że ma gwiazdki na ramionach, ale dlatego, że ma przewagę w wiedzy i doświadczeniu.

Grupa ludzi zebrana w kompanii składa się biorąc tak z grubsza:

z 90% jednostek biernych, którymi można łatwo kierować, które poddają się każdej woli,

z 5% ludzi o przewadze popędów ujemnych,

z 5% „ „ „ „ „ dodatnich.

Te dwa biegunowo różne co do wartości odsetki gromady ludzkiej to dwie potęgi, gdyż skupiają w sobie przeważnie osobników wyraźnie skryształizowanych w charakterze — indywidualności. Oni też imponują tej większej reszcie biernej i mają na nią duży wpływ. Umiejętność więc dowódcy polega na tym, aby 90% swych ludzi podporządkował sobie i wpływowi 5% osobników o wartościach dodatnich, a zarazem aby przez odpowiednie ustosunkowanie się do typów ujemnych pomniejszył ich wpływy i odebrał pozór nawet imponowania całej grupie. Osobników słabych, tzw. „ofermy“, nie można pogrążyć, jeśli są choćby tylko możliwi. „Oferma“ może się okazać w boju najdzielniejszym żołnierzem. W jaki sposób podnosić na duchu oferkę? Najlepiej przez pochwałę oraz dając pole do popisu w tej dziedzinie, do której ma „dryg“. U najgorszego nawet niedorajdy można się doszukać wartości, którą się da wykorzystać jako sposobność do pochwały i podniesienia na duchu „ofermy“ jak i jego opinii w oczach kompanii.

Takie postawienie sprawy to podstawa, na której się będzie opierać właściwe wychowanie i duchowe dowodzenie ludźmi. Daje ono dowódcy pewność, że czynniki wpływów złych nie będą w kompanii działały.

A teraz samo wychowanie. Polega ono na mocnej ręce i sercu. Nie można opychać ludzi samym razowcem mocnej ręki ani też samym miodem serca, natomiast czarny chleb z miodem dobrze smakuje.

Jeżeli dowódca dowodzi nie tylko swymi rozkazami i komendami, ale swoją osobowością, sercem i duszą — taki dowódca łatwo się dostanie do serc żołnierzy. Jego przykład osobisty, jego zdrowe, szczere, uczciwe i mocne odruchy na wszelkie zagadnienia i potrzeby życia, pracy i walki kompanii, jego zainteresowanie się żołnierzem, opieka, aby kocioł był pełny, aby wypoczynek należyty spotkał żołnierza po utrudzeniu; dalej: wyrozumiałość, stanowczość, pewność siebie, energia, dobre i przyjacielskie traktowanie żołnierza, nie jak kogoś od siebie niższego, ale jak młodszego stopniem kolegę i obywatela; czasem groza silnej ręki, czasem słodczy pochwał, to znowu błyskawica gniewu itd., wszystko w sumie wiedzie prosto i łatwo na sam szczyt tak, zdawałoby się, trudnej do osiągnięcia szklanej góry wychowania i dowodzenia.

W sprawach wychowania nie trzeba sięgać do żadnych mglistych rozważań. Są to rzeczy proste, a szczerość, prawość charakteru i przykład osobisty dowódcy są najlepszymi gwarantami tej pracy. Dowódca musi górować pod wielu względami nad żołnierzem i tym wpływem urabiać wychowywanych. Żeby w sprawach wychowania nie błędzić po manowcach, trzeba wiedzieć, że dowódca musi stać przy żołnierzu blisko, tuż obok, razem z nim w jednym szeregu, co nie znaczy, by stosunek był poufały. Może się nie lękać o niebotyki swego dowódczego piedestału. Tam, w szeregu właśnie przerośnie ludzi o całą swoją dowódczą głowę i o całe swe znaczenie. Trzeba często mniej pamiętać o swoich gwiazdkach na naramiennikach, a zdobędzie się serce żołnierskie, najcenniejszy skarb w wychowaniu. Nie dla siebie, bo o to nie chodzi — dla wielkiej sprawy, dla mocy wojska.

Gdy piszę o władaniu duchem i wolą żołnierza niesposób jest nie podkreślić jak najmocniej znaczenia przykładu osobistego dowódcy. Otóż pisałem już gdzieś, że o ile się zdarzało w pułku załamanie psychiczne żołnierzy wobec wyjątkowo ciężkiego położenia bitewnego, bywało ono krótkotrwałe i zaraz po nim można było z całym zaufaniem tym samym wojskiem z powodzeniem uderzać, oczywiście głównie dzięki postawie i przykładowi oficerów i podoficerów. O innego rodzaju wypadku załamania się psychicznego i przełamania go słyszałem od kolegów. W I batalionie zabrakło amunicji w chwili, gdy trzeba było przeciwuderzać. Żołnierze poczęli wykrzyki-

wać: „nie mamy naboii!” i nie ruszali się do szturmu. Wówczas kpt. Wenda wyciągnął rewolwer, wystrzelił w powietrze posiadane w nim naboje i zawołał: „teraz wszyscy nie mamy naboii!” Chłopcy ruszyli do przeciwnatarcia bez amunicji.

Oto przykład jak dowódca może wpłynąć na podniesienie moralnych wartości żołnierza.

10 listopada.

Powrócił z urlopu ppor. Starak. Nie ma do mnie żadnych pretensji o gospodarkę w kompanii, więc wszystko w porządku.

Pułk zasiedzia! się już w Wilejce. Kto wie, może pobędziemy tutaj parę tygodni? Tymczasem porządkuje się wszystko w kompaniach, zbiera i przekazuje zdobycz. Wiem, że kompanie c. k. m. mimo zawartego rozejmu, nie wierząc zbyt w jego trwałość, mają dwa razy więcej ciężkich karabinów maszynowych niż podają w raportach.

Zaczęła się masa pisaniny, adiutant pułkowy żąda różnego rodzaju raportów, meldunków itp., tymczasem brak jest papieru, którego się wcale nie dostaje. Korzystamy z różnych zdobycznych ksiąg rosyjskich. Nawet ewidencja kompanii zaprowadzona jest w takiej księdze. Jest ona porubrykowana i na każdej kartce ma wytłoczony napis „Nr nr po porządku, słuszali, postanowili, wremia ispołnienia”. Na tych samych kartkach pisze się dane ewidencyjne.

Jeden z oddziałów robi adiutantowi pułku taki kawał, że przysyła raporty pisane na starych gazetach, inny znów, jeszcze dowcipniejszy, wypisuje cały raport codziennie kredą na tablicy szkolnej i przysyła do adiutantury do odpisania. W ten sposób chcą wydusić z dowództwa pułku przydział materiałów kancelaryjnych.

Pieniądz leci ciągle na łeb na szyję. Na zwykły list w kraju trzeba nalepiać znaczek pocztowy za 3 marki, gdy przed paru dniami opłata wynosiła 1 markę.

17 listopada.

W rozkazie dowódcy pułku ukazał się następujący punkt: „Ze względu na mczliwe przejście pułku w głąb kraju, jako miejsce postoju przewidywana jest Jabłonna. Celem urzędnika koszar, które obecnie są w jak najgorszym stanie, poleca się oddziałom przygotowanie jak największej ilości drzewa, zwłaszcza desek nadających się na urządzenie koszar jak i mebli oficerskich“.

Widać, że życie pokojowe będziemy sobie urządzali we „własnym zakresie“.

25 listopada.

Wychodzi dużo zarządzeń o odznakach i odznaczeniach. Objawy zakończenia wojny naprawdę.

Zabieramy się do zwykłych zajęć pokojowych. Ukazał się rozkaz polecający nadsyłanie do dowództwa pułku co sobotę programów zajęć. Program ma być opracowywany przez dowódców dla całego batalionu, ze względu na równoległe szkolenie żołnierzy.

Sporządza się ordre de bataille i szkice rozmieszczenia, pisze meldunki sytuacyjne, raporty stanu itd., zaczyna się po mału wojna na pióra.

W naszej kompanii mamy na wyżywieniu Bolszewików, którzy przyjechali w sprawach ustalenia granicy. Nie widzę żadnej różnicy między tym żołnierzem a żołnierzem dawnej carskiej Rosji. Tak samo meldują się „Wasze błogorodie“, gdy zwracają się do nas o żywność.

Noszą oni swoje gwiazdy czerwone, ale jest to ten sam żołnierz, to samo wojsko, które przed wojną śpiewało:...

„...służyć w piechocie, pod baraban marszirać“...

Jeden z delegatów bolszewickich, student, dopytywał się o los Bolszewika „komandira“, któregośmy wzięli do niewoli pod Kuźnicą, co to wyjechał na koniu z lasu i nie był trafiony mimo ognia kilkudziesięciu ludzi. Powiedziałem, że jest w niewoli. Wspomniał, że w Kuźnicy mieli dobre informacje o naszym wypadzie i przygotowali zasadzkę, ale im się nie udało.

Wchodzimy w nowe życie. Mimo ciągłych alarmów i trafiających się zatargów granicznych trzeba przyjąć za pewnik, że się wojna skończyła.

Zauważyłem ciekawe objawy ustosunkowania się różnych ludzi i różnych charakterów do pokojowego życia. Myślę, że nie wszyscy żołnierze będą się do takiego bytowania nadawali, szczególnie ci stuprocentowi, urodzeni wojacy. Ale do garnizonowego życia jeszcze daleko, bo chociaż była już w rozkazie pułkowym wzmianka o pójściu do Jabłonny, siedzimy jednak w Wilejce na leżach zimowych i cieszymy się z życia. Cieszenie się jest żywiołowe i jak na odpoczynkach w dniach wojny, objawia się raczej w użyciu. Hasło: „wino, kobieta i śpiew“ w naszych ustach i obecnym bytowaniu brzmi prawie tak samo, ale... gdzie szukać w Wilejce wina. Chyba u kapelanka, którego też opijamy, ile tylko wlezie. W każdym razie wina tego jest za mało, nasz garnizon trzeba by przenieść do Kany Galilejskiej, a że to się zrobić nie da — wiara zmieniła sztandarowe hasło życia na „wódka, kobieta i śpiew“.

Wiele razy pisałem o ks. Tyczkowskim Franciszku, naszym kapelanu. Pochodzi z Ameryki, z Meriden Conn. Jako kapelanek w najcięższych chwilach znajdzie łyk w swojej manierce dla spragnionego gardła, papierosy i czekoladę w juczkach. Chłopcy w pułku, mijając kapelana, krzyczą: „Niech żyje ksiądz kapelan i jego papierosy“!

Podporucznika Chmurę koniec wojny wytrącił ze zwykłego mu hazardu o życie z losem. Jest teraz oficerem oświatowym. Urządził kinematograf dla żołnierzy, ale pech chciał, że kino się spaliło i nieszczęsny szeregowy — kinooperator ledwie uszedł z życiem. Teraz łązi po Wilejce z twarzą czerwoną od oparzeń.

Rozwesela nas Teatr Polowy I Brygady (Dywizyjny teatr legionowy). Tak znakomitego teatru żołnierskiego jak ten nigdy nie widziałem. Żaden inny teatr lepszy dla żołnierzy być nie może, bo aktorami są z krwi i kości leguni z I brygady, wiara, co zna życie żołnierza, wie, jak do chłopców podejść, jak chwycić ich serca, jak i czym połechtać, aby ryczeli ze śmiechu.

Najmorowszy program teatru to „Operobujda“ w 1 akcie pt. „Legun w niebie“. Żałuję, że tej „operobujdy“ nie miałem

sposobności oglądać, bo była grana w Dyneburgu jeszcze przed moim tam przyjazdem, ale znam kilka piosenek z „Leguna“, gdyż wiara w pułku śpiewa je zapamiętałe.

Jak wiara ma się nie śmiać, gdy słyszy taką np. piosenkę:

Jestem ci ja chłopak młody — dy — dy,
Nie mam wąsów ani brody — dy — dy.
Na konia wyskoczę,
Szabelką się otoczę,
Będą ze mnie dziwki rade — de — de.

Czemużby nie były rade — de — de,
Gdy która ujrzy parade — de — de!
Chłop w chłopa jak świca,
To kobiety podnieca,
Każda krzyknie z tobą jade — de — de!

Dla karabiniarzy dał teatr piosenkę „Na tej maszynie gram jak artysta“, co „maszynistów“ od razu wzięło.

Afisz „tryjatur“ z dnia 10 lutego br. tak wyglądał:

„Pod egidą wuja Bachusa i chrzesnej Matki Melpomeny gwoli użycia sobie jak pies w studni, wyczynią aktorniki tryjaturu 1 Dyw. Leg. w zamarym Dyneburgu klawe

„HOPAJ!!! SIUPAJ!!!!“

na bolszewickich śmieciach

dla swej branży z damamy, dnia 10 lutego 1920 R. P. Bałagan zacznie się, jak się goście zlązą: staropolskim polonezem. Pirsza para w butach! druga niekoniecznie. Magiel będzie fungować aż do skutku. Nad ranem wywozić się będzie wstawionych gości kuli-giem do Rygi. Który facet lub frajerka chce się wtrynić „na gapę“, niech pokażą tę bumagę. Nabozno! prosimy Kumitet tryjaturalny.

Lew + Peś + Haj + Drap + Kij + i t. d.“

Tajemniczy szyfr na końcu znaczy: Lew — M. Lewicki, dyr. „tryjatur“, Peś — B. Peszkowski, Haj — J. Hajduga, Drab — A. Drabik, Kij — K. Kijowski, itd. — zespół „aktorników“.

— — — — —

Korpus oficerski pułku, wypełniając ostatnią wolę śp. kpt. Mariańskiego, uchwalił opiekować się jego córką Oleńką

jako córką pułku. W skład rady opiekuńczej wchodzi dowódca pułku, kilku oficerów i ja.

Córka pułku ma zaledwie parę lat.

— — — — —

Zarządzono wstępne prace dotyczące przygotowania dokumentów do demobilizacji. Wojna skończona!

VI

SŁÓW KILKA DO PODCHORAŻYCH I DO B. KADETÓW
– PODCHORAŻYCH Z KLASY „M” 13.

IV

WYKAZ PRACOWNI
WYKAZ PRACOWNI
WYKAZ PRACOWNI

1.
2.
3.
4.

Wilno, 17 lutego 1937

Gdy po latach wielu przygotowywałem te kartki do druku, mało co w nich zmieniłem. Opuściłem słowa pułkowej gwary i zastąpiłem je bardziej dla czytelnika zrozumiałymi, może w kilku wypadkach poprawiłem nazwiska bądź stopnie wojskowe, liczby zdobyczy i strat, ale w zasadzie zapiski zostały nie tknięte.

Nie znalazł tu czytelnik fragmentu historii 1. p. p. Leg., bo kreśląc notatki w czasie wojny celu takiego nie miałem. Dzieje 1. p. p. Leg. są zresztą opracowane i wydane w 1929 r. w bardzo obszernej książce. Opracował je ppłk Borkiewicz Adam, mój dowódca kompanii z 1920 r. Jest to piękna książka, bodaj najpiękniejsza historia pułku piechoty w odrodzonej Polsce.

Wiem, że notatki moje nie są wolne od wybujałości młodszej fantazji i pióra, ale trzeba wziąć pod uwagę, że pisane były w warunkach niezwykłych. Skrzętnie zapisywałem to wszystko w czasie swej służby na tyłach i w polu, co mi się wydawało godne zapamiętania. Z notatek tych została wydrukowana tylko ta ich część, która oddaje wiernie nastrój w służbie i w walce, a więc jest dorobkiem doświadczenia.

Pragnę, aby każdy podchorąży przed wstąpieniem w życie wojskowe w roli nowomianowanego podporucznika poznał szlaki myśli, pracy i służby tamtych odległych czasów oraz żeby się za pomocą porównania orientował, o ile inne i różne od tamtych są jego warunki pracy w Szkole i w pułku.

Będę szczęśliwy i z nawiązką wynagrodzony za trud przy porządkowaniu zapisków do wydania drukiem, jeżeli się okażą choć trochę pożyteczne.

Koledzy z klasy „M“ 13!

Gdy popatrzymy na szlaki wojny, którymi Nike wiodła nas po opuszczeniu Szkoły Podchorążych, gdy spojrzymy na tablice pamiątkowe i wyryte na nich nazwiska poległych, to przekonamy się, że wielu z nas, b. wychowanków 13 klasy, odeszło.

Polegli na polu chwały:

ppor. Żukowski Stanisław

„ Skoupy Edward

„ Gliński Bolesław

„ Rogalewicz Zdzisław

„ Moroz Norbert

„ Kwieciński Jan

„ Przybylski Władysław

„ Krzywda Łazowski Stefan

„ Nossek Ryszard

P O L E G Ł Y M C Z E Ś Ć !

I TOBIE PODPORUCZNIKU MONASTERSKI, NASZ DOWÓDCO SERDECZNY, I TOBIE PODPORUCZNIKU NOSSKU RYSZARDZIE, — WSZYSTKIM POLEGŁYM I ZMARŁYM, I TOBIE PODPORUCZNIKU SKOUPY, KTÓRYŚ NIE POTRAFIŁ CHODZIĆ Z NAMI SPRAWNYM ŻOŁNIERSKIM KROKIEM, ALE KTÓRYŚ PRZEŚCIGNĄŁ NAS NA DRODZE DO NAJSZCZYTNIEJSZEJ ŚMIERCI — ZA OJCZYZNĘ.





46864/
12

